

WIERNY OPÓR
Gdy biskup
nadużywa władzy

JOANNA KULIG
Dobra matka
jeździ na rowerze

CICHY DYŻUR
Pielęgniarka
bez opieki

TRZY PAMIĘCI
Polska, Rosja, Niemcy
1945-2020

OLGA DRENDA
Wkrótce będzie
nowocześnie

Kraków 10 maja 2020 nr 19 (3696)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

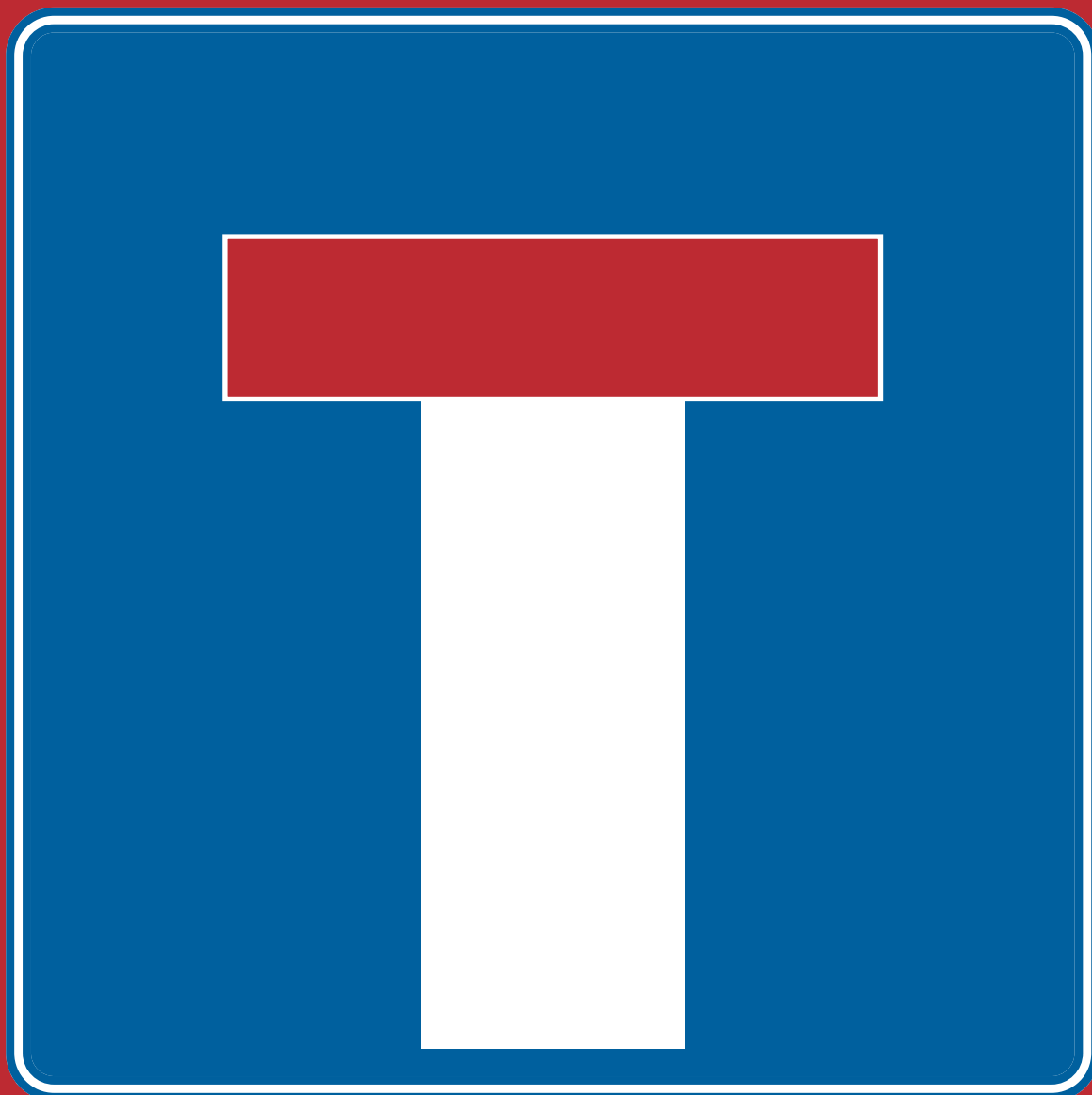
TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Złe wybory

Wróbel: Czas na protest
Stankiewicz: Prezes się nie cofa
Bilewicz: Dumy i obrzydzenia



JEEP. ZOSTAW CODZIENNOŚĆ ZA SOBĄ.



JEEP® RENEGADE OD 899 ZŁ NETTO/MIES.

JEEP® COMPASS OD 1140 ZŁ NETTO/MIES.

W ABONAMENCIE DLA FIRM BEZ WPŁATY WŁASNEJ.

Sprawdź w salonach i na abonament.jeep.pl

Jeep®

THERE'S ONLY ONE

Wynajmujący: Leasys Polska Sp. z o.o. Oferta wynajmu jest skierowana wyłącznie do przedsiębiorców. Rata wynajmu 899 zł netto dotyczy samochodu Jeep, Renegade LIMITED GSE T3 Turbo 120 KM M6 w umowie na 36 miesięcy, z limitem 10 000 km rocznie, bez wpłaty własnej. W racie zawarte jest ubezpieczenie OC. Rata wynajmu 1140 zł netto dotyczy samochodu Jeep, Compass LIMITED 1.4 TMair AT9 4WD w umowie na 36 miesięcy, z limitem 10 000 km rocznie, bez wpłaty własnej. W racie zawarte jest ubezpieczenie OC. Szczegóły promocji są dostępne u autoryzowanych dealerów Jeepa. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów kodeksu cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Rzeczywisty wygląd i cechy pojazdu mogą się różnić od prezentowanych w materiale reklamowym. Szczegóły i informacje dotyczące spełniania wymogów ochrony środowiska są dostępne u dealerów sieci FCA Poland. Jeep, Renegade: emisja CO₂ od 127 do 173 g/km, zużycie paliwa w cyklu mieszanym od 4,8 do 7,4 l/100 km. Jeep, Compass: emisja CO₂ od 127 do 190 g/km, zużycie paliwa w cyklu mieszanym od 4,8 do 8,3 l/100 km.

LEASYS
FCA BANK GROUP

KS. ADAM

Boniecki: Epidemia i katolickie media

OD LAT PIERWSZE MIEJSCE W RANKINGU SPRZEDAŻY tygodników opinii zajmuje „Gość Niedzielny”, zawdzięczający swój sukces m.in. kościelnej dystrybucji. Jak ona działa? Co tydzień do polskich parafii trafia paczka pisma. Potem są sprzedawane w zakrystiach, biurach i przed kościołami, po mszach.

No i się stało: przyszła pandemia. Wierni zostają w domach, koniec kościelnej sprzedaży, cios w rozprowadzane przez parafie pisma. Opublikowany 24 kwietnia przez Katolicką Agencję Informacyjną raport opisuje zmagania z tą sytuacją redakcji czterech tygodników: „Gościa Niedzielnego”, „Niedzieli”, „Przewodnika Katolickiego” i „Idziemy”; pokazuje rozmiar klęski oraz odważne decyzje redakcji wobec zniknięcia gwarantującej bezpieczeństwo dystrybucji w ponad 10 tysiącach parafii (niektórzy przyznają, że 80 proc. sprzedaży to była sprzedaż w parafiach). Jedni więc rezygnują z druku dodatków diecezjalnych, inni zawieszają drukowanie pisma i robią tylko wydanie cyfrowe. Choć rośnie sprzedaż prenumerat i liczba nabywców e-wydań, to z raportu jasno wynika, że wersja elektroniczna nie zastępuje papierowej. Czytelnicy na ogół nie nawykli do lektury pisma w internecie. Jeden z redaktorów wyznaje, że aby zatrzymać czytelników, mobilizuje swoich najlepszych autorów (i podaje ich nazwiska). Ktoś z rozbrajającą szczerością przyznaje się do zaskoczenia odkryciem, że przygotowanie wersji elektronicznej to co innego niż umieszczenie wersji papierowej w internecie. Wspólny jest problem cięcia kosztów:



tów: jedni ograniczają liczbę tekstów, inni wydają podwójne numery, ktoś za zgodą autorów zmniejsza honoraria itd. Redakcje wysyłają pracowników na zaległe urlopy. Ratunkiem bywa wsparcie czytelników i przyjaciół. Sytuację jednej z redakcji łagodzi pozakościelna sprzedaż w sieciach kolporterskich, lecz brak dokładniejszych danych nie pozwala ocenić, w jakim stopniu łagodzi.

W ankiecie KAI, niestety, zabrakło odpowiedzi naszej redakcji. Szkoda, bo „Tygodnik” nieobjęty sprzedażą parafialną, zdany na siebie i funkcjonujący na wolnym rynku, ma godne uwagi doświadczenia. Zamknięcie wielu punktów sprzedaży, w tym ok. 90 proc. salonów prasowych sieci Empik, zmniejszyło nam sprzedaż kioskową o ok. 23 proc., wzrosły jednak w tym czasie prenumerata redakcyjna (ponad 9 tys. prenumeratorów „Tygodnika” i wydań specjalnych) oraz prenumerata za pośrednictwem Ruchu (ok. 160 prenumerat). U nas również rośnie zapotrzebowanie na wydania cyfrowe: mamy ok. 6500 wykupionych dostępów do strony internetowej (wciąż napływają nowe), 1300 wykupionych prenumerat na czytniki Kindle, 1500 prenumerat elektronicznych w formie e-gazeta. Na urządzenia mobilne wykupiono w marcu ponad 1300 abonamentów. Razem wydania papierowe i elektroniczne „Tygodnika” kupuje w tej chwili ok. 38–40 tys. użytkowników. Innymi słowy: niekorzystający ze sprzedaży parafialnej „Tygodnik” lepiej znosi pandemię niż inne katolickie pisma.

© P

Weź, czytaj online!

Zamów prenumeratę cyfrową i zobacz, **jak wygodnie** jest mieć nieograniczony dostęp do strony TygodnikPowszechny.pl

- w każdą środę – **do bieżącego wydania**
- do ponad **60 tys. tekstów** archiwalnych, dodatków i podcastów

Wybierz idealny dla siebie czas dostępu
– na 1, 3 lub 12 miesięcy na powszech.net/cyfra

i czytaj „Tygodnik” **bez ograniczeń!**

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

TEMAT TYGODNIKA

12 Dumy i obrzydzenia

ROZMOWA
Z MICHAŁEM BILEWICZEM,
PSYCHOLOGIEM
SPOŁECZNYM:

*Epidemia zwiększa
skłonność do myślenia
w kategoriach dobra i zła.
Przekonani, że rząd
to zło wcielone, możemy
nie docenić tworzących się
na nim rys. I przegapić
szansę na odzyskanie
demokracji.*



26 Siostry śnią o sierotwie

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

*Nakaz wojewody i pięć dób w zakażonej placówce,
która została bez medycznej pomocy. Pielęgniarka opowiada
o kulisach swojej pracy.*

40 Katastrofa na
czubku kryzysu

ROZMOWA
Z ABDELNASSEREM
SOBOHEM, SZEFEM
BIURA WHO
W GAZIE:

*Koronawirus nie
odróżnia między
Izraelczykiem
i Palestyńczykiem,
walka z nim jest
w naszym wspólnym
interesie. Ale pokoju
po wirusie nie będzie.*



30 Głową w mur Kościoła

JAN TOMASZ RYBICKI

*Co robić w sytuacji, gdy biskup nadużywa władzy?
Święci, którzy postanowili wziąć sprawy w swoje ręce.*



94 Historia

przyjemności

MARCIN
NAPIÓRKOWSKI

*Zostaliśmy
uksztaltowani tak,
by poszukiwać soli,
tłuszczu i cukru.
Cóż jednak począć,
kiedy tłuszcz
i sól otaczają nas
w nadmiarze?*

78 Siedem minut

na rowerze

ROZMOWA

Z JOANNĄ KULIG,
AKTORKĄ:

*Musisz jedno
stracić, by drugie
zyskać. Byłabym
nieszczęśliwa,
gdybym nie mogła
grać, ale pierwsze
miejsce zajmuje
dziś rola mamy.*



6 Złe wybory
PAWEŁ BRAVO**7-11 Obraz tygodnia****18-19 Czytania / Widzenia**ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA■ ■ **KRAJ****20 Wybory Jarosławów**
ANDRZEJ STANKIEWICZ**24 Teraz jest ten moment**
ROZMOWA Z WŁODZIMIERZEM
WRÓBLEM**26 Siostry śnią o sieroctwie**
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI■ ■ **WIARA****30 Głową w mur Kościoła**
JAN TOMASZ RYBICKI**35 Wirus i wielka tajemnica wiary**
PIOTR SIKORA:
*Pierwsze komunie w czasach epidemii – to trudność, ale i szansa***37 Zwyczajna pomoc**
MARCIN CHODUŃ: *Placówki zagrożone wirusem wspomagają także ludzie w habitach i sutannach*■ ■ **ŚWIAT****40 Katastrofa na czubku kryzysu**
ROZMOWA Z ABDELNASSEEM
SOBOHEM**43 Epidemia biedy**
PAWEŁ PIENIAŻEK Z KABULU:
*Liczba infekcji w Afganistanie przekroczyła oficjalnie tysiąc***44 Woda z cukrem zamiast mleka**
ULA IDZIKOWSKA: *COVID-19 dotarł do dwóch obozów dla uchodźców w Grecji***20 Wybory Jarosławów**

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Pamiętnych starć wyborczych było w ostatnim 30-leciu wiele, ale to jest wyjątkowe. Nienormalna kampania i niepewność co do tego, czy i jak będziemy głosować w czas epidemii.

24 Teraz jest ten momentROZMOWA Z WŁODZIMIERZEM
WRÓBLEM, SĘDZIĄ SĄDU
NAJWYŻSZEGO:

Jeśli wybory stracą cechy, o których mówi konstytucja, zawali się jeden z fundamentów państwa.



PAWEŁ WIŚNIEWSKI / EAST NEWS

■ **DODATEK SPECJALNY** ■**53 1945-2020: Wojna i pamięć**■ **FELIETONY** ■**29 ANNA DZIEWIT-MELLER 50 ANDRZEJ STASIUK****92 JAN KLATA 93 PAWEŁ BRAVO****98 STANISŁAW MANCEWICZ****98 BARTOSZ MINKIEWICZ**Okładka: ZESPÓŁ TP_ONLINE
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI**Szanowne Prenumeratorki,
Szanowni Prenumeratorzy!**

W najbliższych tygodniach mogą powstać problemy z dostawą „Tygodnika Powszechnego” do Państwa skrzynek. Dokładamy wszelkich starań, by druk i dystrybucja odbywały się bez opóźnień, jednak nie mamy wpływu na cały łańcuch dystrybucji. Prosimy serdecznie o wyrozumiałość oraz cierpliwość.

46 Prymus gra słabymi kartami
DARIUSZ KAŁAN Z BRATYSŁAWY:
*Słowacja w czasie pandemii***48 Epicentrum na Koronawyspie**
PATRYCJA BUKALSKA: *Mieszkańcy największej estońskiej wyspy, Saremy, mają za sobą ciężkie chwile*■ ■ **HISTORIA****70 Realista i fantasta**
WALDEMAR ŁAZUGA o *Józefie Piłsudskim i Michale Bobrzyńskim*■ ■ **NAUKA****74 Łapa w łapę**
JOANNA BAGNIEWSKA:
*Zwierzęta współpracują, i to z innymi gatunkami***76 Mistrz gry**
TOMASZ MILLER: *John Horton Conway był matematycznym alchemikiem*■ ■ **KULTURA****78 Siedem minut na rowerze**
ROZMOWA Z JOANNĄ KULIG**82 Dom i świat**
MICHAŁ SOWIŃSKI: *Nie trzeba jechać daleko – lokalność jest w cenie***86 Wkrótce będzie nowocześnie**
OLGA DREND: *Architektura przełomu wieków świadczy o wielkim optymizmie tamtych lat***90 Tylko kotów żal**
ANITA PIOTROWSKA o *serialu dokumentalnym „Król tygrysów”***92 Teologia i kryminał**
LEKTOR o *książce Macieja Miłkowskiego „System Sulta”*■ ■ **ZMYŚŁ****94 Historia przyjemności**
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Prywatność albo zdrowie**Obrońcy prawa do anonimowości obawiają się, że nasze życie prywatne obnażą przed władzami aplikacje śledzące rozprzestrzenianie się COVID-19 – pisze **WOJCIECH BRZEZIŃSKI** powszech.net/ Prywatność-zdrowie➔ **Rozmowy o byciu razem [Podkast Powszechny]**Przyjechałem do Białowieży na balangę, gdzie zobaczyłem Nurę. I zakochałem się. Oboje stwierdziliśmy, że jedynym miejscem, gdzie możemy być razem, jest Puszcza – opowiada **ADAM WAJRAK** w cyklu rozmów powszech.net/rozmowy-razem

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■
 /TYGODNIK ■
 /TYGODNIK ■
 YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ
TYGODNIA



ZŁE WYBORY

Polacy w równym stopniu nie wiedzą dziś,
kiedy będą mogli pójść do fryzjera,
jak i kiedy będą mogli wybrać prezydenta.

PAWEŁ BRAVO

4 MAJA, NA SZEŚĆ DNI PRZED WCIAŻ OBOWIĄ-
zującą datą wyborów, nie było wiadomo
na 100 procent, czy i jak się odbędą – choć na-
wet ci politycy obozu władzy, którzy do nie-
dawna zapewniali, że wszystko uda się zro-
bić w terminie, jakby przycichli. Mało tego:
nikt nie wiedział, czy nie zostanie wyznaco-
ny któryś z dwóch nieco późniejszych ter-
minów, możliwych dzięki by-passom, jakie
władza powstawiła w przepisach, budząc
sprzeciw prawników i instytucji. A jeśli tak
– to w jakiej formie? Stacjonarnej, korespon-
dencyjnej, mieszanej? Wszystko to zresztą

dało nam okazję do pouczających rozważań,
jak podstawowe aspekty ustroju i etyki poli-
tycznej zależą od przyziemnych rozwiązań
i wyzwani logistycznych.

Na tych łamach kilkakrotnie opisywali-
śmy rafy na drodze do akceptowalnych stan-
dardów tajności i powszechności, przez które
nie przebrnie nawet najbardziej woluntary-
styczna władza. Swoim zwyczajem nałogowe-
go gracza (niektórzy mówią: szulera) Jarosław
Kaczyński do ostatniej chwili trzyma jednak
otwarte wszystkie możliwe opcje, włącznie
z taką, żeby Andrzej Duda złożył nagłą dymi-

*Happening
#SEGREGUJodPADy
– protest przeciwko
wyborom w czasie
pandemii,
Gdańsk,
1 maja 2020 r.*

sję, co opóźniłoby termin wyborów – bez konieczności wprowadzania stanu nadzwyczajnego.

Wszystkie te piętrowe konstrukcje – niektóre tak abstrakcyjne, że raczej śmieszne niż straszne, a na pewno wątpliwe prawnie – są potrzebne prezesowi PiS, żeby zamazać obraz sytuacji swoim przeciwnikom i opinii publicznej. Jest ona w sumie bardzo prosta: oto monopartyjny układ władzy o wyraźnych ciągach autorytarnych zaczął się rozszczelniać. Zaciął się bezwzględny w pogardzie dla parlamentaryzmu ciąg technologiczny maszynek do głosowania i podpisów na zawołanie.

Oczywistym przejawem tego procesu jest sprzeciw Jarosława Gowina, lidera Porozumienia, wobec majowej daty wyborów oraz sposobu przygotowania ich korespondencyjnej wersji – co wywołało niesłyszana w polskim ustroju tego stulecia sytuację, że nie wiadomo, czy rząd ma większość w tak ważnej sprawie.

Ale również istotnym elementem niespodziewanej i wymuszonej nagłą sytuacją przebudowy polskiej polityki jest definitywne wykrwawianie się Platformy Obywatelskiej. Jedno z drugim się wiąże: jeśli PiS i PO są jak yin i yang polskiej polityki, to nie ma znaczenia, który z elementów, czarny czy biały, odkształca się jako pierwszy. Wykluwa się nowa równowaga, w trudno zrozumiałych swarach liderów opozycji i w trakcie gorączkowych kombinacji pretendentów do schedy po Kaczyńskim. I to wszystko akurat w chwili, kiedy potrzebny jest stabilny i niebojący się dialogu rząd, mający za partnera opozycję niezajętą wewnętrzną walką o tytuł króla podwórka. Choćby po to, by przeprowadzać nas przez kolejne fazy dezorganizacji życia społecznego i gospodarki wymuszone przez epidemię.

Polacy w równym stopniu nie wiedzą dziś, kiedy będą mogli pójść do fryzjera, jak i kiedy będą mogli wybrać prezydenta. W interesie władzy leży, by zajmowało ich tylko to pierwsze – skądinąd też istotne – pytanie. Partie opozycji mogłyby zaś sprawić, że byśmy z tą drugą kwestią powiązali jasny plan działania. Np. uzgodnić jedną wspólną kandydaturę. Na razie każdy z nas ma same dylematy: czy firmować podejrzane głosowanie, o ile dojdzie do niego w maju, a jeśli tak, to jak przełamać układ, który dominację PiS dotąd konserwował. Dopóki nic się nie zmienia, czekają nas same złe wybory. ©P

Żłobki i przedszkola w cieniu polityki

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



NAJPIERW BYŁO WESTCHNIENIE ULGI: rząd uwalnia „uwięzione” od tygodni w czterech ścianach dzieci, dając zielone światło dla otwarcia placówek. Później przerażenie: decyzję, by od 6 maja odmrozić instytucjonalną opiekę, ogłoszono z nienacką, dając kilka dni na przygotowania.

Większość samorządowców (to oni prowadzą placówki publiczne) odmówiła łapania tego gorącego kartofla – zapowiedzieli, że w tym tygodniu nic się na ich terenie nie zmieni. Właściciele placówek niepublicznych zareagowali różnie: jedni stwierdzali, że do środy nie zdążą (rządowe wytyczne mówią o usuwaniu niektórych zabawek, dezynfekcji innych, ścisłym reżimie sanitarnym, dzieleniu dzieci na grupy itd.). Inni – raczej nieliczni – zgłaszali gotowość startu. Wszyscy sondowali rodziców, część wysłała asekuracyjne listy: że nie są w stanie dać stuprocentowego bezpieczeństwa; że zalecane ograniczenia kontaktu między dziećmi to mrzonka.

Jaka jest logika rządowej decyzji? Nie sposób znaleźć jej w wykresach epidemicznych: 11 marca, gdy ogłaszano zamknięcie placówek, mieliśmy dziewięć przypadków zachorowań tego dnia;

24 kwietnia, kiedy minister edukacji mówił, że powrót dzieci do placówek jest wykluczony, tych zachorowań było ponad 300. A ledwie kilka dni później, tuż przed obwieszczeniem, że drzwi żłobków i przedszkoli zostaną jednak otwarte, usłyszeliśmy o 422 przypadkach i 28 ofiarach śmiertelnych COVID-19.

O co więc chodzi? Po pierwsze o gospodarkę: dzieci w przedszkolach i żłobkach to więcej rodziców pracujących i mniej na utrzymaniu państwa. Po drugie o politykę. „Otwieramy galerie, wasze dzieci chodzą do placówek – co stoi na przeszkodzie wyborów?” – mówi nam rząd. W tym ujęciu nasze bezpieczeństwo leży na partyjnym ołtarzyku wyborczych fantazji jednego człowieka – Jarosława Kaczyńskiego. A konsekwencje ewentualnych klęsk – ognisk zachorowań, niedociągnięć organizacyjnych – będzie można zrzucić na samorządy.

„Bezpieczeństwo przede wszystkim” – tak zbiór wytycznych dla żłobków za tytułowało Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Ale ta decyzja z bezpieczeństwem nie ma nic wspólnego. Chyba że chodziło o bezpieczeństwo partii władzy. ©P

Testy, czyli stłucz pan termometr

1,11 – tyle wynosi obecnie w Polsce wskaźnik reprodukcji koronawirusa. Najwyższy był 16 marca – 2,75, co oznaczało, że jedna zainfekowana osoba zarażała w ciągu tygodnia prawie trzy inne. Aby epidemia zaczęła wygasać, wskaźnik musi być mniejszy od 1. Udało się to osiągnąć m.in. Niemcom (współczynnik 0,71) i Austriakom (0,55). Polska jest jeszcze po niewłaściwej stronie wykresu, ale rząd zaczął odmrażać gospodarkę. Na zapowiadającej to konferencji minister zdrowia i premier sięgnęli po inną statystykę: oto poprzedniego dnia liczba osób wyleczonych przewyższyła liczbę nowych zachorowań.

Jeśli jednak przyjrzeć się liczbie przeprowadzanych u nas testów na obecność COVID-19, przychodzi na myśl Wałęsowski bon mot o termometrze. Przeprowadzi-

liśmy 9,6 tys. testów w przeliczeniu na milion mieszkańców. Wskaźnik ten we Francji wynosi 16,8 tys., w Niemczech 30,4 tys., w Portugalii 41,8 tys., a w Luksemburgu 75,8 tys. Zajmujemy w Unii piąte miejsce od końca. Resort zdrowia chwali się możliwością przeprowadzenia 25 tys. testów na dobę, potencjał ten nie został jednak wykorzystany w więcej niż 60 proc. Wykrywalność zakażeń jest więc w Polsce kiepska; część ekspertów mnoży oficjalne statystyki nawet przez pięć. Poważne problemy z wywalceniem dostępu do testu mają osoby w kwarantannie, a jeszcze większe te z objawami COVID-19 z własnej woli poddające się izolacji. Niejednokrotnie nie zostaje od nich pobrany wymaz lub też nie są informowane o wyniku. Niska liczba przeprowadzanych testów nie pozwala wykryć zakażeń, a więc także izolować chorych i poddawać kwarantannie osób z kontaktu. Co raczej nie zbije wskaźnika reprodukcji wirusa.

©P MACIEJ MÜLLER

Egzekutor w Sądzie Najwyższym

OBÓJ WŁADZY lubi takich najemników, jak nowy p.o. prezes Sądu Najwyższego Kamil Zaradkiewicz. Zdolni i sprawni, w zamian za stanowiska gotowi wykonywać każdą robotę dla partii.

Przez większość prawniczej kariery 48-letni Kamil Zaradkiewicz żył w zgryzocie. Niby zdobył tytuł doktora habilitowanego, niby doszedł do posady dyrektora w kluczowym zespole Trybunału Konstytucyjnego, ale wciąż było mu mało. Patrzył na kolejne rundy nominacji do TK i Sądu Najwyższego w przekonaniu, że to jemu należą się awanse. Tyle że żadna polityczna ekipa przez kilkanaście lat go nie dostrzegła.

Postanowił się zatem sam zaprezentować. Choć był pupilem prezesa TK Andrzeja Rzeplińskiego, to po wygranych przez PiS wyborach w 2015 r. wbił swemu patronowi nóż w plecy. Gdy wybuchła wojna o TK, stanął po stronie PiS.

Od tego momentu zaczął robić szybką karierę przy nowej władzy. Wiosną 2017 r. trafił do rządzonego przez Zbigniewa Ziobrę resortu sprawiedliwości, gdzie został szefem Departamentu Prawa Administracyjnego. Jednocześnie – co wiadomo nieoficjalnie – był jednym z głównych prawniczych scenarzystów operacji PiS obliczonych na przejęcie kontroli nad sądownictwem.

Ale zasadniczy cel miał Zaradkiewicz wciąż ten sam: dostać się do TK lub Sądu Najwyższego.

Ostatecznie dostał nominację do Izby Cywilnej SN po tym, gdy PiS przejęło kontrolę nad Krajową Radą Sądownictwa, opiniującą kandydatów na sędziów. Jego nominacji nie zatrzymała nawet krytyka ze strony Krystyny Pawłowicz, ówczesnej posłanki PiS. Pawłowicz uważa Zaradkiewicza za „ideologa homomałżeństw”, bo kiedyś przekonywał, że konstytucja nie stoi na przeszkodzie do wprowadzenia związków jedнопłciowych.

Od początku jego rola w SN była jasna – miał wszelkimi metodami walczyć z sędziami po to, by zwiększać wpływy obozu władzy w tym najważniejszym sądzie w kraju. Teraz następuje finał tej operacji: Zaradkiewicz ma przygotować grunt pod wybór nowego I prezesa SN z nadania PiS. Sam kandydować nie zamierza, zresztą PiS tak istotnej posady najemnikowi dać nie byłoby skłonne.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

KRAJ W SKRÓCIE



ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER

KORESPONDENCJA

Poczta Polska oświadczyła, że korespondencja przez nią doręczana jest bezpieczna, a przez cały okres epidemii zakażeniu koronawirusem uległo 0,03 proc. jej pracowników.

Z najnowszych doniesień wynika, że 10 maja listonosze nie będą musieli pracować.

SŁUPKI

To dobra wiadomość nie tylko dla nich, ale np. dla Małgorzaty Kidawy-Błońskiej.

W ostatnim sondażu, zamówionym przez OKO.press, może liczyć na zaledwie kilka procent poparcia, a wyprzedzają ją Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

„Na każdym kroku słyszę, jaka to opozycja jest zła i słaba. OK, jesteśmy beznadziejni, biorę za to odpowiedzialność, ale powiem wam szczerze – w końcu to wy nas wybraliście” – powiedziała postanka Koalicji Obywatelskiej Klaudia Jachira.

SPRAWCY

Czasami się jednak przydają: Sejm, głosami wszystkich klubów (wytarmało się koło Konfederacji), przyjął ustawę antyprzemocową. Wedle jej założeń policja i żandarmeria wojskowa będą mogły nakazać sprawcy opuszczenie mieszkania na 14 dni, bez względu na ewentualne twierdzenie, że nie ma dokąd się wyprowadzić; sąd może nakazać przedłużyć na wniosek ofiary.

Polska przestaje pomagać



MARCIN ŻYŁA

JUŻ NAWET NIE „NA MIEJSCU”, CZYM TAK LUBIŁ chwalić się rząd, lecz prawie w ogóle – MSZ anulowało rozpisany wcześniej, wart prawie 14 mln zł, konkurs dla stowarzyszeń i fundacji na projekty z zakresu pomocy rozwojowej. Tłumaczenie się pandemią COVID-19 brzmi pokrętnie (kraje zachodnie z jej powodu zwiększają pomoc); decyzja – podobnie jak ta sprzed pół roku, o nierozpisywaniu grantów na pomoc humanitarną – musiała zapaść wyżej, zapewne w otoczeniu premiera.

Że na Bliskim Wschodzie i w Afryce tracą ludzie, którym pomagamy, to jedno. Że w Polsce wielu organizacjom pozarządowym, moźolnie zdobywającym kontakty i ostatnio szybko się profesjonalizującym, grozi teraz kryzys, to drugie. Dziwi jednak nonszalancja, z jaką sami zmniejszamy swoje wpływy. Te 14 mln zł (przybliżony koszt remontu 7 km drogi krajowej) mogło być naszymi najlepiej wydanyymi pieniędzmi za granicą. Rzucone przez ambasadora podczas rozmowy z miejscowym urzędnikiem: „A przy okazji, wie pan, że pomagamy szpitalowi w stolicy?” załatwiało więcej niż dyplomatyczne komunały czy mgliste obietnice inwestycji. Właśnie się tego pozbawiliśmy. ©P



BENITA ZAWRZEL / REPORTER

NA ŚCIEŻCE na Szynielnielnie spójrz pod nogi – to głodna żaba. Pod wsią Zdymia popatrz na skrzek złożony desperacko w rwącym potoku, bo na łące się nie dało, nie ma wody. Na Rynku w Krakowie coś mniej gotębi. W Wiśle opadająca fala odkryta gniazdo sandacza; w wysychającym mule ryba wciąż broni ikry. Pomyśl o pszczołach bez nektaru, bo nie ma roślin, i jeżach, które – odwodnione – budzą się wiosną z hibernacji. Jeśli się nie napiją, umrą. Już umierają. Susza zabija najmniejsze zwierzęta. ©P



MARCO LONGARI / AFP / EAST NEWS

Mozambik: najemnicy walczą z islamistami

POGARSZA SIĘ SYTUACJA w Mozambiku, gdzie od ponad dwóch lat zbrojni islamisci atakują miasta i wsie w północnej prowincji Cabo Delgado (na zdjęciu wioska Aldeia da Paz, spalona przez ekstremistów w sierpniu 2019 r.). Region to zagłębie rubinów i trzecie największe w Afryce złoża gazu ziemnego. W ostatnich latach zainteresował się nimi zagraniczny kapitał. Wysiedlenia pod nowe odwierty i prowadzona przez mozambickie wojsko walka z nielegalnym wydobyciem sprzyjają radykalizacji.

Ekstremiści z Asz-Szabab (inna organizacja o tej nazwie działa w Somalii), których celem jest założenie państwa islamskiego, werbują całe miejscowości, a opornych zabijają. W kwietniu zginęło tak 52 mężczyzn ze wsi Xitaxi. Czasem rozdadają żywność – na

północy kraju wciąż odczuwa się skutki zeszłorocznego huraganu Kenneth, który zniszczył kilkadziesiąt tysięcy domów. Sytuację pogarsza stan wyjątkowy wprowadzony w związku z epidemią.

Słabo doposażona armia nie umiała sama zdławić islamistycznej rebelii. Jesienią 2019 r. na zlecenie rządu do Mozambiku przylecieli więc najemnicy z rosyjskiej Grupy Wagnera, znani z udziału w wojnie w Syrii. Tu jednak ponieśli porażkę: nie docenili przeciwnika, a ich śmigłowce psuły się w wilgotnym podrównikowym upale. Rosjanie się wycofali, a rząd w Maputo musiał zatrudnić pięć razy droższych najemników pod dowództwem zimbabwejskiego weterana płk. Lionela Dycka, który już wcześniej walczył tu z kłusownikami. Opłaciło się: 29 kwietnia najemnicy wyparli Asz-Szabab z Nacoby, jednej z kilkunastu miejscowości zajętych wcześniej przez islamistów.

© P MARCIN ŻYŁA

Niemcy: spór o otwarcie szkół i przedszkoli

ZAPOWIEDŹ OTWARCIA w maju szkół i przedszkoli wywołała w Niemczech burzliwą dyskusję nad bezpieczeństwem takiego kroku w chwili, gdy liczby infekcji i zgonów wprawdzie maleją, lecz nadal są na wysokim poziomie (do 3 maja na COVID-19 zmarło prawie 7 tys. osób). Temperaturę sporu podniosła publikacja analizy – autorstwa zespołu pod kierunkiem wirusologa Christiana Drosten z berlińskiego szpitala Charité – który badał dzieci zarażone koronawirusem. Wniosek: choć przechodzą one COVID-19

łagodnie, to koncentracja wirusa w ich drogach oddechowych jest podobna jak u dorosłych i zarażają one tak jak dorośli. Drosten przestrzega przed otwieraniem przedszkoli i szkół bez ograniczeń.

Analiza Drostena – dostępna na stronie Charité i będąca jednym z niewielu takich badań na świecie (dzieci zwykle nie mają symptomów i trudniej je badać na większą skalę) – jest teraz obiektem polemik. Można odnieść wrażenie, że traktowana emocjonalnie kwestia przedszkoli i szkół stała się *pars pro toto* szerszej debaty, która rozwija się w Niemczech – po tym, jak w pierwszych tygodniach kwarantanny restrykcje przyjmowano niemal bez dyskusji.

© P WP / ARD, FAZ

Koronadyplomacja, czyli maski opadają

PIOTR OLEKSY



EUROPEJSKICH DYPLOMATÓW OBURZYŁ gest serbskiego prezydenta Aleksandra Vučića, który – witając jakiś czas temu samolot z Chin ze sprzętem medycznym – oświadczył, że pomoc unijna jest iluzją, i pocałował chińską flagę. Choć Unia jest największym donatorem w Europie Wschodniej i na Bałkanach w czasie pandemii, w wielu krajach przegrywa rywalizację o rząd dusz z Chinami i Rosją.

Teraz, pod koniec kwietnia, Komisja Europejska zdecydowała, że przeznaczy 3 mld euro na pomoc dla państw partnerskich w walce z ekonomicznymi skutkami kryzysu spowodowanego pandemią. W ramach wcześniej uruchomionych programów Bruksela przeznaczyła już 800 mln euro na pomoc państwom bałkańskim i Turcji oraz 840 mln dla krajów Partnerstwa Wschodniego.

Do tych działań nie można przyrównać chińskiej pomocy, która najczęściej jest powiązana z ofertą handlową, opiewającą na kwoty znacznie przekraczające wartość okazanej pomocy. Natomiast Rosja wykorzystuje obecny kryzys dla wsparcia przyjaznych sobie sił politycznych i osiągnięcia konkretnych korzyści. W Bośni i Hercegowinie oraz w Kosowie Moskwa skierowała swą pomoc tylko do tych regionów, które w większości zamieszkują Serbowie. Mołdawii zaoferowano zaś umowę kredytową na 200 mln euro, która zawierała zapisy otwierające drogę do malwersacji realizowanych kosztem tamtejszego podatnika. Kredyt – przedstawiany jako pomoc w dobie kryzysu – był negocjowany przez mołdawskiego prezydenta Igora Dodona już od kilku miesięcy i miał na celu wsparcie jego kampanii w nadchodzących wyborach prezydenckich. Unijne instytucje alarmują też, że Rosja i Chiny prowadzą kampanię dezinformacyjną, która uderza we Wspólnotę.

Nie wszyscy liderzy w Europie Wschodniej i na Bałkanach idą w ślady Vučića. Czarnogóra czy Macedonia Północna podkreślają swój europejski wybór. Jak w wielu innych kwestiach, także w regionalnej geopolityce koronawirus nie dokonał więc rewolucji, lecz dał paliwo dla istniejących już tendencji.

©



KARD. KONRAD KRAJEWSKI:

Nie jestem kamikadze

EDWARD AUGUSTYN: Biednych przybywa?

KARD. KONRAD KRAJEWSKI: Na pewno jest ich więcej. Do tych, którym zawsze pomagaliśmy – bezdomnych i imigrantów – dołączają ci, którzy tracą pracę.

Jak grupa transseksualnych prostytutek, którym Ksiądz Kardynał nie odmówił pomocy?

Nie ma w tym żadnej sensacji. Robimy to, co mówi Ewangelia. Bez znaczenia, czy to osoba transseksualna czy inna.

Ile pieniędzy wydaje papieski jałmużnik na pomoc?

W ubiegłym roku wydaliśmy na pomoc 4,5 mln euro. Teraz będzie co najmniej dwa razy więcej, choćby dlatego, że kupujemy dużo medycznego sprzętu.

Apelował Ksiądz, by duchowni wyszli na ulice do biednych. Jest odzew?

I to duży. Na początku epidemii bezdomni głodowali. Po dwóch tygodniach parafie i klasztory zaczęły się otwierać – w Rzymie mamy dziś 130 punktów pomocy. Niektóre wydają po 500 obiadów.

Ksiądz też jeździ codziennie do szpitali, domów opieki, ludzi w kwarantannie. Nie boi się Ksiądz, że zarazi siebie albo innych?

Przestrzegam wszystkich zasad. Zakładam maskę, rękawiczki, zachowuję odległość. Nie jestem kamikadze. Nie szukam śmierci. Ale moje życie zależy od Pana Boga, nie od wirusa.

Miał Ksiądz robione testy?

Tak. Prosił mnie o to moi pracownicy. Mają w domach dzieci, rodziców, dziadków. Miłość bliźniego polega też na tym, by go nie narażać. Dlatego na ulice czy do szpitali, gdzie są zarażeni, jadę sam. ©©

Więcej na: powszech.net/kard-krajewski

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

LITURGIA POD LUPĄ
Kongregacja Nauki Wiary rozesłała do przewodniczących episkopatów list, w którym prosi o informacje na temat stosowania w praktyce motu proprio Benedykta XVI „Summorum Pontificum” z 2007 r., ułatwiającego sprawowanie mszy według mszału sprzed reformy liturgicznej. Pytania kwestionariusza dotyczą np. tego, czy liturgia przedsoborowa jest sprawowana w diecezji z powodu rzeczywistej potrzeby duszpasterskiej. Środowiska tradycjonalistów obawiają się, że Franciszek zamierza ograniczyć dostęp do tzw. mszy trydenckiej.



OSSERVATORE ROMANO / BEW

NOWA FUNDACJA

Franciszek powołał do życia Fundację Watykańską Jana Pawła I. Jej celem będzie pogłębianie wiedzy na temat postaci, myśli i nauczania Albina Lucianiego, który został wybrany papieżem 26 sierpnia 1978 r. i sprawował urząd przez zaledwie 33 dni (zmarł 28 września). Prezesem fundacji został sekretarz stanu kard. Pietro Parolin, a jego zastępczynią – Stefania Falasca, włoska dziennikarka, wicepostulatorka procesu beatyfikacyjnego Lucianiego, nazwanego papieżem uśmiechu.

WYRÓŻNIENIE

Lubelscy radni przyznali o. Ludwikowi Wiśniewskiemu tytuł Honorowego Obywatela Miasta Lublina. Znany dominikanin został wyróżniony, gdyż „przez lata swojej posługi kapłańskiej i społecznej stał się autorytetem wielu środowisk, duchowym przewodnikiem, który odegrał ważną rolę w życiu zawodowym i społecznym wielu Polaków, w tym Lublinian”. Naszemu autorowi serdecznie gratulujemy!

Msze online tylko na żywo



ARTUR SPORNIAK

BISKUP OPOLSKI ANDRZEJ CZAJA ZAKAZAŁ UDOSTĘPNIANIE na stronach parafialnych nagrań mszy i nabożeństw po ich zakończeniu. „Mogą być one jedynie transmitowane w czasie rzeczywistym” – zaznaczył w dekrete organizującym życie religijne w czasie pandemii. Diecezjan zaskoczyło takie zarządzenie. Pytano: dlaczego nie można wracać do homilii, która komuś dała do myślenia? Wskazywano, że na stronie Watykanu można odtwarzać msze z udziałem papieża.

Biskup Czaja wyjaśnił Katolickiej Agencji Informacyjnej, że rozporządzenie jest reakcją na niebezpieczeństwo utrwalenia się niepoprawnych praktyk, np. „odtworzenia wieczorem mszy celebrowanej rano z myślą o duchowej łączności z tą celebrowaną Eucharystią”. Nagranie nie „odtworza” samej mszy jako ofiary. Jednocześnie w kurialnym komentarzu dopowiedziano, że restrykcją nie są objęte fragmenty celebracji, jak homilie, które można publikować w oddzielnych plikach.

Choć za tą decyzją stoją racje teologiczne, można się zastanawiać, czy strategia „ograniczania możliwości błędzenia” rzeczywiście jest lepsza niż strategia „zaufania w dojrzałe wybory ludzi”, jeśli im się odpowiednio sprawę zawczasu wyjaśni. ©©

Zaległość w sumieniu niemieckich biskupów

MUSIAŁO MINĄĆ 75 LAT, aby powstał dokument, którego tytuł („Niemieccy biskupi wobec wojny światowej”) brzmi sucho – odwrotnie niż treść. Tekst, który w minionym tygodniu przedstawił bp Georg Bätzing, przewodniczący Episkopatu Niemiec, to nie tyle wyznanie winy (wszak uczestnicy zdarzeń dawno nie żyją), co zapełnienie „luki w pamięci, a także luki w sumieniu”, jak ujął to bp Bätzing.

Czytając 23-stronicowy tekst (dostępny na stronie dbk.de), można sobie wyobrazić, że biskupom nie było łatwo wystąpić w roli sędziów nad poprzednikami i wydać wyrok. Ten jest surowy. W skrócie: przy całym (wewnętrznym) dystansie wobec narodowego socjalizmu, niemieccy biskupi zawiedli – nie sprzeciwiali się wojnie i zbrodniom; lojalni wobec państwa, byli „częścią wojennego społeczeństwa”; nie wykazali empatii wobec ofiar innych niż własne. Dlatego „stali się współwinnymi tej wojny”.

Niemiecki Kościół wiele razy zabierał już głos w sprawie II wojny światowej, ale ten dokument jest wyjątkowy. Dlaczego powstał dopiero teraz? Pośrednio odpowiedzieli na to sami biskupi, pisząc: „W przemianie pamięci historycznej, od 1945 r. do dziś, odbija się polityczno-kulturalna transformacja Niemiec po II wojnie światowej”.

©© WOJCIECH PIĘCIAK

KULTURA W SKRÓCIE

NAJNOWSZY FILM

Jana Komasy „Sala samobójców. Hejter” zdobył główną nagrodę amerykańskiego Festiwalu Filmowego Tribeca.

To pierwsza polska produkcja doceniona przez jury FFT. „Hejter” wszedł na ekrany w pierwszy weekend marca i tuż przed zamknięciem kin zobaczyło go ponad 140 tys. widzów. Obecnie film dostępny jest na platformie VOD.

NAJCIĘKAWSZE TYTUŁY

dotychczasowych edycji ogólnopolskiego festiwalu filmów dokumentalnych Millennium Docs Against Gravity będzie można obejrzeć na stronie Ninateki od 8 do 17 maja. Wśród propozycji m.in. nominowana do Oscara macedońska „Kraina miodu”, „Twarze, plaże” Agnès Vardy, „Sól ziemi” Wima Wendersa oraz „Ostatni w Aleppo” – zwycięzca festiwalu w Sundance.

NAJWIĘKSZE FESTIWALE

filmowe z Berlina, Karlowych Warów, Locarno, Nowego Jorku, San Sebastian, Sundance, Toronto oraz Cannes i Wenecji łączą siły w wirtualnym „We Are One: A Global Film Festival”. Impreza startuje 29 maja na YouTube. W programie zarówno klasyki, jak i nowe produkcje, a także dyskusje, spotkania z filmowcami oraz koncerty. Szczegóły wkrótce.

VI część Domowego

Wtórki Kultura na stronie powszech.net/wloczykij6



MICHAŁ SOWIŃSKI,

autor tekstu na s. 82, będzie gościem Grzegorza Chłasty w środę 6 maja o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie

Czy ludzie kultury mogą liczyć na państwo?

PIOTR KOSIEWSKI



ZAMKNIĘTO WSZYSTKIE INSTYTUCJE KULTURY, zamarała produkcja muzyczna i filmowa, wielu twórców straciło źródła utrzymania. To poważny problem: tylko w obszarze kultury i przemyśle kreatywnym działało 117,2 tys. przedsiębiorstw (dane GUS za 2018 rok).

Odpowiedzią rządzących jest program Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Kultura w sieci”. Niedawno zwiększono jego budżet do 80 mln zł: 60 mln przeznaczono na prezentacje online, a 20 mln na stypendia dla twórców i artystów. To dobra wiadomość – pierwotna kwota wynosiła 20 mln. Jak przekonuje Piotr Gliński, to nie jedyne wsparcie: o 55 mln zł zwiększono środki w innych programach MKiDN. Firmy z obszaru kultury mogą też liczyć na pomoc w ramach tarczy antykryzysowej. Łącznie, jak oznajmił minister, wsparcie może sięgnąć 4 mld zł. Skala potrzeb jest jednak ogromna. Do „Kultury w sieci” w ciągu dwóch tygodni wpłynęło 12 tys. wniosków! A problem będzie się pogłębiał. Od 4 maja mają zacząć działać muzea, galerie i biblioteki, ale na

otwarcie teatrów i kin, a tym bardziej na koncerty, poczekamy dłużej.

Działania MKiDN dobrze pokazują kłopoty rządu z odpowiedzią na pandemię. Problemem nie jest jedynie poziom wsparcia, lecz także długi okres niepewności, w jakiej przyszło funkcjonować instytucjom i ludziom. Na rozpatrzenie wniosków stypendialnych w ramach „Kultury w sieci” ministerstwo ma miesiąc, a środków wystarczy zaledwie dla ok. 1100 osób. Procedury przyznawania pomocy są skomplikowane. Zabrakło dialogu z zainteresowanymi. Dopiero niedawno powołano Zespół Antykryzysowy ds. Kultury z udziałem przedstawicieli wszystkich branż i środowisk twórczych (pierwsze posiedzenie odbyło się 28 kwietnia!).

MKiDN musi się też zmierzyć z podejrzeniami, że finansuje jedynie „słusznych”. Podejrzeniami może nieuzasadnionymi, lecz rządzący skutecznie podkopali zaufanie społeczne, podkreślając klientystyczne rozumienie relacji władza–obywatele. Tym ważniejsze jest pokazanie, że ludzie kultury mogą liczyć na swoje państwo. ©

Raport z zakażonego ula



ADDBE STOCK

PSZCZOŁY MIODNE

też mają swoje epidemie. Jedną z groźniejszych chorób wywołuje izraelski wirus ostrego paraliżu (IVAP),

którego mechanizm rozprzestrzeniania się opisali w „PNAS” Amy C. Geffre i współpracownicy. Gdy zakażony osobnik znajdzie się w ulu, robotnice rozpoczynają akcję izolacyjną – ograniczają kontakty z nosicielem, m.in. dostarczanie mu pokarmu. Głodni nosiciele nie potrafią jednak usiedzieć w miejscu – zaczynają się przemieszczać, poszukując kontaktów społecznych – i jedzenia.

Gdy zakażony osobnik opuści rodziną kolonię, może trafić do innego ula. Najpierw jednak musi przedostać się przez strażników, którzy są wyczuleni na osobniki z obcego roju. Badania wskazują, że nosicielom IVAP udaje się to znacznie częściej niż osobnikom zdrowym. Jedną ze stosowanych przez nie strategii jest pokora i przekupstwo – okazywanie strażnikom uległości i zostawienie im podarku w postaci pożywienia. © ŁK

Szczepionki: wyścig trwa

JAK PODAJE „NATURE”, obecnie w ponad 90 ośrodkach na świecie trwają prace nad wyprodukowaniem szczepionki przeciwko nowemu koronawirusowi. Eksperymenty prowadzone są łącznie w ośmiu różnych kierunkach – w zależności od tego, z czego składać ma się szczepionka. Najwięcej badań jest we wczesnej fazie przedklinicznej, co oznacza, że jest jeszcze za wcześnie, aby nawet na próbę podawać je ludziom. Tylko w sześciu przypadkach rozpoczęły się testy z udziałem małych grup ochotników.

Kilka tygodni temu „Nature Reviews” przypomniało, że średni czas produkcji szczepionki to 10 lat; za przypadek „szybki” uznano szczepionkę przeciwko wirusowi ebola, która powstała w pięć lat. Co więcej, tylko 6 proc. szczepionek, które bada się klinicznie, trafia ostatecznie na rynek. Niektórzy producenci twierdzą tymczasem, że wypuszczą szczepionkę na rynek nawet za 18 miesięcy. Pojawia się więc kłopotliwe pytanie, jakie konkretnie cechy będą wyróżniać to laboratorium spośród 90, które jako pierwsze zaproponuje nam gotowy produkt.

© ŁUKASZ ŁAMŻA

DUMY I OBRZYDZENIA

MICHAŁ BILEWICZ:

Epidemia zwiększa skłonność do myślenia w kategoriach dobra i zła. Przekonani, że rząd to zło wcielone, możemy nie docenić tworzących się na nim rys. I przegapić szansę na odzyskanie demokracji.

KALINA BŁAŻEJOWSKA: Ile jeszcze wytrzymamy?

MICHAŁ BILEWICZ: Zależy od wykresów. Jest taki efekt w psychologii, nazywany *trening norms*: widok rosnącej krzywej ma na nas kolosalny wpływ, o wiele większy niż widok wysokiego poziomu. Ta krzywa zdecydowanie o tym, kiedy ludzie skończą z izolacją. Co wcale nie musi być dla nich zdrowe.

Krzywą pokazuje rząd. Ufa Pan tym danym?

Są oczywiście obciążone błędem wynikającym z niewielkiej liczby pomiarów. Zastanawia mnie, dlaczego w Polsce nie ma reprezentatywnego programu testów, który byłby w stanie określić trend, a do tego dać wiedzę o faktycznej śmiertelności COVID-19. W połowie marca napisałem na Twitterze, że powinno się testować losową próbkę z populacji. Później niektóre kraje faktycznie zdecydowały się na taki krok. U nas zostało to uznane za marnowanie testów. Spadł na mnie hejt.

Dla psychologa społecznego taka epidemia to musi być fascynujący czas.

Raczej paradoksalna sytuacja: jako psychologowie zazwyczaj szukamy w ludziach tego, co nieracjonalne. A teraz mam wrażenie, że zachowują się racjonalniej niż rządy. Zauważmy, że nasz minister zdrowia był w lutym na nartach we Włoszech, w marcu zapewniał, że noszenie masek jest zbędne. Tymczasem Polacy sami zaczęli naciskać na izolację. Miało to też złe strony, choćby te erupcje oburzenia na spacerowiczów czy imprezowiczów nad Wisłą.

18 marca muzyk Damian Maliszewski wrzucił na Facebooka zdjęcia warszawiaków na bulwarach i napisał: „Ich poziom intelektualny i wyobraźnia są wprost proporcjonalne do poziomu płyty chodnikowej”. Apelował do rządu: „Zwleka-

SYMON STARNAWSKI / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Nad Okęcie nadlatuje największy na świecie samolot An-225 Mrija. W ładowni m.in. miliony maseczek bez atestu.
14 kwietnia 2020 r.



jąc z ważnymi decyzjami prowadzicie ludzi na rzeź”. Post miał 16 tysięcy udostępnień.

To wszystko było takie...

...nadmierne.

Na pewno nieprzyjemne, ale czy nadmierne? Widzę tu rodzaj społecznej adaptacji. Z doświadczenia wielu pokoleń niewoli mogliśmy wyciągnąć przekonanie, że władza nie realizuje interesu obywateli i nie wie, co jest dla nich dobre. Dlatego myślę, że nawet jeśli rząd poluzuje ograniczenia, ludzie i tak raczej zostaną w domach. Oczywiście pod warunkiem, że zobaczą rosnący trend w statystykach zakażeń, a nie gołe liczby. Które na przestrzeni kwietnia stały się niepokojące.

Niepokojące? Przyrosty dzienne są podobne.

Właśnie o ten efekt mi chodzi: zakładamy, że wzrosty są dla nas bardziej informatywne niż obiektywna wartość. A przecież to, czy się zarażę, w większym stopniu zależy od tego, jaki odsetek populacji jest zarażony, niż od tego, czy ten odsetek wzrasta.

Czyli jednak nie jesteśmy racjonalni. Czy da się działać racjonalnie, gdy nie ma się żadnej pewności? Ani kiedy to się skończy, ani czy środki są właściwe, ani jaka jest skala?

W psychologii społecznej używa się pojęcia autorytetu epistemicznego: mają go osoby godne zaufania jako kompetentne w swojej dziedzinie. Jeśli pacjent obdarza lekarza autorytetem epistemicznym, leczenie powinno być bardziej skuteczne. Potrzeba nam teraz większego zaufania do naukowców – nawet jeśli ich rekomendacje nie są zgodne z naszymi

intuicjami. Tylko że w nauce zawsze istnieją głosy wykluczone. I tego się boję.

Dlaczego?

Bo wybierają je ludzie ze skłonnością do myślenia spiskowego. W jednym z badań takie osoby czytały książkę historyczną. Jeśli mówiono im, że autor jest wyklety w środowisku, to bardziej ufały treści. Jeśli dowiadywały się, że to akademicki podręcznik, ufały mniej. A wiemy, że w sytuacji utraty poczucia kontroli nad życiem ludziom włącza się mentalność spiskowa. Stają się bardziej podatni na pseudoteorie.

To się będzie nasilać?

Raczej spodziewam się uaktywnienia osób, które już mają taką tendencję. Widzę, jak duży zasięg na Twitterze mają konta typu Matka Kurka z hasztagiem „zajob”...

„Zajob” to izolacja. Maseczki to u niego „kagańce”.

Albo tekst Grzegorza Hajdarowicza w „Rzeczpospolitej” dowodzący, że zamknięcie kraju było błędem. Słabo udokumentowany i niespecjalnie dobrze napisany, a miał ogromny zasięg.

W Centrum Badań nad Uprzedzeniami na początku pandemii szukaliśmy fake newsów i teorii spiskowych. Jedną z najbardziej kuriozalnych było *drinking bleach*: że picie wybielacza leczy z wirusa. Wydawało nam się to pomyśłem na poziomie hełmu z folii aluminiowej noszonego dla ochrony przed inwigilacją. Ekstremum.

Nie dla Trumpa.

Który powiedział to na konferencji prasowej, w obecności ekspertki WHO, odpowiedzialnej za walkę z pandemią w USA. To pokazuje, że teorie z obrzeży łatwo wchodzą teraz nie tylko do głównego nurtu, ale i na szczyty.

Jakie jeszcze pojawiły się albo ewoluowały przy okazji pandemii?

Rozbudowano wielką teorię dotyczącą walk o hegemonię między mocarstwami. Domośli geopolitycy zawsze uwielbiali opisywać świat jako mroczne starcie Chin z USA. Teraz pojawiła się wersja, że Chińczycy próbowali budować broń

biologiczną, ale patogen uciekł z laboratorium. Albo że Amerykanie chcieli zastąpić chińską dominację i doprowadzili do epidemii w Wuhan.

Ducha nie stracili też antyszczepionkowcy.

Tych polskich uruchomiła wypowiedź ministra Szumowskiego, że przestaniemy nosić maski dopiero, jak będzie szczepionka. Co ciekawe, temat podjął były poseł Jacek Wilk. Czasem zapisuję sobie czyjaś wypowiedź, z myślą że może przydać się do budowy kwestionariuszy myślenia spiskowego. I tak było w przypadku tego tweeta. O, mam, uwaga: „Czyli już oficjalnie znamy cel tego całego obłędu: wcisnąć wszystkim szczepionkę. Pozostaje pytanie: czy PiS uchwali totalitarną ustawę o przymusowym zaszczepieniu wszystkich?”.

Co interesujące w teoriach spiskowych – zazwyczaj nie są właściwe jednej stronie sceny politycznej. Bardzo często mają U-kształtny rozkład: pojawiają się u skrajnej lewicy i skrajnej prawicy. Antyszczepionkowcy łączą konserwatywnych „wolnościowców” i liberalnych posthipisów. I właśnie oni są teraz szczególnie niebezpieczni, bo to od nich może zależeć, czy poradzimy sobie z pandemią.

Nasila się też zjawiska o charakterze panik moralnych.

Na przykład?

Reakcje na pożar w Czarnobylu. Płonie las w okolicach elektrowni i natychmiast pojawiają się pogłoski o radioaktywnym deszczu. Następuje wysyp postów i esemesów o znajomej czy cioci, która pracuje w instytucie badań jądrowych w Świerku i ostrzega, żeby nie otwierać okien, bo nad Polskę nadciąga groźna chmura.

Do mojej koleżanki mama zadzwoniła w środku nocy, żeby przekazać tę informację.

⇒

→ Do mnie też to dotarło. Czułem, że jestem jedyną osobą przekonaną, że nic nam nie grozi. Mój ojciec pracuje w atomistyce i mówił mi, jak bardzo taki pomysły jest absurdalny.

Po stronie lewicowej podobny charakter ma wzmożenie wokół suszy. W przeciwieństwie do atomowej chmury susza nie jest wyimaginowanym problemem, ale normalnie nie mówiłoby się o niej tak dużo i w tak fatalistycznym tonie: „Polska będzie płonąć jak Australia”. Wcześniej nie zwracaliśmy na to zagrożenie wielkiej uwagi.

Zwracamy teraz, bo mamy wysoki poziom lęku?

Nie tylko. Przypomina mi się, co w latach 50. pisał klasyk Leon Festinger, twórca teorii dysonansu poznawczego. Opisywał ciekawe zjawisko, które wystąpiło w latach 30. po trzęsieniu ziemi w Biharze. Ludzie mieszkający na obrzeżach prowincji nie odczuli żadnych wstrząsów, a jednocześnie wiedzieli, że są ofiarami potężnego trzęsienia i muszą zupełnie zmienić tryb życia. Zaczęły się wśród nich szerzyć pogłoski, że zaraz nastąpi fala kulminacyjna. A potem pojawił się szereg legend miejskich, których w ogóle nie było w rejonach epicentrum – czyli tam, gdzie ludzie stracili dach nad głową i widzieli zabitych. Festinger mówi: to właśnie dysonans poznawczy. Sytuacja, w której to, co widzimy na własne oczy, nie odpowiada temu, czego się dowiadujemy.

I tak się dzieje w Polsce?

Pracujemy z domu, zamknięte są szkoły, nasze życie jest chyba bardziej ograniczone niż to, jakie nasi rodzice wiedli w stanie wojennym. Porównałem to sobie: mam dwuletnie dziecko, a gdy sam miałem dwa lata, obowiązywał stan wojenny. Poczytałem o tamtych ograniczeniach i stwierdziłem, że jednak wtedy życie było znóśniejsze niż w tygodniach, gdy nie wolno było nawet iść na spacer. A jednocześnie większość z nas nie zna osobiście nikogo, kto został zdiagnozowany i trafił do szpitala. Świetne podglebie dla legend o zagrożeniu.

Czyli opowieść o chmurze z Czarnobyla była narzędziem redukcji dysonansu poznawczego? Bo ludzie chcieli znaleźć powód dla siedzenia w domu?

Dokładnie.

Wzrosła też obawa przed siecią 5G. Urząd Komunikacji Elektronicznej musiał wydać dementi: „wirusy nie mogą przenosić się drogą fal radiowych”.

Lęk przed falami radiowymi jest stary jak radio. Już przed wojną dochodziło do protestów chłopskich przeciwko budowie masztów radiowych. Wtedy też miały być śmiertelne.

Z doświadczenia wielu pokoleń niewoli mogliśmy wyciągnąć przekonanie, że władza nie realizuje interesu obywateli. Dlatego myślę, że nawet jeśli rząd poluzuje ograniczenia, **ludzie raczej zostaną w domach.**

Ale jak to w ogóle można połączyć?

Ludziom, którzy mają silną potrzebę wyjaśniania świata, wszystko się łączy. Tendencja do potwierdzania własnych hipotez jest właściwością człowieka. To się nazywa błąd konfirmacji: łatwiej znaleźć dowody, które potwierdzają naszą tezę, niż te, które ją obalają. Fundamentem jest nieumiejętność odróżniania prawdy od fałszu.

Dziś większa niż kiedyś?

Świat robi się coraz bardziej złożony, więc o pewność trudniej. Ale też szkoły nie dają narzędzi do weryfikacji informacji. I coraz powszechniejsze staje się przekonanie, że nauka jest wielogłosowa. W Polsce przyczynia się do tego rząd. Ostatni przykład: e-lekcje od Ministerstwa Edukacji, które kwestionowały konsensus naukowy w sprawie zmian klimatu.

Z drugiej strony władza zaczęła się powoływać na autorytet WHO, którą do niedawna uważała za groźną organizację próbującą seksualizować polskie dzieci. Ma Pan już nowe statystyki dotyczące podatności

Polaków na teorie spiskowe i fake newsy?

Badały to Paulina Górka i Marta Marchlewska z zespołem, tyle że na wczesnym etapie pandemii, kiedy takie myślenie nie było rozpowszechnione. Począłbym na wyniki kolejnych fal tego badania. Obecnie jest ogromne zapotrzebowanie na dane i diagnozy; chcemy mieć je natychmiast, a rzeczywistość jeszcze nigdy nie była tak zmienna. Dlatego lepiej się powstrzymać z podawaniem procentów, a szukać mechanizmów.

Zdziwiło mnie jednak, że 20 marca 25 proc. respondentów twierdziło: „koronawirus ma za zadanie pozostawić przy życiu jedynie najsilniejszych”. Duży odsetek.

Trudno powiedzieć, co jest dużym odsetkiem. Jeszcze przed pandemią ustaliliśmy, że mniej więcej 20 proc. Polaków wierzy w mord rytualny. Czyli że Żydzi porywają i zabijają dzieci na macę.

20 procent?!

Tak. Konfrontując ludzi z jakąś teorią spiskową, szczególnie nową, badamy raczej ich łatwowierność. Teoria o eliminacji starych i chorych to taka, której prawdopodobnie nie znali wcześniej, więc pomysłili: „O, może to jest wyjaśnienie!”. Bo szukają wyjaśnień. A szukają, bo nie ma jednej wykładni, sami naukowcy się spierają, skąd to się wzięło. Jest teza o chińskich mokrych targach, gdzie wirus miał przejść z nietoperza na człowieka...

Albo z łuskowca. Moja teoria spiskowa jest taka, że to zemsta łuskowców, najbardziej prześladowanych zwierząt świata. Można ją dodać do ankiety.

Inna hipoteza mówi o biedaszybach, w których gromadzą się odchody nietoperzy. Tych teorii jest więcej, ale wszystkie są trywialne. Jak to, mamy pandemię tylko dlatego, że jakiś chiński górnik wszedł do wykopanego naprędce szybu i dotknął kupy nietoperza? Nie lubimy banalnych wyjaśnień traumatyzujących zdarzeń. Tak samo było ze Smoleńskiem: wyjaśnienie, że to błędy w przygotowaniu i nieprawidłowości w czasie lotu doprowadziły do katastrofy, było postrzegane jako słabe. Stąd teorie o zamachu.

A Pana co najbardziej zaskoczyło w pierwszych wynikach badań?

Błyskawiczne zmiany postaw. Np. poparcia dla działań rządu w związku z epidemią. Na początku było to 63 proc. A badanie tych samych ludzi, zrobione bodaj tydzień później, pokazywało już tylko 40 proc. Ogromne spadki.

Uderzyło mnie też, jak powszechna była z początku pozytywna ocena działań państwa.

Niezależna od poglądów.

Zaraz po wybuchu epidemii lewicowcy i prawicowcy nie różnili się w ocenach działań rządu. Badania Konrada Maja i Krystyny Skarżyńskiej robione nieco później pokazały, że to elektorat opozycji najbardziej popierał rząd w nakazie izolacji! Trochę mnie też zaskoczył wzrost antypatii wobec Kościoła. W pomiarze emocji obrzydzenia Konferencja Episkopatu Polski znalazła się na trzecim miejscu. Wcześniej tego nie było.

Respondenci czuli większe obrzydzenie do Episkopatu niż do homoseksualistów i Żydów. Pierwsze miejsce zajęły „osoby niestosujące się do zaleceń mających ograniczyć epidemię”, a drugie rząd. Dziwne z tym rządem: wstręt i zaufanie naraz?

Możliwe, że ludzie popierali jego działania, ale jednocześnie czuli, że są podejmowane zbyt późno. Myśleli: „wreszcie ci odrażający politycy zaczęli robić coś, czego od nich oczekujemy”.

Z kolei w termometrze uczuć, gdzie +50° oznaczało uczucia najgorętsze, a -50° – najzimniejsze, średnia uczuć do Episkopatu wyniosła -11,3°. Do pracowników ochrony zdrowia: +35,9°.

To, co się działo w marcu z Kościołem, było bardzo interesujące. Moją szczególną uwagę zwróciło wypłynięcie ks. Tadeusza Guza. Znany jest z tego, że wierzy w mord rytualny. A przy tym to profesor, to znaczy prezydent Duda nadał mu ten tytuł...

To może tłumaczyć, dlaczego Pan tytułu nie dostał. [Od stycznia 2019 r. Andrzej Duda zwleka z realizacją wniosku Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów – KB]

(śmiech) To jest właśnie iluzoryczna korelacja. Powiązanie tych rzeczy byłoby nadużyciem. A już na pewno ja nie powinienem tego robić.

W każdym razie ks. Guz stwierdził w telewizji, że ręce kapłana są konsekrowane, a zatem nie mogą przenosić wirusa. Z jednej strony to rozumiem: ktoś głęboko wierzący może tak myśleć. Z drugiej, jeśli stoi za nim autorytet Kościoła, to może rodzić poczucie, że instytucja zawiodła.

Zwłaszcza że to samo powiedział abp Andrzej Dzięga. Zachowanie biskupów w czasie pandemii przypomina proces laicyzacji?

Źródła laicyzacji szukałbym w czymś innym. Psychologowie wierzą, że podstawy wynikają z działań i uzasadniają zachowanie. Według teorii autopercepcji jedynie wgląd w nasze przekonania wynika z tego, co robimy. Szukając odpowiedzi na pytanie, czy lubię słodczyce, zaczynam skanować swoje zachowania, i jeśli przypominę sobie, że rano zjadłem czekoladę, to pomyślę: „Tak, lubię słodczyce”.

A szukając odpowiedzi na pytanie, czy jestem wierząca, zacznę zastanawiać się, czy byłam ostatnio w kościele.

I dlatego ważny może okazać się ten moment epidemii, kiedy ludzie przestali chodzić na msze. Mam wrażenie, że w tej chwili rozjeżdża się katolicyzm ludowy i katolicyzm inteligentny. Od niektórych wierzących znajomych słyszę, że teraz intensywniej uczestniczą w obrzędach. Natomiast rodzaj religijności silnie związany z doświadczeniem zbiorowym może okazać się nieprzekładalny na indywidualne praktyki.

Czyli Episkopat mógł się słusznie obawiać, że zamknięcie kościołów zagrazi instytucji?

Tak. Wiąże się z tym wspomniany dysonans poznawczy: zachowanie powinno być zgodne z przekonaniem. Część ludzi jest w stanie zaspokoić ten dysonans domowymi praktykami, ale ci mniej zdeterminowani – nie.

Wracając do biskupów. Ich początkowe zachowanie było po prostu zbyt odległe od doświadczenia Polaków, którzy sami zaczęli się izolować, nosić maski i robić zapasy papieru toaletowego.

No właśnie, co z tym papierem? Wiele było dyskusji, ale chętnie usłyszę wyjaśnienie psychologa. Ma to związek z emocją

obrzydzenia, nasilającą się w czasie zagrożenia?

Wchodzimy w psychoanalizę... Pojawiły się teorie o osobowości teauryzatorskiej czy analnej. Fromm pisał o tym typie osobowości, że jest powiązana z fazą analną w rozwoju pregenitalnym. Skoro pojawia się zagrożenie i potrzeba gromadzenia, to następuje regresja do fazy analnej i ludzie wykupują papier toaletowy. Nie do końca wierzę w to wytłumaczenie, podobnie jak w związek z emocją obrzydzenia, o której jeszcze powiem. Myślę, że ludzie bojąc się braków w zaopatrzeniu, zwyczajnie zaczęli szukać dóbr trwałych. Z czego papier był najbardziej widoczny.

W czasie kryzysu naftowego w USA w latach 70. była taka głośna historia: w wieczornym programie „Johnny Carson Show” śmiano się, że wszystkiego zaczyna brakować i niedługo zabraknie papieru. A to były czasy, kiedy wszyscy oglądali ten sam program. Pierwsze, co zrobili rano, to poszli kupić papier toaletowy. I faktycznie go zabrakło: samospełniająca się przepowiednia. Podobnie mogło być w Polsce: zdjęcia pustych półek powodowały, że ludzie rzucali się na to, czego gdzieś indziej zabrakło. Normalne, że towary, które się nie psują, zaczęły zniknąć.

Ale zniknęły też drożdże.

Bo ludzie ruszyli piec chleb, co widać szczególnie w mediach społecznościowych – te wszystkie zdjęcia pięknie wypieczonych bochenków.

Czy to nie dziwne? Aż taki lęk, że chleba zabraknie? Jest w tym coś pierwotnego.

Wydaje mi się, że tu chodzi nie o lęk, tylko sprawczość. Odbudowę kontroli. Wyższe klasy średnie zazwyczaj jedzą na mieście, więc pokazanie, że potrafią upiec chleb, było dla nich ważne. Podobnie z modą na remonty – poprawianie własnych domów daje ludziom poczucie kontroli nad wycinkiem rzeczywistości.

Zajmuje się Pan zjawiskiem dehumanizacji wrogów. Zauważył Pan, że w kwietniu pojawiło się ono u liberalnych elit? Adam Michnik pisał: „Ponure widma dwóch pandemii krążą nad Polską. Wirusa, który zatruwa płuca, i PiS, który zatruwa umysły i serca Polaków”. Tomasz Lis tweetował: „Sanders out.”

→ **Przynajmniej w Ameryce jednej zarazy nie zastąpi inna”.**

Nie wiem, na ile te cytaty mają charakter dehumanizacji, a na ile wynikają z wysokiej dostępności poznawczej. Tak często mówi się o zarazie, że używamy tego pojęcia do budowania metafor.

Gdy abp Jędraszewski mówił o „tęczowej zarazie”, nie było wątpliwości, że to dehumanizacja.

Ale on mówił o konkretnej, dyskryminowanej mniejszości. Nikt nie wybiera sobie orientacji – tak jak wybiera się przynależność partyjną czy poglądy polityczne.

Pisał Pan niedawno o badaniach wodzących, że kontakt z patogenami powoduje wzrost ksenofobii i uprzedzeń. Teraz też to obserwujemy?

Nasze pierwsze badania panelowe pokazują, że w trakcie epidemii nastąpił wzrost uprzedzeń do Żydów i Romów. Wydarzeń mogących świadczyć o wzroście uprzedzeń było sporo, np. sprawa Wietnamki obrzuconej wyzwiskami w Łukowie. Na Ukrainie zaatakowano autobus z Chińczykami i miało to pogromowy przebieg.

Na początku marca w centrum Krakowa widziałam grupę młodych ludzi skandującą w stronę wycieczki Azjatów: „Wypierdalać! Pedaty!”. To drugie słowo mnie bardziej uderzyło.

Pojawiło się nieprzypadkowo. To właśnie powiązanie przez emocję wstrętu.



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

DR HAB. MICHAŁ BILEWICZ (ur. 1980) jest psychologiem społecznym, profesorem na Wydziale Psychologii UW, gdzie kieruje Centrum Badań nad Upředzeniami.

W badaniach nad lękiem przed patogenami tę emocję traktuje się jako wskaźnik – wzrost odczucia wstrętu w populacji oznacza zwiększenie narażenia na patogeny. Postawy bazujące na emocji obrzydzenia, jak właśnie homofobia, stają się wyraźniejsze.

Epidemia wywołuje też zwrot tradycjonalistyczny.

W Polsce to się potwierdza?

Na pewno potwierdza się to, co sam badałem, czyli wzrost witalizmu moralnego, a więc myślenia w kategoriach dobra i zła. Przekonania, że zło ma esencjalny charakter: istnieje diabeł albo zło wcielone. I tu bym widział pewne elementy antypisowskiego dyskursu, w którym obecnie częściej dostrzega się zło i za-

klada intencjonalne działanie, a nie dostrzega się poczynań chaotycznych i nieumiejętności realizacji celów. Przez to możemy nie docenić rys, które teraz się tworzą, np. konfliktu między Porozumieniem a PiS. Jeżeli uważamy, że cała koalicja to zło wcielone, odbieramy sobie pole do szukania sprzymierzeńców. To szczególnie niebezpieczne, kiedy pojawia się szansa na przywrócenie demokracji w Polsce.

Wierzy Pan w to?

Niedawno ukazał się numer specjalny „Social Psychological Bulletin” o Okrągłym Stole: psychologowie społeczni interpretowali, jak do niego doszło. W ’89 też mieliśmy do czynienia z głębokim kryzysem gospodarczym, za który władza nie chciała brać odpowiedzialności i z którym nie potrafiła sobie radzić. Jednocześnie pojawił się rodzaj zaufania między częścią elit reżimu a społeczeństwem... Te wszystkie elementy mogą zaistnieć też teraz, musimy umieć je wykozystać. A witalizm moralny na to nie pozwala, bo z diabłem się nie negocjuje.

Najbardziej demonizuje się Jarosława Kaczyńskiego. Dlaczego akurat Kaczyński na Powązkach tak rozsierdził opinię publiczną?

Bo dał dowód alienacji władzy – władza tworzy prawa, których sama nie przestrzega. W tym też tkwiła przyczyna upadku nomenklatury PRL. To uczucie relatywnej depresji, trudne do zniesienia. Jeżeli jest nam ciężko, ale widzimy wory

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiatkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik),
Anna Dziurdzińska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Hałik, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocun, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna
Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna
Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

pod oczami ministra Szumowskiego i jego zapracowaną twarz, to robi nam się lepiej. Kłopot pojawia się, gdy my cierpimy, a nad sobą widzimy ludzi, którzy nie cierpią – jak Kaczyńskiego wjeżdżającego limuzyną na zamknięte Powązki.

On zawsze mógł więcej.

Tyle że łatwiej zaakceptować przywileje władzy, kiedy nasza sytuacja jest stabilna. Gdy nam się pogarsza, chcemy przynajmniej wiedzieć, że rozwarstwienie się nie zwiększa.

Wracając do wzrostu uprzedzeń i ksenofobii: zna Pan kazanie wielkanocne biskupa Dece?

Nie znam.

„Oto dzisiaj pandemia ujawnia, że państwa narodowe najlepiej się bronią przed tym nieszczęściem, a nie superpaństwo, jakie tworzą ci, którzy nie kochają Pana Boga”. Było o „oficjalnej ideologii”, na którą składają się małżeństwa homoseksualne, uchodźcy i islamizacja, oraz o „decyzjach naprawdę ważnych, zapadających w wąskich gremiach gdzie indziej”. Wszystko się zgadza.

W sytuacji zagrożenia ludzie zwracają się do tożsamości, które są u nich najbardziej wyraziste i najlepiej ukształtowane. Gdy badaliśmy się identyfikacji z różnymi wspólnotami, u Polaków zawsze wychodziła silna dominacja tożsamości narodowej nad europejską i lokalną. Stąd przekonanie, że rząd za wszystko odpo-

wiada i najlepiej sobie poradzi. Skupiamy się na tym, co mówi premier i ministrowie, a nie dostrzegamy, że to samorządy zajmują się szpitalami, domami opieki, szkołami.

I że Unia daje pieniądze.

Ten mechanizm pokazują też badania nad depriacją kontroli, powtarzane w wielu krajach: ludzie pozbawieni sprawczości oczekują jej od władzy państwowej.

Dlatego tak łatwo poddaliśmy się ograniczeniom?

Dlatego Polacy – poza wąskimi grupami sfrustrowanymi, że nie mogą wejść do lasu – chcieli, żeby rząd ciągle czegoś zakazywał. Był sprawczy. I rząd to sprytnie wykorzystywał. Oto największy antonow przylatuje na Okęcie...

Kult cargo.

Pokaz siły państwa symbolizowanej przez ogromny samolot. Dla nas to coś obrażającego inteligencję, ale dla większości społeczeństwa niekoniecznie. To była zresztą bzdura, bo okazało się, że Dominika Kulczyk czy marszałek województwa lubuskiego sprowadzili podobną ilość środków ochrony, tyle że zwykłymi transportami.

Czy to, jak rząd postępuje z wyborami, może zmienić jego społeczny odbiór? Karty zostały odkryte –

widać, że gra toczy się wyłącznie o utrzymanie władzy.

Organizowanie tych wyborów jest niebezpieczne, ale nie wiem, jak bardzo, większy problem mam z ich niedemokratycznym charakterem. Zdumiewa mnie sposób komunikowania: słyszę od ministra zdrowia, że po drugiej turze wyborów w Bawarii nie było wzrostu zachorowań. Można rozważać, czy był bezpośrednio spowodowany wyborami. Ale mówić, że nie wystąpił, jest okrutnym kłamstwem. Solidne analizy zespołu prof. Błażeja Miasojedowa pokazują, że po wyborach w Bawarii sytuacja stała się gorsza niż w innych niemieckich landach. A my dowiadujemy się od ministerstwa, że mają jakiegoś naukowca z Bawarii...

Anonimowego epidemiologa.

Który rzekomo przedstawił korzystną ekspertyzę, ale nie mogą ujawnić jego nazwiska, nie mówiąc o treści samej ekspertyzy.

Polska wersja polityki opartej na danych.

Kolejna odsłona pogardy tej władzy dla nauki i faktów. Pytanie, jak odbiera to społeczeństwo. Dane – i to nie tylko badania robione przez nasz zespół, ale wszystkie sondaże, jakie znam – pokazują gremialną niechęć Polaków do przeprowadzenia wyborów w maju. Nie wiem, co z tego wyniknie, ale wiem, że działania rządu rozjeżdżają się z oczekiwaniami społeczeństwa. I to bardzo.

© P Rozmawiała KALINA BŁAŻEJOWSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

co z tego wyrośnie?

Sprawdź 3 czerwca w „Tygodniku”



PAWEŁ

Śpiewak: Głos krwi



W MIEJSCU, GDZIE ZOSTAŁ ZAMORDOWANY Abel, nie wyrosła żadna roślina. Jest to miejsce jałowe. Pod ziemią skrył się głos krwi brata naszego. Krew młodszego syna Adama znaczy dla nas więcej niż wszystkie słowa, których nie zdołał powiedzieć.

Ona świadczy na zawsze przeciw Kainowi. Pewien midrasz tak interpretuje to zdarzenie. „W nocy złodziej ukradł owoce z ogrodu. Rano złapał go stróż i zapytał: Dlaczego ukradłeś owoce? Wtedy złodziej odpowiedział: Jestem złodziejem, taki mój zawód i powołanie, a twoim zadaniem jest pilnowanie bramy do ogrodu. Dlaczego tak kiepsko wywiązujesz się ze swojego zadania? Tak więc Kain przyznał się do dokonania morderstwa: Zabiłem, ale Ty stworzyłeś we mnie złe skłonności. Ty jesteś strażnikiem świata i czy ja jestem odpowiedzialny za to, co się stało? Tak naprawdę Ty go zabiłeś. Gdybyś przyjął moją ofiarę, jak przyjąłeś ofiarę Abła, nie byłbym zawistny. Wtedy odezwał się głos Boga: Cóżże uczynił? Głos krwi brata twojego woła z głębi ziemi?”.

Kain chciał odpowiedzialność przerzucić na Boga. To nie on był winny, ale jego Stwórca, który zaszczerpił w nim zło. W języku psychoanalitycznym taka postawa nazywa się „zgubnym narcyzmem”. Polega na psychotycznej potrzebie racjonalizowania złych uczynków, czynieniu wszystkiego, by ochronić dobry obraz siebie samego. Rabinowi widzieli w Kainie nie tylko paradygmatycznego mordercę, ale też kogoś, kto usprawiedliwiał się za to, czego nie sposób usprawiedliwić, sam obarcza winą tego Innego, Boga. Kain z tego midrasza broni się nie tylko przed odpowiedzialnością, ale przed uleczeniem. A polega ono na tym, by dostrzec, że nikogo poza samym sobą nie możemy czynić odpowiedzialnym za zło, które wyrządziliśmy. Narcyzm morderców, o czym wiemy z procesu Eichmanna i filmu Claude’a Lanzmanna „Shoah”, jest nieuleczalny.

Twórcy Muzeum – Pomnika Pamięci w Bełżcu mieli tę samą świadomość, co rabin pisał o Ablu: to miejsce musi pozostać puste. Tu nic poza jednym drzewem – stoi w tym miejscu od dziesiątków lat – nie może wyrosnąć. Jest to ziemia jałowa. Krew pomordowanych krzyczy i krzyżeć będzie do końca świata. Nic tego nie zmaże, nic nie zagłuszy. Miejsce masowych grobów pokrywa dwubarwny żużel. Ciemniejszy wskazuje na kilkumetrowej głębokości groby. Oto przestrzeń zmarłych, miejsce, które zamieszkuje cisza. Tu zginęli Ewa i Abel. Kończąc zwiedzanie miejsca pamięci, czytamy hebrajski wiersz Dana Pagisa, „Napisane ołówkiem w zaplombowanym wagonie towarowym” (w przekładzie Piotra Sommera):

„Tu, w tym transporcie / Ja, Ewa, / z synem moim Ablem. / Jeśli zobaczycie mojego starszego / – syna człowieczego, Kaina, / to mu powiedzcie, że ja”.

Brat zabił brata. Wtedy i w Bełżcu.

©

O. WACŁAW

Oszajca: Niżsi stopniem i godnością



PODZAS OSTATNIEJ WIECZERZY, KIEDY JEZUS zapowiedział apostołom rychłe rozstanie, ci wpadli w konsternację. Wszystkiego spodziewali się po Jezusie, ale nie tego, że czeka Go śmierć, i to tak haniebna. Zdezorientowany Filip poprosił Jezusa: „Panie, pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy”. Jezus odparł: „Filipie! Jeszcze Mnie nie znasz, mimo że tak długo jestem z wami? Kto Mnie zobaczył, zobaczył także Ojca. Dlaczego więc prosisz: Pokaż nam Ojca? Czyżbyś nie wierzył, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec jest we Mnie?”. Zaskoczeniu apostołów trudno się dziwić, nieobce jest ono wszystkim pokoleniom chrześcijan, a ostatnio dało o sobie znać w sposób szczególnie dojmujący. Jak można tak bardzo ześwieczać Boga, że aż nie można Go odróżnić od człowieka? Jak można tabernakulum ustawiać na równi ze szpitalem zakaźnym? Jak można mszę cenić sobie mniej od pilnowania wnuków, czyli Boga zastępować człowiekiem? Nienowoty to kłopot.

W Dziejach Apostolskich czytamy: „Gdy powiększała się liczba uczniów, helleniści zaczęli narzekać na Hebrajczyków. Twierdzili, że ich wdowy są niesprawiedliwie traktowane podczas codziennej posługi. Wtedy Dwunastu zwołało zgromadzenie wszystkich uczniów i powiedziało: »Nie jest słuszne, abyśmy zaniedbywali głoszenie słowa Bożego, a zajmowali się obsługiwaniem stołów. Wybierzcie więc, bracia, siedmiu mężczyzn, cieszących się dobrą opinią, pełnych Ducha Świętego i mądrości! Im zlecimy to zadanie. My zaś poświęcimy się wyłącznie modlitwie i służbie słowa«. Wszyscy się z tym zgodzili”. Tak też zrobiono, a wśród siedmiu wybrany był Szczepan. To oni mieli zająć się materialną stroną funkcjonowania Kościoła i tym samym uwiarygodniać modlitwę i głoszenie słowa apostołów. Bez dbania o ludzkie warunki życia nauczanie apostołów pozostawałoby pustym słowem, a modlitwy – marnowaniem czasu.

Dzisiaj, żyjąc w wirtualnym Kościele i wśród takich samych nabożeństw, czas przyjrzeć się i zastanowić, czy rzeczywiście prezbiterzy, w odniesieniu do biskupów, różnią się „stopniem i godnością”. Sprowdzając posługę prezbiterów, ale też diakonów, zwłaszcza tzw. stałych, do roli działań pomocniczych, podważa się fundament chrześcijańskiego rozumienia kapłaństwa, gdzie jedynym kapłanem jest Chrystus, a wszyscy chrześcijanie na różny sposób, co nie znaczy: mniej lub bardziej wartościowy, w tym kapłaństwie uczestniczą. Jezus mówi: „Wiercie mi, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we Mnie. Jeśli zaś nie, to przynajmniej wiercie ze względu na dzieła. Uroczyste zapewniam was: Kto wierzy we Mnie, będzie dokonywał takich samych dzieł, jakie Ja czynię, a nawet dokona większych od nich, ponieważ Ja odchodzę do Ojca”. „Kto wierzy we Mnie”, a nie kto wyświęcony, ten czyni cuda.

©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Jezus Ewangelizator (2)

*Abba Matoes mówił,
że woli pracę lekką,
ale ciągłą, niż ciężką,
która szybko się kończy.*

**APOFTEGMATY
OJCÓW PUSTYNI**



*Nie zapamiętuj
wyrazów i zwrotów,
lecz ćwicz umysł.*

ZENON Z KITION



W OKRESIE WIELKANOCnym liturgia pokazuje nam Jezusa prowadzącego swoich uczniów od niewiary do wiary. Jednym z takich

wydarzeń jest Jezusowe spotkanie z Kleofasem i (prawdopodobnie) Łukaszem wędrującymi do Emaus (Łk 24, 13-35). W ostatnich latach – choćby w okresie synodu biskupów poświęconego młodzieży – Duch Święty stawiał przed Kościołem tę perykopę jako wręcz programową. Co to znaczy ewangelizować na sposób Jezusa?

Pierwszy etap ewangelizacji to towarzyszenie: przyłączył się i siedł z nimi – chociaż szli w złym kierunku. Przyłączył się i słuchał. Nie napominał, nie korygował, nie prostował. Słuchał. I zadawał pytania. I mimo że lepiej od nich znał odpowiedź, nie przerywał im, kiedy mówili; nie udawał zainteresowania – był rzeczywiście zainteresowany ich odpowiedziami. Wszyscy deklarujemy w Kościele chęć ewangelizacji – spróbujmy więc sobie przypomnieć, kiedy ostatnio i o co pytałem osobę niewierzącą. I z jakim nastawieniem?

Etap drugi: Kościół najchętniej nazywa go „rozeznaniem”. Towarzyszę drugiemu po to, by pomóc mu rozeznąć. Tym słowem jednak opisuje się różne desygnaty. Niektórzy wchodzą (czy nie za łatwo?) w rolę duchowych przewodników „rozeznających” tak źródła zaistniałych sytuacji w przeszłości danych osób (lub nawet ich przodków), jak i precyzyjne wskazówki co do ich powołania w przyszłości;

inni (znów: czy nie za łatwo?) próbują zastąpić psychologów, „rozeznając” możliwości i ograniczenia, atuty i obciążenia swoich interlokutorów.

Rozeznanie dokonywane przez Jezusa dotyczy przede wszystkim obrazu Boga, jaki mają uczniowie. Pokazuje im, jak dalece ów obraz nie przystaje do tego, jakim się Bóg sam objawia w historii zbawienia, a w szczególności w Piśmie: „u Mojżesza (w Torze), Proroków i w Psalmach”. Że to, co uważają za klęskę Boga (śmierć Jezusa w Jerozolimie), jest wybraną przez Niego drogą do chwały. Bóg jest inny niż sportretowany przez ich oczekiwania. Obraz Boga jest kluczem. Nie psychologiczne czy „duchowe” wiwiskcje.

Punkt trzeci: przedłużona relacja. Poprosili Go: „Zostań z nami!”. I On „wszedł i został z nimi”. Słowo, jakim Ewangelista Łukasz opisuje tę postawę, to greckie *meinaí*: trwać (jak np. latorośl w winnym krzewie – zob. J 15). Dołączył do nich, gdy szli drogą; przeszli razem 11 kilometrów. To nie wystarcza. Potrzebna jest angażująca, trwała relacja. Ewangelizacja nie może być jednorazowym epizodem. Ona jest wzięciem odpowiedzialności za drugiego. Nowy Testament opisuje tę relację jako duchowe ojcostwo czy macierzyństwo. To nie jest „zajęcie”, które się kończy – ono zmienia formy, przechodzi rozmaite etapy, ale nie ustaje.

W tak stworzonej wspólnocie Jezus bierze w dłonie chleb, błogosławi i „łamie Go” jako Eucharystię. Ktoś powie: długa jest ta droga do Eucharystii; czy nie łatwiej byłoby od razu „odprawić”? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (10 – 17 V)

5. Niedziela Wielkanocna:
Dz 6, 1-7; Ps 33; 1 P 2, 4-9; J 14, 1-12;
Poniedziałek: Dz 14, 5-18;

Ps 115; J 14, 21-26;

Wtorek: Dz 14, 19-28; Ps 145; J 14, 27-31a;

Środa: Dz 15, 1-6; Ps 122; J 15, 1-8;

Czwartek: Dz 1, 15-17. 20-26; Ps 113; J 15, 9-17;

Piątek: Dz 15, 22-31; Ps 57; J 15, 12-17;

Sobota: Ap 12, 10-12a; Ps 34;

1 Kor 1, 10-13. 17-18; J 17, 20-26;

6. Niedziela Wielkanocna:

Dz 8, 5-8. 14-17; Ps 66; 1 P 3, 15-18; J 14, 15-21.

Wybrał PIOTR SIKORA

WYBORY JAROSŁAWÓW

Pamiętnych starć wyborczych było w ostatnim 30-leciu wiele, ale to jest wyjątkowe. Nienormalna kampania, poprzedzająca groteskową niepewność, czy i jak będziemy głosować w czas epidemii.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

SPODZIEWALIŚMY SIĘ, ŻE BĘDZIE OSTRO i że Jarosław Kaczyński z pomocą wszystkich instytucji państwa, w tym TVP, zrobi wszystko, aby obronić prezydenturę dla swej partii. Po stracie Senatu w jesiennych wyborach parlamentarnych utrata fotela głowy państwa byłaby dewastująca dla rewolucyjnego, jednoosobowego stylu rządów prezesa PiS.

Ale rzeczywistość przebiła wszelkie oczekiwania. Epidemia, paraliżując kraj, postawiła pod znakiem zapytania organizację wyborów. Kaczyński zaczął nęprędcie zmieniać przepisy, byle tylko przeprowadzić głosowanie. Nie zważając na fakt, że zwołuje najbardziej podejrzane wybory w historii III RP: w czasie epidemii, bez równej dla wszystkich kampanii, szykowane z naruszeniem procedur, choćby dotyczących zasad zmiany prawa wyborczego.

Nie przewidział jednego: buntu we własnym obozie. W tym sensie wybory prezydenckie mogą przebudować polską scenę polityczną. I miast umocnić pozycję prezesa na kolejne lata, pozbawić go władzy.

Ta nienormalna kampania i te nienormalne wybory miały 10 bohaterów. Część z nich to bohaterowie niespodziewani, którzy jednak mogą mieć zasadniczy wpływ na to, czy PiS swą wojnę wygra, czy przegra.

1 ŁUKASZ SZUMOWSKI
Reżyserem kampanii był koronawirus, a jej beneficjentem minister zdrowia Łukasz Szumowski. Gdy dwa lata temu zostawał głównym medykiem kraju, niewielu wiedziało, kim jest. I aż do wybuchu epidemii to się nie zmieniło. Przez ten czas nie zrobił prawie nic, by poprawić sytuację w służbie zdrowia – właściwie tylko zakłajstrował konflikt z rezydentami. Bardzo długo bagatelizował też zagrożenie ze strony samego SARS-CoV-2.

Dziś dobrze czuje się w roli bohatera, który odpiera atak wroga. Otwiera sondaże zaufania, bo Polacy ufają jego zmęczonej twarzy i podkrążonym oczom. Widać także, że jeśli chodzi o liczbę zachorowań i zgonów, nie jesteśmy awangardą.

Przeciwnicy zarzucają mu jednak, że zaniżone statystyki to efekt małej liczby testów. W Polsce bada się od kilku do kilkunastu tysięcy próbek dziennie. W Niemczech przeprowadza się 100 tysięcy testów dziennie i ta liczba wciąż rośnie. Tam statystyki zachorowań i zgonów są dużo gorsze niż w Polsce.

Jeśli Szumowski okaże się tylko królem pudrowanych statystyk, to jego zbudowana na wirusie rozpoznawalność może się obrócić przeciwko niemu: stanie się twarzą porażki w zwalczaniu epidemii. Walczy więc także o swoją karierę, bo widać, że wciągnęła go polityka.



Jarosław Kaczyński i Jarosław Gowin na konferencji prasowej Konstytucji dla Nauki. Warszawa, 28 marca 2018 r.

To dlatego po tupnięciu nogą przez Kaczyńskiego minister zrezygnował z oporu wobec wyborów prezydenckich w maju. Zaczął nawet sugerować, że wybory w wersji korespondencyjnej nie są złym rozwiązaniem. Pal licha, że w warstwie politycznej Szumowski robi to, czego oczekuje Kaczyński. Większy kłopot jest taki, że walcząc z zarazą, minister coraz częściej zachowuje się jak polityk, a nie lekarz.



PAWEŁ WIŚNIEWSKI / EAST NEWS

2 JAROSŁAW GOWIN

Paradoksem kampanii było to, że jej głównym politycznym bohaterem nie był kandydat na prezydenta. Stał się nim zdymisjonowany wicepremier Jarosław Gowin. Ostatnie tygodnie przyniosły moment, na który od lat liczyła spora część antypisowskiego elektoratu, coraz mniej weni wierząca. Moment sprzeciwu Gowina wobec Kaczyńskiego.

Zarzewiem konfliktu między Jarosławem stała się data wyborów. Gdy wybuchła epidemia, Kaczyński parł do utrzymania majowego terminu. A Gowin po-

stawił sprawę jasno – wybory należy przełożyć. Skorzystał z tego, że bez 18 posłów jego partii PiS nie ma większości w Sejmie.

Początkowo wicepremier proponował własne rozwiązanie: zmianę konstytucji przedłużającą kadencję Andrzeja Dudy do siedmiu lat, po których obecny prezydent nie mógłby się ubiegać o reelekcję. Wiadomo było jednak, że to wariant nie-realny, bo konstytucję można zmienić tylko głosami PiS i PO.

Ale szorstko pobłogosławiony przez Kaczyńskiego projekt dał Gowinowi alibi do rozmów z opozycją. W ich trakcie wykluczał się plan przegłosowania PiS w sprawie wyborów. Bez względu na to, do czego negocjacje Gowina z opozycją doprowadzą, pewne jest jedno: to kres projektu Zjednoczonej Prawicy jako tarcza skutecznie przejmującego partyjną kontrolę nad kolejnymi instytucjami państwa. I koniec trwającej ponad cztery lata hegemonii Jarosława Kaczyńskiego.

Skąd bunt Gowina? To jasne nie jest. Z jednej strony jego motywacje mogą być szlachetne – eksperci krytyczni wobec działań Szumowskiego uważają, że wybory to duże ryzyko epidemiczne. Z drugiej – może to być pragmatyka. Powirusowy kryzys może zdmuchnąć rząd i PiS, więc zawczasu lepiej się z zagrożonego okrętu ewakuować. Na pewno Gowin pokazuje, że jest jedynym politykiem obozu władzy, który potrafi postawić się Kaczyńskiemu. To inwestycja w przyszłość, na czas po PiS.

3 JAROSŁAW KACZYŃSKI

Ta kampania była przełomowa, nawet jak na standardy jedno-władztwa, które lider PiS wprowadził w Polsce. Wybory w wersji, którą proponował, nie są demokratyczne. Bardziej przypominają inscenizację, która ma zatwierdzić władzę PiS na kolejne lata. Za każdy krok na drodze do tej groteski odpowiada on osobiście, choć przez lata sam zarzucał innym nieprawidłowości wyborcze.

W całej tej operacji działał doraźnie i bez planu – to podważa jedno z wierzeń zwolenników PiS, którzy uważają go za wybitnego stratega. Gdy okazało się, że mogą być kłopoty ze zorganizowaniem wyborów w zaplanowanym terminie, Kaczyński najpierw pod osłoną nocy, przy okazji uchwalania pakietu antykryzyso-

wego, wprowadził przepisy o głosowaniu korespondencyjnym dla chorych, zamkniętych w kwarantannie oraz dla seniorów. Chodziło mu zwłaszcza o tę trzecią grupę. Gdyby ludzie starsi, wśród których wielu jest sympatyków PiS, wystraszyli się wyborów, Duda mógłby mieć kłopoty.

Szybko okazało się jednak, że to za mało. Dlatego – znów bez żadnych konsultacji – Kaczyński postanowił całe głosowanie przeprowadzić korespondencyjnie, siłami Poczty Polskiej. Mimo że przez lata twierdził, iż taka procedura sprzyja nieprawidłowościom, choćby kupowaniu głosów. Zmienił zdanie, bo uznał, że podejrzanego głosowanie korespondencyjne to jedyny sposób, by znów obsadzić Dudę w Pałacu Prezydenckim. A polecił przygotowywać je bez podstawy prawnej – w sytuacji, gdy ustawa o głosowaniu korespondencyjnym była jeszcze w parlamencie, a kontrolowany przez opozycję Senat nie spieszył się z jej przyjęciem.

Żeby kupić czas, Kaczyński – w swym stylu, znów przy okazji głosowania ustaw antykryzysowych – wprowadził zapisy dające PiS możliwość przesunięcia daty wyborów aż do 23 maja. Zlekceważył przy tym – to jego standard – protesty opozycji. Do kosza wyrzucił też opinię Sądu Najwyższego, który za niezgodną z prawem uznał zmianę daty zarządzonej już wyborów.

Dotychczas główną polisą polityczną PiS w kontaktach z zagranicą (zwłaszcza organami unijnymi) były wolne i demokratyczne wybory, w których partia zdobywała władzę. Zakwestionowanie poprawności głosowania – a takie sygnały wysłała do Warszawy wiele instytucji zagranicznych – byłoby dewastujące nie tylko dla tej władzy, ale dla Polski w ogóle. Niedługo dowiemy się więc, czy Kaczyński dziarskim krokiem podąża za premierem Węgier, który zawiesił parlament i rządzi jednoosobowo, co w praktyce oznacza koniec demokracji.

A może się zatrzyma pod wpływem sprzeciwu Gowina albo własnej refleksji? Na pewno w PiS nie ma nikogo, kto mógłby na niego wpłynąć.

4 JACEK SASIN

Wybory przez dekady przeprowadzała Państwowa Komisja Wyborcza, w której zasiadają prawnicy, głównie sędziowie. W państwie PiS komisją →

→ wyborczą stał się wicepremier Jacek Sasin, z wykształcenia historyk.

Sasin nie wywodzi się z twardego jądra partii, trafił do PiS po Smoleńsku, z Kancelarii Prezydenta. To najbardziej błyskotliwa smoleńska kariera, w dodatku zbudowana na iluzji. Bo Sasin nigdy nie był bliskim współpracownikiem Lecha Kaczyńskiego, a za takiego się przedstawia. Poznali się późno, współpracowali krótko.

Czemu zatem udało się Sasinowi dojść na szczyty? Bo swe braki zastępował żarliwością i kurczowym trzymaniem się politycznej linii PiS. Kaczyński nie przypadkiem zlecił wybory właśnie jemu – Sasin na polecenie prezesa zrobi wszystko. Gotów był organizować wybory za pośrednictwem Poczty Polskiej zupełnie bez podstawy prawnej. Bez mrugnienia okiem mówił publicznie nieprawdę w tej sprawie.

Po pierwsze przekonywał, że przygotowania do wyborów można prowadzić na podstawie przepisów ustaw antykryzysowych – tyle że wybory nie mają nic wspólnego z walką z COVID-19. Po drugie twierdził, że karty wyborcze drukuje państwowa Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych, a okazało się, że zlecenie dostała prywatna spółka z kapitałem niemieckim – co nie jest powodem do chluby dla rządu deklarującego miłość do krajowego kapitału i grającego antyniemiecką nutą. Po trzecie wreszcie odpiął zarzut, że drukowane są karty, których wzór jeszcze nie istnieje. Przekonywał, że wzór określiła PKW już w lutym. Tyle że PKW określiła wzór w głosowaniu standardowym, dlatego są na kartach oznaczenia organów, których nie będzie w razie wyborów korespondencyjnych.

Przed wyborami Jarosław Kaczyński zwykł mawiać, że przyszli ministrowie z PiS muszą być nade wszystko lojalni. Sasin jest tego najlepszym przykładem.

5 MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA
Już w kampanii sejmowej latem i jesienią 2019 r. widać było, że lansowanie jej na główną twarz opozycji jest nieporozumieniem. Kandydatką na prezydenta została trochę z łapanek, bo nie było innych poważnych propozycji. Nawet wówczas, gdy – jak w styczniu czy lutym – trwała jeszcze normalna kampania, zaliczała wpadkę za wpadką. A gdy wybuchła epidemia, w ogóle nie potrafiła

Niedługo dowiemy się,
czy Kaczyński podąża
za Orbánem, który zawiesił
parlament i rządzi
jednoosobowo, co oznacza
koniec demokracji.

sobie poradzić z dotarciem do wyborców. W marcu zdecydowała się na ruch, który odebrał jej szanse na dobry wynik – wezwwała do bojkotu. Napisała na Facebooku: „Organizowanie wyborów prezydenckich byłoby działaniem wręcz zbrodniczym. Nie wolno narażać życia ludzkiego. (...) Apeluję do wszystkich wyborców, aby nie uczestniczyli w wyborach 10 maja 2020 roku. Jeśli nie można inaczej, niech odpowiedzą na nieodpowiedzialność władzy będzie powszechny bojkot”.

Kłopot w tym, że ta deklaracja została odebrana jako zapowiedź wycofania się Kidawy-Błońskiej z wyborów – dlatego we władzach PO uznano, że poszła o krok za daleko. Liderzy PO nie mogli jej pozwolić na wycofanie się z prostego powodu – szefostwo partii wciąż uważa, że Kaczyńskiemu będzie trudno zorganizować wybory w maju, bo przegra z epidemią i trudnościami organizacyjnymi. Wtedy wybory trzeba będzie przełożyć. Prawdopodobnie w tych przełożonych wyborach – za pół roku czy rok – startować będą mieli prawo tylko ci kandydaci, którzy są dziś zarejestrowani. Gdyby Kidawa się wycofała, w przełożonych wyborach Platforma nie miałaby kandydata. A na to największa partia opozycyjna nie może sobie pozwolić.

Jest jeszcze jeden kłopot: wycofanie się Kidawy znacznie ograniczyłoby Platformie możliwość podważania legalności wyborów przed sądami. A – co widać po ostatnich działaniach PO, w tym deklaracjach jej byłego lidera, Donalda Tuska – taki jest podstawowy plan partii.

I po to tylko potrzebna jest dziś Platformie Kidawa, jako fantom pod skargi wyborcze.

6 WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ
Na kłopotach i błędach Kidawy skorzystał szef ludowców Władysław Kosiniak-Kamysz, od kilku lat

konsekwentnie przebudowujący PSL w kierunku umiarkowanej partii konserwatywnej i odsuwający starszych działaczy, przywiązanych do jednowymiarowego, chłopskiego charakteru ugrupowania. Z jednej strony Kosiniak przyciąga takich ludzi jak Paweł Kukiz, przejmując część jego obywatelskich postulatów, z drugiej otwiera się na niechcianych w PO konserwatystów. Wiele wskazuje na to, że jeśli Gowin rozstanie się z Kaczyńskim, to trafi właśnie do PSL.

W kampanii Kosiniak był przedstawiany jako lepsza wersja Dudy, taki „Duda plus”. Tak jak prezydent konserwatywny i prospołeczny (był ministrem pracy w rządzie Tuska), ale jednocześnie samodzielny i unikający politycznych wojen – to mają być owe plusy w porównaniu z Dudą.

Po stronie opozycji walczyły ze sobą dwa stanowiska w sprawie wyborów. Jedno, bliskie Platformie, to podważanie ich legalności. Drugie, bliższe PSL i Lewicy, to wyborcza gra do końca, nawet na warunkach PiS. Jest w tym sporo politycznej kalkulacji. Ponieważ notowania Kidawy-Błońskiej są fatalne, to w interesie PO jest przełożenie wyborów co najmniej o rok. Ludowcy – i po cichu wspierająca ich Lewica – mają inny pomysł. Ponieważ rosną notowania Kosiniaka-Kamysza (w większości sondaży jest drugi), woleliby przełożyć wybory o kilka miesięcy, choć są gotowi nawet na głosowanie w maju. Liczą na to, że dojdzie do drugiej tury, w której Kosiniak spotka się z Dudą.

Ze strony środowisk antypisowskich posypały się na to gromy na głowę Kosiniaka: zarzucono mu legitymizowanie niedemokratycznych wyborów. Ale lider PSL wytrzymał już podobną presję w 2019 r., gdy był atakowany za to, że w wyborach sejmowych startuje samodzielnie, a nie w koalicji z PO – wyniki pokazały, że to on miał rację.

Kto wie, może stawiający dziś opór Kaczyńskiemu Gowin w rzeczywistości rozpoczął grę na prezydencką wygraną Kosiniaka-Kamysza, z którym utrzymuje ścisłe kontakty?

7 ANDRZEJ DUDA
W kampanii wkraczał jako murowany faworyt, skończył jako przedmiot rozgrywki Kaczyńskiego z Gowinem, kompletnie ubezwłasno-

wolniony. Choć półgębkiem dawał do zrozumienia, że sprzeciwia się wyborom w maju, to po licznych przegranych wojnach z Kaczyńskim – choćby o kontrolę nad TVP – nie miał tyle siły i determinacji, by otwarcie wesprzeć Gowina. A jeszcze przed epidemią było zauważalne, że Duda i jego ludzie nie mają pomysłu, jakimi obietnicami zapewnić prezydentowi drugą kadencję, bo w kasie państwa widać było już wówczas dno.

W tej sytuacji koronawirus wydawał się dla Dudy idealnym politycznym paliwem. W pierwszych tygodniach epidemii prezydent był hiperaktywny. Odwiedzał szpitale, otwierał orlenowską taśmę do produkcji płynu odkażającego, organizował narady i pokazowo, publicznie dorzucał pomysły do rządowej tarczy antykryzysowej. Na Dudę pracował też rząd (równie pokazowo przyjmując jego pomysły czy organizując operacje w stylu przylotu największego samolotu świata ze sprzętem jednorazowym z Chin) oraz TVP, która obsługiwała jego kampanię od strony propagandowej.

W pewnym momencie prezydent przyhamował, bo jego doradcy uznali, że lansowanie się na chorobie może mu zaszkodzić. Tyle że wtedy w kampanii pojawiły się elementy groteskowe, jak założenie konta w młodzieżowym serwisie społecznościowym TikTok, służącym głównie do wygłupów.

A pierwsza dama nawet podczas epidemii wołała milczeć i okazywać swój dystans wobec PiS.

8 DONALD TUSK

Wielki nieobecny kampanii – w listopadzie 2019 r. zadeklarował, że nie będzie startował, co było srogim zawodem dla jego zwolenników, którzy oczekiwali, że po zakończeniu misji w Brukseli wróci do Polski i pobije PiS.

Ale Tusk miał nosa. Nie tylko dlatego, że kampania była nienormalna z powodu epidemii – tego przewidzieć nie mógł. Chodzi przede wszystkim o to, że wyczuł, iż to nie jest jego czas w polskiej polityce. I rzeczywiście, jego wezwania oraz deklaracje nie miały w tym czasie praktycznie żadnego znaczenia.

W finale odwołując się do swej roli lidera konfederacji partii europejskiej chadecji wygłosił ostre oświadczenie, sugerując bojkot. „Te wybory nie są wyborami w sensie ustrojowym, ponieważ nie będą

ani wolne, ani równe. Zmiany wprowadzane w kodeksie wyborczym są niekonstytucyjne. Nikt nie zapewni nam tajności wyborów – stwierdził. – Jestem przekonany, że jeśli wszyscy uczciwi Polacy powiedzą: »to nie są wybory«, to PiS się wycofa. Możliwe jest przeprowadzenie w dość szybkim terminie uczciwych wyborów”.

Doszło nawet do tego, że Tusk zaczął otwarcie krytykować Kosiniaka-Kamysza za jego przyzwolenie na głosowanie, choć jeszcze kilka miesięcy temu pojawiały się wiarygodne doniesienia, że widzi w liderze ludowców wspólnego kandydata opozycji na prezydenta.

Co prawda PiS lansuje teorię, że PO chce przełożyć wybory, by zamiast Kidawę wystawić Tuska, ale nie ma takiej łatwej prawnej możliwości. Inna rzecz, że słaby rezonans działań byłego premiera po zakończeniu brukselskiej misji wskazuje na to, że można wieszczyć jego polityczną emeryturę na krajowym rynku. Choć w przypadku polityka tak doświadczonego i zręcznego przesądzić się tego nie da.

9 JOLANTA TURCZYNOWICZ-KIERYŁO

Wyciągnięta z kapelusza szefowa kampanii Dudy została podsunęta przez Gowina i to mimo że ni-

gdy nie prowadziła politycznych operacji na takim poziomie. W dodatku miała jeszcze jedną zgubną cechę – bogatą, niezbadaną biografię. Najpierw okazało się, że kiedyś ugryzła człowieka, który – wszystko na to wskazuje – przyłapał ją na rozrzucaniu ulotek w ciszy wyborczej. Potem wyszło na jaw, że ona i jej mąż kilka lat temu kibicowali Platformie i KOD. Pani mecenas nie przyznała się do wierszyka, w którym mowa o „przypiekaniu Kaczora”, choć dawni znajomi twierdzą, że wygłosiła to dzieło podczas imprezy z udziałem m.in. byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Turczynowicz-Kieryło miała być zręcznym narzędziem do ataku na Małgorzatę Kidawę-Błońską. Wszystko wedle narzuconej przez Kaczyńskiego mężczyznom z PiS zasady, by kobiet nie uderzać nawet kwiatem. Operacja nie wypaliła, Turczynowicz-Kieryło szybko została na powrót wepchnięta do kapelusza.

10 SZYMON HOŁOWNIA

Miał być czarnym koniem wyborów, ale zupełnie mu nie wyszło.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

POŻEGNANIE

17 kwietnia w przeddzień swych imienin odeszła przedwcześnie

Bogusława Maria Szywalska-Zduńczyk

– najdroższa Żona, Mamusia, Cóрка, Siostra i Przyjaciółka

Jako uznany lekarz pediatra była całkowicie oddana swym pacjentom. Wyjątkowy i dzielny człowiek, osoba głębokiej wiary.

Do końca walczyła z chorobą i była pełna nadziei.

Niech dobry Bóg ma ją w swej opiece.

Pograżeni w niewysłowionym żalu
EWA I ANDRZEJ ZDUŃCZYKOWIE

Prosimy o nieskładanie kondolencji

Teraz jest ten moment

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL:

Odpowiedź na pytanie, co zrobić, jeśli wkrótce odbędą się wybory, nie jest prawnicza. Chodzi raczej o to, jak skutecznie zadbać o interes wspólny.

MARCIN ŻYŁA: W artykule drugim konstytucji czytam: „Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym”. Jest nim wciąż?

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL: Już tylko częściowo. A częściowo, może nawet w większej części, jest państwem autorytarnym.

Autorytarnym? Nie przesadza Pan?

Ani trochę. To słowo budzi opór, ponieważ kojarzy się ze zbrodnictwami, uciskającymi obywateli reżimami. Jednak brak poparcia społecznego nie jest wcale cechą władzy autorytarnej.

Autorytaryzm oznacza władzę, która nie podlega kontroli. Obecnie w Polsce nie działa wiele instrumentów takiej kontroli zapisanych w konstytucji. Co więcej, władza przestała kontrolować siebie. Zdarza się, że nie działa na podstawie prawa. A kiedy władza przestaje działać na podstawie prawa, staje się władzą autorytarną – tak brzmi klasyczna definicja.

Czytam dalej konstytucję: „Wszyscy są wobec prawa równi”. „Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym”.

Z tym jest różnie. Oczywiście, nie ma procesów politycznych, nikt nie siedzi w więzieniu za poglądy, funkcjonują media. Ale wolność polityczna wyraża się również we wpływie zaangażowanych w politykę na życie publiczne. Kiedy obserwuję, w jaki sposób w Sejmie dopusz-



ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA GAZETA

DR HAB. WŁODZIMIERZ WRÓBEL,

profesor w Katedrze Prawa Karnego UJ i sędzia Sądu Najwyższego

czane są do dyskusji poszczególne partie, widzę zasadnicze ograniczenie swobody debaty. Media publiczne – czyli wspólne – preferują kandydatów jednej opcji politycznej. To też godzi w zasadę równości w życiu publicznym.

Kto dziś stoi na straży praworządności?

Wymienia to konstytucja: Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy i sądy powszechne. Ale Trybunał Konstytucyjny nie spełnia już cech, które przewiduje ustawa zasadnicza. Wiemy, jaka batalia toczy się wokół prób przejmowania sądownictwa. Choć czyni się to pod hasłami reform, zmiany polegają głównie na politycznym podporządkowaniu sądów. Na straży praworządności powinna też stać prokuratura, jest jednak zaangażowana po jednej stronie sporu politycznego.

Oczywiście podporządkowanie sądów władzy jeszcze w całości się nie dokonało. Formalnie sądy funkcjonują i są mechanizmem ochronnym przed zakusami innych władz. Mamy też instytucję Rzecznika Praw Obywatelskich.

Władza poza kontrolą, przepisy uchwalane z naruszeniem procedur, i do tego dziwna kampania wyborcza przed głosowaniem, które nie wiadomo, jak będzie wyglądać. To gdzie my jesteśmy?

Najpierw wstęp: nie ma idealnego państwa prawa. W wielu krajach odchodzi

się czasem od jego reguł, potem jednak te odstępstwa są kontrolowane przez trybunały i sądy. Tyle że Polska jest już gdzie indziej. Łamanie zasad państwa prawa przybrało u nas strukturalny charakter, odbywa się na dużą skalę.

Mówię o tym, ponieważ czeka nas wydarzenie fundamentalne dla państwa prawa – wybory. Do tej pory, cokolwiek by się działo, wyborów nie kwestionowano. Spełniały standardy konstytucyjne, były wolne, bezpośrednie, tajne i powszechne. Tymczasem teraz, na parę dni przed wciąż obowiązującą datą wyborów prezydenckich, nie wiemy, jak będą one wyglądały. Nie uchwalono stosownego prawa. To, które było, zawieszono; zresztą i tak trudno sobie wyobrazić, żeby podczas epidemii dało się na ich podstawie przeprowadzić głosowanie. Za to wszystko ponosi odpowiedzialność obecna większość parlamentarna.

Czy wybory korespondencyjne byłyby powszechne, równe, bezpośrednie i tajne – jak każe konstytucja?

Oczywiście, że nie. I wiemy to już teraz. Wybory to więcej niż głosowanie. Kampania praktycznie się nie odbyła. A ściślej: nie była równa dla wszystkich kandydatów. Projekt wyborów korespondencyjnych pozbawia prawa do głosowania osoby mieszkające za granicą i poza miejscem, gdzie są wpisane do rejestru wyborców.

W krajach, w których można głosować korespondencyjnie, jest to metoda alternatywna wobec wyborów tradycyjnych, podczas których osobiście wrzucam do urny kartę do głosowania i nikt nie wie, kogo wybieram. Zakłada się, że jeśli ktoś chce głosować korespondencyjnie, świadomie pozbawia się pełnej gwarancji prawa do tajności. Ale polski projekt – w którym głosować można wyłącznie korespondencyjnie – przewiduje, że wszyscy musimy z tego zrezygnować.

Czy te szczegóły są tak ważne?

Jest czas nadzwyczajny, epidemia.

Jeśli wybory tracą cechy, o których mówi konstytucja, zawali się jeden z fundamentów państwa. To żadna przesada.

I co potem?

Otworzy to drogę do podważania ich efektów, czyli kwestionowania legitymizacji prezydenta. Jedni uznają, że zwycięzca głosowania to prezydent, inni – że prezydenta nie wybrano. To samo może dotyczyć rządu powołanego przez takiego prezydenta oraz aktów prawnych, które będzie wydawał.

Co robić, jeśli uważa się, że takie wybory są niedemokratyczne?

Po pierwsze, zastanowić się, czy chcemy wziąć w nich udział. Niektórzy twierdzą, że takie głosowanie nie będzie wyborami w znaczeniu, jakie przewiduje konstytucja. Co najwyżej plebiscytem, formą wypowiedzenia się za lub przeciw określonym pomysłom rządzących.

To jednak nie jest decyzja prawnicza, tylko raczej pytanie o to, jak mogę skutecznie zadbać o interes wspólny – państwa czy narodu. Wiem, to brzmi górnolotnie. Ale przecież to mój obowiązek jako członka wspólnoty. Nie mogę teraz pójść grillować. Ani wycofać się w prywatność, uznać: „a co mnie to obchodzi, i tak nie mam na to wpływu”. Teraz trzeba podjąć jakąś decyzję.

Jakie są możliwości prawne?

Pozostanę pozytywistą: jeśli uznamy, że to, co się wydarzy, będzie sprzeczne z konstytucją lub prawem – nawet tym dziwnym, które teraz obowiązuje – powinniśmy wykorzystać wszystkie instrumenty, które mamy. Takim instrumentem jest protest kierowany do Sądu

Najwyższego. Trzeba do końca walczyć – i o swoje, i o wspólne.

Może być też tak, że na skutek porozumienia w parlamencie nie dojdzie do głosowania korespondencyjnego. Czy wybory odbędą się wtedy w zwykłym trybie?

Zorganizowanie lokali wyborczych jest trudne ze względu na epidemię. Z informacji, jakie do nas docierają, wiemy, że komisje wyborcze nie powstały, ponieważ nie zgłosiła się wystarczająca liczba kandydatów. W trybie zwykłym nie ma kto tego głosowania przeprowadzić.

Szczegół dobrze obrazujący całą sytuację: zawieszono nawet przepis, który określa, jak wygląda karta do głosowania. Normalnie robi to Państwowa Komisja Wyborcza. Ale w prawie, które obowiązuje od kilku tygodni – chodzi o tzw. drugą tarczę antykryzysową – i w którym umieszczono też przepisy dotyczące wyborów, PKW wykluczono z tego procesu. Założenie było pewnie takie, że będzie to robił organ rządowy. Ale, znów, nie ma do tego przepisu! Jeśli więc nie dojdzie do głosowania korespondencyjnego, nie będziemy mieli kart do głosowania, które można byłoby wrzucić do urn.

Jest z tego wszystkiego jakieś wyjście?

Epidemia sprawia, że głosowania nie można teraz bezpiecznie przeprowadzić. Wyjściem jest oficjalne ogłoszenie stanu klęski żywiołowej, który przecież nieformalnie i tak już trwa od kilku tygodni, oraz przesunięcie wyborów na moment, gdy będą mogły być prawidłowo przygotowane. Wtedy nikt nie zakwestionuje ich wyniku.

Tak naprawdę jednak dochodzę do przekonania, że prawne metody wyjścia z tego chaosu są już bardzo ograniczone.

I szybko się kończą. To moment, w którym konieczne są decyzje polityczne. Decyzje osób, które przejmują odpowiedzialność za to, jak wygląda ustrój państwa. Jest tylko jeden warunek: ci, którzy mieliby podejmować takie decyzje – myśleć w szczególności o partiach politycznych – muszą mieć do siebie choć trochę zaufania. Albo musi pojawić się jakiś mediator. Nie zapowiada się ani na jedno, ani na drugie.

Brzmi to ponuro.

Jestem poruszony faktem, że przechodzimy tak głęboki kryzys społeczny. Jesteśmy podzieleni. Nie ma władzy, która chciałaby zasypywać rowy między nami. Wręcz przeciwnie – jest władza, która na bazie tych podziałów realizuje swoją efektywność. I to wszystko w czasie, gdy wokół narastają gigantyczne niebezpieczeństwa. Prawdziwe, nie wydumane. Chodzi o zmieniające się otoczenie naszego kraju, ale także o to, na co wpływ mamy coraz mniejszy – jak przyroda odwdzięcza się człowiekowi za dekady naszej pozbawionej równowagi z nią współpracy.

W chwili, w której wybory tracą wiarygodność, przegrywają wszyscy. Z prostego powodu: wybory mają dać legitymizację – podstawę do twierdzenia, że moja władza jest prawidłowa. Żeby tak było, muszą się z tym zgodzić wszyscy. Jeżeli połowa społeczeństwa będzie mówić, że tak nie jest, to także ci, którzy będą twierdzić, że tak jest, nic z tego nie będą mieli.

Czym to grozi?

Wejdziemy w fazę bardzo ostrego konfliktu, w dodatku już pozaprawnego. Bez prawnych mechanizmów, żeby to rozstrzygnąć. Znamy to z historii. To się nigdy nie kończy dobrze.

©© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

POZEGNANIE

Dorocie Maciejko

Wyrazy głębokiego współczucia i słowa otuchy
z powodu śmierci

Brata

PRZYJACIELE ZE ZNAKU



ALVARO CALVO / GETTY IMAGES

Siostry śnią o sieroctwie

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Nakaz wojewody i pięć dób w zakażonej placówce, która została bez medycznej pomocy. Pielęgniarka opowiada o kulisach swojej pracy.

CIAŻĄ MI GÓRNOLOTNE SŁOWA – POWIE pod koniec rozmowy.

– Jakie?

– Na przykład „bohaterka”. Nie jestem nią, a takie słowa słyszę. Bohaterów widziałam tam. Opiekunowie i opiekunki, zdrowi i zakażeni. Byli przy tych ludziach dzień i noc.

– Cięży mi też to, jak to wszystko się skończyło – doda.

Przeddzień:

„O zwolnieniu nie myślałam”

Czwartek, 9 kwietnia, tuż przed dwudziestą drugą – dzwonek do drzwi.

– To był dzielnicowy. Na dokumencie było napisane, że w ciągu 12 godzin muszę się skontaktować z nowym miejscem pracy.

Agnieszka (imię zmienione), lat 53. Przez lata w szpitalu, przez ostatnich kilkanaście – w prywatnej przychodni. Przez dekady zdążyła do wielu rzeczy przywyknąć. Do sterylnej czystości, do procedur. Strzykawka, środek dezynfekcyjny – w tym samym miejscu. Hydrokor-

tyzon, adrenalina, wapń – w szpitalu sięgała po nie odruchowo.

– Kiedy w przychodni zastała nas epidemia, też był porządek – wspomina. – Pojawiły się fartuchy, środki dezynfekcyjne. Przeszliśmy częściowo na teleporady.

9 kwietnia wieczorem wie już o dramatach placówek. I o nakazach pracy.

– Przeszło pani przez myśl: „wezmę zwolnienie”?

– Nie. Mogłam zadzwonić do kardiologa, że odezwała się arytmia, na którą cierpię. Ale pomyślałam: na wejściu ktoś oceni, czy mogę pracować w takim miejscu.

RYZYKO Bobrowiecka 9: najbardziej znany warszawski adres medialnych doniesień kwietnia. Kilkupiętrowy budynek – Zakład Opieki i Rehabilitacji. Pacjenci głównie starsi, schorowani, leżący. Często z demencją, czasem bez świadomości.

Pod koniec marca zakaża się pierwsza pacjentka. 3 kwietnia: potwierdzenie do-

datniego wyniku testu u 17 pacjentów i jednego pracownika. 8 kwietnia, gdy ośrodek opuszcza dyrektorka, pracująca w roli pielęgniarki nieprzerwanie od końca marca, sytuacja jest już bez precedensu. Instytucja – i to lecznicza, choć spełniająca też podobną rolę jak dom pomocy społecznej – nie ma na stałe nikogo z personelu medycznego.

Warszawski ZOIR jest wówczas jedną z kilkudziesięciu zakażonych placówek. Wszyscy się boją scenariusza włoskiego lub hiszpańskiego: masowe problemy kadrowe, śmierci w samotności. Są ku temu podstawy. Gromadzone przez Polskie Forum Osób z Niepełnosprawnościami dane pokazują, że chorzy w placówkach to kilkanaście procent wszystkich zakażeń. A ryzyko zachorowania i śmierci jest tu kilkudziesięciokrotnie wyższe niż w normalnych warunkach.

Dzień I: „Weszłam do pokoju. Zaczęłam płakać”

Piątek, 10 kwietnia, tuż przed dziesiątą.

– Myślałam, że na miejscu lekarz obejrzy moją dokumentację. Przeprowadzi wywiad. W razie czego uspokoi. Tak było w przypadku niektórych koleżanek, tak mówią przepisy.

Ale pani Agnieszki nikt nie bada – lekarza brak.

– Mogła się odwrócić i wyjść?

– Tylko na jakiej podstawie? Nakazy mają natychmiastową wykonalność. Można się odwoływać, ale do czasu rozpatrzenia trzeba pracować – mówi pielęgniarka (dziś Urząd Wojewódzki zapewnia, że z nakazami wręczane są formularze, których wypełnienie pozwala na szybszą ścieżkę odwoławczą, ale 9 kwietnia takiego druku nie było).

Na parterze mokotowskiego ZOIR-u pielęgniarka zastaje niecałą dziesiątkę pacjentów – to ci z testami ujemnymi i bez objawów. Na piętrze pierwszym 12 kolejnych: też „ujemnych”, ale już z objawami (temperaturą, kaszlem, problemami oddechowymi). Piętro drugie to 24 zarażonych.

Dla ponad czterdziestki musi wystarczyć kilkoro opiekunów (dla porównania: w DPS-ach musi być pół etatu na mieszkańca). Od piątku ośrodek będzie odwiedzał lekarz. Ale na stałe personelu medycznego nie ma. Przynajmniej do jej przyjścia.

– Jaką ochronę dostała pani na wejściu? – pytam.

– Fartuch flizelinowy i rękawiczki. Maseczkę miałam własną, przyłbicę też... Tak wyposażona zostałam wpuszczona na oddziały.

– Jak sobie pani radziła?

– Na zakażony oddział nie byłam w stanie pierwszego dnia wejść, tyle miałam pracy z pozostałymi pacjentami. Pomogli mi opiekunowie, jestem im ogromnie wdzięczna. A sprawy medyczne: dokumentacja, historie chorób, leki, sprzęt? Nie miał kto mnie w to wdrożyć. Pozostał kontakt telefoniczny, ale tylko teoretycznie: aparat non stop przy twarzy to najprostsze źródło zakażenia... Po południu przyszedł lekarz, też delegowany przez wojewodę. Zrobiliśmy obchód na dwóch oddziałach, omówiliśmy zlecenia. To był ciężki dzień. Miałam na terenie ośrodka pokój, o który poprosiłam, żeby nie przynieść wirusa do domu. Weszłam, usiadłam na łóżku, zaczęłam płakać. A potem sen: kilkugodzinny, rwany, nerwowy.

SNY Dr Agata Giza-Zwierzchowska, psycholożka i psychoterapeutka: – Jest w nich jeden powtarzający się motyw. Kilku pielęgniarkom, z którymi rozmawiałam, śniła się utrata rodziców.

Od kilku tygodni pracuje interwencyjnie w szczecińskim szpitalu jednoimiennym. Rozmawia z pielęgniarkami, które muszą poddać się izolacji (mają objawy albo miały niebezpieczny kontakt z kimś chorym).

– Widzę podczas tych rozmów lęk. Czasem obezwładniający, atawistyczny – mówi Giza-Zwierzchowska. – Lęk, który wysysa ciało. Niektóre z kobiet już po kilku dniach pracy w sytuacji zagrożenia miały objawy psychosomatyczne: bezsenność, ból głowy, kłopoty gastryczne. Czuły, że mają gorączkę, choć termometr pokazywał 36,6. Rozmawiam głównie z pielęgniarkami, które nie pracują bezpośrednio z chorymi na COVID-19. Do szpitala jednoimiennego przychodzą też inni ludzie: na dializy, na SOR. Tam paradoksalnie stres jest większy, bo na „zakażnym” znają wroga. Są procedury, mechanizmy obronne. A kobiety, z którymi rozmawiam, nie są na to gotowe.

– A ten sen? To lęk dosłowny, że zarażą własnych rodziców?

– Można go też czytać symbolicznie. Jako utratę opieki, poczucia oparcia. Te pielęgniarki bywają osieroconymi

dziećmi systemu, który nie zawsze daje bezpieczeństwo.

Dzień II: „Pot kapie po całym ciele”

Sobota, 11 kwietnia. Godzina 5.30 – pobudka.

Na dole „pogorszyła się” jedna z podopiecznych. Niby „ujemna”, ale z objawami oddechowymi (po kilku dniach test potwierdzi zakażenie). Agnieszka podejmuje decyzję, by wezwać karetkę. – To był kolejny dzień, który zapamiętam na długo. Biegałam z oddziału na oddział. A to ktoś wzywał na piętro, a to potrzebna byłam na parterze.

Tego dnia Agnieszka zaostrza na oddziałach reżim sanitarny. – Co robić, gdy się wchodzi do sali pacjentów, jak postępować przy wyjściu – wylicza. – Jak się dezynfekować, jak się zachowywać wchodząc i wychodząc z sali pacjenta, co robić przy przechodzeniu na inny oddział albo wychodząc po dyżurze do pokoju hotelowego.

– Kierownictwo placówki było na miejscu?

– Byliśmy w kontakcie telefonicznym.

– Wiem o brakach w sprzęcie. Zgłaszała je pani?

– Nie chcę o tym w tej chwili mówić: sprawa zostanie na pewno zbadana. Radziliśmy sobie, jak mogliśmy, w warunkach, w jakich przyszło nam pracować...

W sobotę Agnieszka idzie po raz pierwszy na drugie piętro – do zakażonych. – Spędziłam tam jakieś pięć godzin – wspomina. – Ale nie miałam bezpośredniego kontaktu z chorymi. Skupiłam wszystkie siły na jednym: by porozkładać leki. Proszę to sobie wyobrazić: ciężko, duszno, nie można się niczego napić. Okulary zaparowują, pot kapie po całym ciele. Zaczął mi nawalać kręgosłup, bolała ręka. Byłam na nogach od 5.30, to było późne popołudnie. Gdy zeszłam, była 23. Przed snem wypilałam półtora litra wody.

WINA Z historii zapamiętanych przez Gizę-Zwierzchowską: 60-letnia Zofia i 50-letnia Anna (imiona zmienione). Zofia płacze, że nie może zostać w izolacji, bo w domu czeka chora mama. Anna krzyczy, że nie pozwoli się zamknąć: jej córka zaraz rodzi.

– Inne kobiety biorą na siebie winę za własne zakażenie – opowiada Giza-Zwierzchowska. – Na przykład młoda pielęgniarka z DPS-u. Pracowała po kil-

kanaście godzin, a teraz płacze, że „została” koleżanki. Albo pielęgniarka z „COVID-owego”: też rozpacza, że „zawiodła”. Te kobiety nie powinny tego na siebie brać, nie one.

Dorota Uliasz, psycholożka zaangażowana w pomocową infolinię Naczelnej Izby Pielęgniarek i Położnych, zapamiętała rozmowę z kobietą, której niedawno zmarł mąż: – Pojawił się u niej lęk: „Co będzie, jak zachoruję?”. Dziecko pyta: „Mamo, czy ty na pewno wrócisz z pracy?”. Pyta, bo tata kiedyś nie wrócił.

Epidemia, mówią psycholodzy, stworzyła pole wewnętrznych konfliktów na nieznana dotąd skalę. Te historie będą się przenosić na pracę zespołów: – Relacje w wielu miejscach już się posypały. „Ty nie masz styku z zakażonymi” – słyszą niektóre pielęgniarki. Albo: „Siedzisz w domu, a my pracujemy”. Czują się winne. Najpierw po drugiej stronie słuchawki słyszały wsparcie: „Dolecz się”. Później coraz częściej przyciszony głos szefowej: „Nie mamy z kim pracować”.

– Co pani mówi? – pytam Dorotę Uliasz.

– Że mają prawo do emocji. I nikt nie ma prawa oceniać: „Twój lęk jest mniej szczy, mniej ważny”. To często zadaniowcy, ludzie rzadko myślący o sobie. Teraz będą się musieli zaprzężyć ze swoimi emocjami.

Dzień III i IV: „Mąż zrobił wiele dobrego”

Sobota i niedziela, 11-12 kwietnia.

– Pracownicy wychodzili z Bobrowieckiej na noc? – pytam.

– Jedni zostawali, inni wychodzili...

Kolejne dwa dni Agnieszka znowu spędza głównie na dolnych oddziałach. Ale odwiedza też zakażonych z drugiego piętra – musi zrobić jednemu z pacjentów zastrzyk. W niedzielę boli ją ręka, odzywa się kręgosłup.

W tych dniach dowiaduje się, że jej mąż zaalarmował media. Odpowiedziałność za wysłanie i porzucenie jego żony – mówił – spoczywa na wojewodzie mazowieckim. Zdrowie żony się załamuje, i jeśli nie będzie wsparcia, może się stać coś złego.

– Gdybym wiedziała o planach męża, chyba bym się na to nie zgodziła – mówi Agnieszka. – Choć wiem, że tym alarmem zrobił dużo dobrego. Nastąpiła mobilizacja ludzi: ktoś przyniósł maski, ktoś inny kombinezon, pulsoksymetrię.

⇒ Powoli przybywa też personelu. W poniedziałek zgłaszają się, bez nakazu pracy, dwie pielęgniarki. – Jedna przyszła też we wtorek i w kolejne dni przez ponad tydzień. Pracowała do godz. 15, ale to było duże wsparcie, także psychiczne.

– Kto zajmował się na bieżąco zakażonymi pacjentami z drugiego piętra? – pytam.

– Opiekunowie, też zarażeni. Myślę i o nich, i tych pracujących na dole jak o bohaterach. Młodszy, starsi, Polacy, Ukraińcy. Mogli zrezygnować z tej pracy. Zostali.

SAMI Kilkadziesiąt tysięcy – tylu ich w Polsce jest. Myją, ubierają, zmieniają pampersy, karmią, piorą. Zmagają się z depresjami, czasem spotyka ich agresja. Zwykle za najniższą krajową.

– Mówi się o pielęgniarzach, lekarzach, o nas cisza – usłyszałem od kilkorga opiekunów w DPS-ach. Jeden z nich (pracuje w placówce w Wielkopolsce, na razie „czystej”) opowiadał mi o lekturze artykułu z internetu.

– Przechodziły mnie ciarki. Do środka wchodzi wojsko, a tu pusto. Nie było nikogo z personelu! A mieszkańcy? Część w łóżkach, już nie żyli. To było o jednym z domów w Hiszpanii, ale pomyślałem: „A co by było, gdyby coś takiego stało się u nas?”. Zapytałem nawet koleżanek i kolegów: „Kto się odważy zostać w razie czego?”.

– Co pan usłyszał?

– Że jedni zostaną, a inni nie. Jedna koleżanka ma dziecko z nowotworem, inna z chorobą neurologiczną...

– A pan?

– Rozmawiałem z żoną. Ustaliliśmy, że zostanie. Ale powiem panu szczerze: to mówienie o czymś abstrakcyjnym. Pracujemy z osobami upośledzonymi intelektualnie, niektórzy są chorzy psychicznie. Ci ludzie nie mogą wychodzić, nikt ich teraz nie odwiedzi. I te medialne doniesienia... Moje koleżanki już mówią, że epidemia spowoduje długofalowe problemy psychiczne kadry.

Dzień V:

„Jakby mi ktoś na klatce stanął”

Wtorek, 12 kwietnia.

– Po ciężkim poniedziałku poczułam się lepiej – wspomina Agnieszka. – Był lekarz. Najpierw wizyty, zlecenia, omówienie problemów pacjentów z dolnych oddziałów, potem razem poszliśmy na górę.

Kilkadziesiąt tysięcy opiekunów. Myją, ubierają, zmieniają pampersy, karmią. Zmagają się z depresjami, czasem spotyka ich agresja.

Zwykle za najniższą krajową.

Po powrocie do dyżurki poczułam się źle. Zrobiło mi się duszno, ciężko było złapać powietrze, jakby mi ktoś na klatce stanął. Powiedziałam o tym lekarzowi, pomógł mi wyjść poza oddział i bezpiecznie się rozebrać z kombinezonu. Gdy trochę odsapnąć, napić się i sprawdzę stan pacjentki, o którą niepokoi się opiekunka.

Agnieszka słabnie, zostaje podłączona pod kroplówkę. Konsultuje się – w formie teleporady – z lekarzem. Ten wystawia zwolnienie. Ok. 19 pielęgniarka opuszcza Bobrowiecką. Jedzie do dostępnego bezinteresownie przez życzliwą osobę mieszkania.

Sama narzuca sobie kwarantannę. W środę rano zgłasza ją sanepidowi, po ponad tygodniu zostanie jej pobrany wymaz. – W tym czasie dzwoniła do mnie pani z fundacji, by zapytać, jak się czuję – mówi Agnieszka. – Instytucje się mną nie zajmowały: nikt nie kontrolował, czy jestem w izolacji. Na początku kwarantanny przyszła od wojewody decyzja w sprawie odwołania, które podczas mojego pobytu na Bobrowieckiej napisał mąż. Zostało rozpatrzone pozytywnie.

– Dostała pani po wszystkim propozycję wsparcia psychologicznego z urzędu wojewody?

– Nie.

BOBROWIECKA Pod koniec kwietnia sytuacja wyglądała na opanowaną: większość zakażonych wyzdrowiała, na miejscu byli medycy. Ale jak to możliwe, że ponad 40 ciężko schorowanych ludzi zostało wcześniej bez stałej, fachowej opieki?

Warszawski ZOIR nie należy do systemu pomocy społecznej, a więc nie podlega miastu. Będąc częścią systemu ochrony zdrowia instytucja prowadzona jest przez Fundację Nowe Horyzonty i podlega nadzorowi wojewody. Fundacja i urząd przedstawiają dwie – częściowo różne – wersje zdarzeń. Wojewoda za-

wiadomił organa ścigania (badają możliwość narażenia mieszkańców na niebezpieczeństwo utraty życia lub zdrowia). Urzędnicy mówią, że jeszcze przed epidemią kontrolowali placówkę, i już wtedy brakowało kadry – jej uzupełnienie było częścią zaleceń pokontrolnych. W kwietniu zaś zobowiązali Fundację do zapewnienia opieki, a gdy to okazało się niemożliwe, urząd zaczął rozsyłać nakazy pracy, kierując też do placówki środki ochrony. Zarządzający Fundacją twierdzą, że o sytuacji alarmowali od 30 marca – przez tydzień bez odzewu, sami zaś nie byli w stanie uzupełnić topniejącej kadry.

Dlaczego stopniała? – Opowiadano i pisano: personel „opuścił”, „porzucił” pacjentów – mówi Agnieszka. – Łatwo wydawać sądy. Każdy ma prawo się bać. My, pielęgniarki, zwykle boimy się nie o siebie, ale o bliskich. Wiem, że jedna z pracowników się zaraziła. Historii pozostałych nie znam, ale wiem też, że pielęgniarki rzadko są zatrudniane w placówkach na etat. Większość jest dochodząca. Każda pielęgniarka jest świadoma tego, w jaki sposób przenosi się wirus SARS-CoV-2, jakie ma środki ochrony osobistej oraz gdzie pracuje. Ta świadomość sprawia, że często nie chce i nie może narażać innych. Proszę mi wierzyć: to nie są łatwe wybory.

Telefony Nowych Horyzontów w ostatnich dniach milczą.

KWARTANTANNA Z Agnieszką rozmawiam w drugim tygodniu po jej wyjściu z Bobrowieckiej. Nie możemy się połączyć przez Skype’a – na kwarantannie nie ma nawet laptopa, który by to umożliwił.

Mówi o poczuciu winy: – Dwa dni po wyjściu przeplakałam.

– Pięć dób w zagrożonym miejscu: bez wsparcia i ochrony. Z czego to poczucie wynika?

– Przez lata przywykłam, że gdy jest zadanie, trzeba je wykonać, choćby nie wiem co. Ten zawód to też powołanie. Sama go wybrałam.

– Myślała pani o psychologu?

– Cały czas zajmuję czymś głowę, inaczej bym się zadręczała. Koleżanka powiedziała mi, że są dostępne bezpłatne porady. Na razie z nich nie skorzystałam. PS. 27 kwietnia pani Agnieszka otrzymała negatywny wynik testu i wróciła do domu. © © PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

O kościelnym wolontariacie w domach opieki pisze Marcin Choduń na str. 37.

ANNA

Dziewit-Meller: *Jak zostać dojrzałym*



OKNO SYPIALNI WYCHODZI NA STARY KASZTANOWIEC. Kolejne lata życia odliczam więc patrząc, jak to piękne drzewo się zmienia. Wiosną wspominam czas, kiedy urodziła się moja córka, i gdy karmiłam ją piersią, patrząc na rozkwitające

pąki. Jesienią zbieram z dziećmi kasztany, planując pradawne zabawy ludek z rękami i nogami z wykałaczek. Teraz jednak widok prawie kwitnących kasztanów przypomniał mi, że oto właśnie mija 20 lat od mojej matury w chorowskim Słowaku, czyli Uniwersyteckim I LO im. Słowackiego.

Tamten rok miał być końcem świata. Wieszczono nadejście Królestwa Bożego, ostateczne realizacje Nostradamusowych przepowiedni, a przynajmniej to, że komputery, przedstawiając w noc sylwestrową cyferki w datach z „19” na „20”, zjedzą nasze oszczędności na kontach. Ale 1 stycznia świat obudził się tylko na zwyczajnym kacu, a potem już jakoś poszło. Zresztą wizja końca cywilizacji mniej wtedy przerażała od ustnego z fizyki czy historii.

Przed pisemnym z polskiego byłam spokojna, na pisemnym francuskim też nie czułam się źle. Zwłaszcza że to były matury bez obowiązkowej matematyki, sprawdzane przez nauczycieli z naszej szkoły, którzy, nagle jakby łagodniejsi, przechadzali się między ławkami i sugerowali, żeby może jednak jeszcze raz coś przemyśleć, albo kiwali głową, że słuszny jest kierunek, któryśmy w amoku pisarskim obrali.

Jatka zaczynała się dopiero w salach egzaminacyjnych uniwersytetów, bo to tam decydowano, czy przyjmą nas na studia. Wypasione świadectwa maturalne miały wówczas wartość papieru, na którym je drukowano.

Na egzamin wstępny przyjechałam z rodzicami, którzy czekali na ławeczce, paląc. Zapach nerwowego potu w wielkiej sali któregoś z kolegów UJ był przejmujący. Patrzyliśmy na

siebie wrogo, zdawkowo pozdrawiając konkurentów znanych z widzenia. Wyższe wykształcenie kluczem do sukcesu i pracy w Ernst & Young albo w „Gazecie Wyborczej”, co tam kto lepiej umiał – liczyć czy pisać. Była to jednak narracja fałszywa, o czym przekonywaliśmy się wchodząc na rynek pracy. Wielu musiało szukać szczęścia za granicą, tylko niektórzy je tam znaleźli. I tak mogliśmy się czuć szczęściarzami – wejście do Unii umożliwiło tę ucieczkę i mozolne budowanie życia od zera, ale przynajmniej w silnej walucie.

Jedną bowiem wówczas obowiązywała narracja: ucz się i pracuj, wyższe wykształcenie kluczem do sukcesu i pracy w Ernst & Young albo w „Gazecie Wyborczej”, co tam kto lepiej umiał – liczyć czy pisać. Była to jednak narracja fałszywa, o czym przekonywaliśmy się wchodząc na rynek pracy. Wielu musiało szukać szczęścia za granicą, tylko niektórzy je tam znaleźli. I tak mogliśmy się czuć szczęściarzami – wejście do Unii umożliwiło tę ucieczkę i mozolne budowanie życia od zera, ale przynajmniej w silnej walucie.

W moich wspomnieniach z tamtego czasu jest rys wielkiego chaosu. Tym wyraźniejszy, im bardziej analizuję wybory życiowe swoje i przyjaciół. Wielu wybrało wówczas plan na życie co najmniej pochopnie, czasem zaskakująco dziwnie. Zawracaliśmy z tych dróg potem, korygując je, na ile się dało, ale czasem dojście z życiem do ładu zajmowało i dwie dekady.

Patrząc na kwitnący kasztanowiec, staram się przyłożyć własne wspomnienie do tego, jak muszą się czuć dzisiejsi maturzyści. W środku pandemii, z niepewnością jutra przewyższającą stukrotnie tę, która mi wówczas towarzyszyła. Nam obiecywano, że spełni się nasz sen. Możliwe, że dzięki wierze w obiecany sukces łatwiej było zaciśnąć zęby i wiecznie próbować. Dziś mamy po 40 lat i wiemy, że było to wielkim kłamstwem. Kto jednak 20 lat temu miał w sobie wolę wątpliwości, skoro świat mamił błyskotkami?

Maturzystom roku 2020 dedykuję więc cytaty z C.S. Lewisa. O przewidywaniu przyszłości pisał: „To próba odgadnięcia przez nas fabuły dramatu, w którym jesteśmy postaciami. Tylko jak postacie mogą odgadnąć fabułę? Nie jesteśmy autorem sztuki ani jej reżyserem, ani nawet publicznością. Występujemy w spektaklu. Dobre odegranie scen, w których bierzemy udział, jest dla nas o wiele ważniejsze niż zgadywanie, co będzie się działo w następnych” (przeł. Magda Sobolewska).

Trzymajcie się. I nie bójcie się wątpić w to, co wam mówią – zarówno o sukcesie, jak i o klęsce.

©

Spokojnie, jest „Tygodnik”

Czytaj specjalny cykl „Tygodnika”
na kwarantannę
na powszech.net/kwarantanna

weź, czytaj!



GŁOWA W MUR KOŚCIOŁA

Co robić w sytuacji, gdy biskup nadużywa władzy?
Są świeccy, którzy postanowili wziąć sprawy w swoje ręce.

JAN TOMASZ RYBICKI

PIERWSZY PROTEST ZORGANIZOWAŁA w listopadzie 37-letnia Justyna Zorn. Kiedy przekraczam próg jej domu, karmi swoje drugie, niepełnosprawne dziecko. W środku domowy rozgardiasz: przestrzeń zaanektowana jest przez dzieci, na kanapie leżą zeszyty najstarszego syna, który ma zajęcia online. Spokojnie porozmawiać możemy w ogrodzie.

– Pochodzę z bardzo wierzącej rodziny – opowiada. – Wielu moich krewnych wstąpiło do zakonów. Kiedy odwiedzałam babcię, wiedziałam, że równo o piętnastej będziemy odmawiać koronkę.

Teraz mieszka na terenie gdyńskiej parafii, gdzie świeccy są wyjątkowo aktywni: – Wystarczy pójść do proboszcza i powiedzieć o swoim pomysle. Działam w grupie wsparcia rodziców dzieci niepełnosprawnych. Zorganizowaliśmy też z mężem warsztaty dla małżeństw w parafii. Pojechaliśmy później z nimi do diecezji pelplińskiej i to się przyjęło: regularnie działają tam teraz wieczory dla małżeństw – mówi z przekonaniem.

Maraton

Od kilku lat coraz bardziej dociera jednak do niej, że ten najbliższy, wspólnotowy Kościół oddala się od Kościoła reprezentowanego przez biskupów.

W 2013 r. tygodnik „Wprost” opublikował dwa reportaże oskarżające metropolitę gdańskiego abp. Sławoja Leszka Głódzia o pijaństwo i wulgarne zachowania wobec najbliższych współpracowników.

– Słyszeliśmy o tym – mówi Zorn.

Jakiś czas później doszło do konfliktu arcybiskupa z jej proboszczem, Jackiem Sochą. Po uroczystości stulecia parafii, podczas której mszę odprawiał metropolita, proboszcz wręczył mu tysiąc złotych intencji mszalnej. Okazało się, że to za mało. „Czy księdza nie nauczono, że po uroczystości trzeba przyjść do kurii z podziękowaniem?” – powiedział arcybiskup.

Ponieważ ks. Socha tego nie zrobił, był przez abp. Głódzia publicznie krytykowany. Został też niespodziewanie usunięty ze sprawowanej przez kilkanaście lat funkcji wykładowcy teologii moralnej w seminarium. Zapytany o powód, arcybiskup odparł, że nie musi się tłumaczyć. Na ks. Sochę naciskano też, by sprzedał budynek starej plebanii, z którego parafia korzysta: znajduje się tam klub muzyczny i studio nagrań dla młodzieży, spotykają się wspólnoty parafialne. Dwie trzecie zysku z transakcji miałyby dostać kuria, pozostała część parafia. Proboszcz odmówił.

Justyna i parafianie nie znali szczegółów, ale czuli, że ksiądz nie jest sprawiedliwie traktowany. – Napisaaliśmy do arcybiskupa list. Mieliliśmy też poczucie, że działanie w pełni chrześcijańskie wymaga również modlitwy. Dlatego urządziliśmy w tej intencji tygodniowy maraton modlitewny. Każdy miał piętnastominutowy dyżur. Moja kolej wypadła o trzeciej trzydzieści w nocy. Akurat by-

łam na weselu, więc przynajmniej nie musiałam wstawać – śmieje się.

Protest

W maju 2019 r. odbyła się premiera filmu braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”. W jednym z ujęć nagrywanych ukrytą kamerą ks. Franciszek Cybula, b. kapelan prezydenta Wałęsy, przyznaje się w rozmowie z ofiarą do molestowania, tłumacząc dorosłemu obecnie mężczyźnie, że „równorzędnie się tym darzyli”. Z dokumentu Sekielskich wynika, że doniesienie o tym molestowaniu oraz dowody zostały przekazane do kurii gdańskiej kilka miesięcy przed premierą filmu i nie doczekały się reakcji. Arcybiskup, poproszony o komentarz do filmu, odpowiedział początkowo, że „nie ogląda byle czego”. Taka reakcja nie mogła uspokoić wiernych, przekonanych, że ich archidiecezja jest źle zarządzana.

– Spotkaliśmy się w małej grupie w lipcu, zastanawiając się, co można zrobić, żeby dotrzeć do papieża Franciszka – kontynuuje Justyna. – Wiedziałam o wcześniejszych doniesieniach, ale miałam poczucie, że może to ciągle za mało. Kiedy w Krakowie zorganizowano

Abp Sławoj Leszek Głódź, metropolita gdański, i abp Salvatore Pennacchio, nuncjusz apostolski w Polsce, na uroczystościach podniesienia gdyńskiej kolegiaty NMP do godności bazyliki mniejszej. Gdynia, 4 maja 2019 r.



→ protesty pod hasłem „Odzyskajmy nasz Kościół”, pomyśleliśmy, że u nas też może się coś takiego udać.

Justynę ostatecznie przekonało spotkanie z abp. Grzegorzem Rysiem na temat kryzysu w Kościele, które odbyło się w Sopocie we wrześniu. Pytano o problemy i zaniedbania w Kościele instytucjonalnym. Abp Ryś, dopytywany o sensowność protestowania, odpowiedział: „Jak trzeba, to niech będzie”.

Justyna próbowała skontaktować się z abp. Głódziem. – Pomyślałam, że może ma w najbliższym otoczeniu ludzi, którzy zawsze przyznają mu rację, i że po prostu nie zdaje sobie sprawy z tego, że krzywdzi ludzi. Planowałam pójść sama, bez żadnego komitetu. Wielokrotnie dzwoniłam do sekretarza arcybiskupa. Okazało się, że to niemożliwe.

Nie była jedyną osobą, która próbowała wtedy rozmawiać.

W październiku telewizja TVN wyemitowała materiał, w którym anonimowo wypowiadali się księża, oskarżając abp. Głódię o symonię i mobbing.

– Najbardziej wyprowadziła mnie z równowagi reakcja kurii, która stwierdziła, że to „systemowy atak na Kościół” i oszczerstwa – mówi Zorn. – To nie były oszczerstwa. Od dawna towarzyszyła nam świadomość, że coś trzeba zrobić. Skoro listy nie wystarczają, potrzeba radykalnych kroków.

Tak samo myśleli oskarżeni o kłamstwo księża: w szesnastu wystosowali pod swoimi nazwiskami list do nuncjusza apostolskiego w Polsce abp. Salvatorego Pennacchia, potwierdzający, że to, co zostało powiedziane w materiale filmowym, jest prawdą. Tego samego dnia, pod wpływem impulsu, Justyna zgłosiła do władz zamiar zorganizowania manifestacji. Nie konsultowała tego z nikim. Nie była pewna, czy się uda. Okazało się, że są ludzie, którzy tak jak ona czują potrzebę działania. Pod kuria zebrało się ponad sto osób. Nikt nie wyszedł, by z nimi porozmawiać: manifestanci po kilku przemówieniach, modlitwie i chwili milczenia rozeszli się do domów. Nawiązały się jednak znajomości, które umożliwiły późniejsze działania.

Zaangażowanie

Jedną z osób, które pojechały później z Justyną Zorn do nuncjusza, była radczyni prawna Marta Nowicka. O swojej pracy mówi w kategoriach misji. – Zdarza się, że

klient trafia do mnie w najtrudniejszym momencie swojego życia. Moim zadaniem jest pomóc mu przejść przez cały ten proces, bez nadużywania prawniczej wiedzy, która czasem pozwala, by zwyciężyło... kłamstwo – mówi.

Wychowała się w wierzącej rodzinie, ale z wizją Boga, którego należy się bać. Opowiada o swoim nawróceniu jak o procesie, który wciąż trwa.

– Zaczęło się od rekolekcji ignacjańskich, później była długa seria ucieczek



MARTYNA CHMURA X3

JUSTYNA ZORN:

Myślę, że skoro Pan Bóg powołał mnie do życia w rodzinie katolickiej, w Kościele, to muszę mieć w nim swoje zadanie.



TOMASZ BRODECKI:

Nigdy nie miałem takiego pomysłu, żeby odwrócić się od Kościoła. Muszę powiedzieć, że przekonuje mnie pewien Żyd, który go założył.



MARTA NOWICKA:

Czasem czuję się bezsilna w zderzeniu z machiną administracyjną Kościoła. Zdarzają się myśli, żeby uciekać. Ale wierzę, że w Kościele jest Chrystus.

i powrotów. Ostatecznie chciałam zrobić coś dla kogoś, samej szukając sensu.

Tak trafiła do tej samej parafii, co Justyna, gdzie zaangażowała się jako wolontariuszka w przygotowywanie i wydawanie zupy ubogim i bezdomnym. Pomogła też założyć spółdzielnię ułatwiającą ludziom poszukiwanie pracy.

– Od dłuższego czasu zdawałam sobie sprawę, że w Kościele wiele rzeczy jest inaczej, niż powinno – opowiada. – Nie miałam poczucia, że to mnie dotyczy, ani tym bardziej że sama mogę cokolwiek z tym zrobić. A później dotarło do mnie, że te wszystkie sprawy są znacznie bliżej, niż mi się wydawało. Że dotyczą osób, na których mi zależy. I ja też jestem w pewien sposób odpowiedzialna za zło, które je dotknęło: właśnie z powodu mojej obojętności.

Podobną historię opowiada Tomasz Brodecki – trzecia ze świeckich osób, które spotkały się z nuncjuszem. On też zaczął odkrywać wiarę już jako dorosły. Od 13 lat działa we wspólnocie studiującej Pismo Święte. Przypadkiem trafił do tej samej parafii, co pozostała dwójka, podobnie zaangażował się w jej życie, doraźnie pomagając przy prowadzeniu kanału na YouTube. O zarzutach dowiedział się z mediów.

– Całe życie znałem tylko wspaniałych księży i szokujące było zorientowanie się, że choroba toczy Kościół – mówi. – Nie zetknąłem się z tym osobiście, ale nie chcę słyszeć od kolegów czy dzieciaków z podwórka, że nie chodzą do kościoła ze względu na takie sytuacje.

Justyna, Marta i Tomasz spotkali się na pierwszym proteście. Dzięki zbiórce w internecie udało się w Gdańsku powiesić dwa billboardy: jeden nieopodal kurii, drugi przy rezydencji arcybiskupa. „Zadośćuczynmy za krzywdy: spotkanie pod kuria gdańską 1.12.2019” – głosił napis. Również tym razem kuria nie zareagowała. Telewizja publiczna opublikowała wcześniej materiał sugerujący, że zarzuty pod adresem arcybiskupa są bezpodstawne, a „prawdziwe intencje” wroga Kościołowi, skoro na protestie pojawili się lewicowi działacze sympatyzujący ze społecznością LGBT.

– Nigdy nie myślałam, że będę mieć coś wspólnego ze środowiskami lewicowymi czy LGBT – opowiada Tomasz – ale pomyślałam, że mało mnie interesuje, jakiej ktoś jest orientacji politycznej. Jeśli ktoś chce dobra ofiar, to chce dobra Ewan-

gelii. Tyle że we wspólnocie, do której należę, usłyszałem, że „jestem z opcji niemieckiej”. Namawiano mnie, żebym nie angażował się w podobne awantury i nie szkodził Kościołowi. Na szczęście temat później nie wracał.

Niektóre osoby ze względu na nacisk duchownych lub świeckich wycofały się z aktywnego zaangażowania w protest. Ale docierały też sygnały poparcia.

Justyna: – Moja znajoma powiedziała, że sama doświadczyła molestowania i nie ma siły, by walczyć, ale cieszy się, że są osoby, które to robią w jej imieniu. Po proteście podeszła do mnie kobieta, mówiąc, że od dawna nie chodzi do kościoła, ale może wróci, bo widzi, że nie tylko ona nie zgadza się na wiele rzeczy. Śmialiśmy się, że wymyśliłiśmy nową formę ewangelizacji.

Ściana

Zorn po pierwszym proteście napisała list do nuncjusza z prośbą o spotkanie. Odpowiedź otrzymała po dwóch miesiącach – dopiero gdy ogłosili kolejny protest, tym razem przed nuncjaturą. Spotkanie odbyło się 2 marca 2020 r.

– Było bardzo kurtuazyjnie. Ze strony nuncjatury wyraźnie podkreślano, że to prywatna audyencja z nuncjuszem, który jest przedstawicielem Stolicy Apostolskiej w Polsce – Justyna akcentuje każde słowo. – No dobrze, wiemy. Spotkanie odbyło się w uprzejmej atmosferze, padło wiele okrągłych słów i dowiedzieliśmy się, że Kongregacja ds. Biskupów ma związane ręce, ponieważ przez te wszystkie lata nie wpłynęła żadna oficjalna skarga. Wszystkie pisma, które nadeszły, zostały przekazane do Watykanu. Wy-

chodziłam z poczuciem, że mur biurokracji kościelnej jest tak gruby, iż w ogóle nie da się go skruszyć.

Justyna po spotkaniu wysłała do nuncjusza list, w którym wyraziła rozczarowanie faktem, że mimo oświadczenia 16 księży gotowych zeznawać, mimo listu do papieża podpisanego przez ponad 2 tys. osób i mimo ich własnej inicjatywy, nie toczy się postępowanie wyjaśniające. Poważnych doniesień było zresztą znacznie więcej, np. o zignorowaniu skargi Barbary Borowieckiej, ofiary prałata Jankowskiego.

W dniu ich spotkania z nuncjuszem abp Głódź zeznawał jako świadek w sprawie ks. Michała L. oskarżonego o gwałt na 17-letniej dziewczynie (obecnie jest skazany jeszcze nieprawomocnym wyrokiem na 12 lat więzienia). Po zawiadomieniu kurii o przestępstwie miał być kilkakrotnie przenoszony między parafiami.

– Zapytaliśmy o to nuncjusza. Cała prasa o tym trąbiła. Odpowiedziano nam, że nic im o tym nie wiadomo i że nie napisaliśmy o tym w naszym piśmie – opowiada Marta. – To nie był sygnał, że nuncjatura chce rozmawiać i rozwiązać problem.

Lęk

– To, jak ci ludzie zostali potraktowani, było dla mnie przykre – komentuje ks. prof. Adam Świeżyński, którego Justyna, Marta i Tomasz poprosili, by uczestniczył w rozmowie z nuncjuszem. – Kiedy ktoś przychodzi w tak ważnej sprawie, powinien zostać poważniej i uczciwiej potraktowany. Tak się nie stało.

Ks. Świeżyński jest dziekanem Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

Jako gdański duchowny podlega abp. Głódziowi. Do 2009 r. pracował na stanowisku prorektora seminarium w Gdańsku. Po rozbieżności zdań co do spraw formacyjnych poprosił arcybiskupa o zwolnienie z zajęć związanych z formacją. Kilka dni później na mocy dekretu arcybiskupa jego prośba została spełniona. Przy okazji został zwolniony z wszystkich innych obowiązków: redaktora naczelnego diecezjalnego czasopisma naukowego i wykładowcy w seminarium. Od 11 lat nie ma wyznaczonej przez arcybiskupa żadnej funkcji w swojej diecezji.

Duchowny sam wielokrotnie zwracał uwagę na problemy archidiecezji. Po raz pierwszy w 2013 r., kiedy głośna stała się sprawa ks. Piotra, kapelana abp. Głódzia, opisana we wspomnianym materiale „Wprost”. Twierdził on, że był przez zwierzchnika wielokrotnie znieważany oraz poddawany przemocy słownej i psychicznej. W materiale znalazły się również anonimowe świadectwa innych duchownych o alkoholowych ekscesach metropolity.

Ks. Świeżyński zna ks. Piotra – przez dwa lata był opiekunem jego roku w seminarium. Spotkał się z nim, aby usłyszeć o wszystkim z pierwszej ręki. – Byłem bardzo poruszony. Zdawałem sobie sprawę z uciążliwych arcybiskupa, ale nie wiedziałem, że sprawa zaszła tak daleko – wspomina.

Postanowił zareagować. – Pojechałem do nuncjusza, wtedy był nim abp Celestino Migliore, chcąc nadać sprawie tok oficjalny. Nie zostawiłem co prawda żadnego pisma, ale wysłuchano mnie. Nuncjusz robił notatki, więc myślałem, →



Wydanie jubileuszowe na 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Piszą: Brzeziński, Dukaj, Jagielski, Kuźmiński, Lamża, Lem, Napiórkowski, Ochędowska, Okoński, Prusak, Rabij, Tischner, Turowicz, Żyła

„Raport z przyszłości” dostępny w sklepach z dobrą prasą i jako e-wydanie na powszech.net/raport

⇒ że do czegoś zmierzamy. Na koniec jednak podsumował, że „to dla niego nie są fakty”. Miałem wrażenie, że choć mnie słuchał, to nie zrozumiał, o co mi chodziło. Kiedy wychodziłem, powiedział, że rozmowa zostaje między nami. Później z dwóch niezależnych źródeł dowiedziałem się, że zadzwonił do abp. Głódzia i opowiedział mu o niej.

Na prasowe zarzuty metropolita gdański oświadczył, że został „przesadnie pomówiony” i podważył „anonimowe” świadectwa księży. Ks. Świeżyński uznał wówczas, że w takim razie wypowie się pod nazwiskiem. Sam nie doświadczył przemocy ze strony arcybiskupa, ale nie miał wątpliwości co do prawdziwości świadectw innych księży. Jego głos opublikował tygodnik „Wprost”.

– Najbardziej bolesne jest dla mnie to, że środowisko duchownych w żaden sposób nie zareagowało. Prawdziwym problemem nie jest więc samo zachowanie arcybiskupa, tylko bierność środowiska – mówi ks. Świeżyński.

Za tą biernością kryje się często lęk. Dlatego ks. Świeżyński ma duży szacunek do tych 16 kapłanów, którzy zdecydowali się kilka miesięcy temu napisać do abp. Pennacchia, a wcześniej wystąpili w materiale TVN-u, opowiadając o przemocy i korupcji w metropolii. – Wystąpili anonimowo, ale nawet przy zasłoniętej twarzy i zmienionym głosie ludzie, którzy ich znają, są w stanie domyślić się, kto mówi – zauważa duchowny i opowiada, jak po tym materiale ukazało się oświadczenie przeczące oskarżeniom podpisane przez dziekanów i biskupów pomocniczych. – Zadzwoniłem w tej sprawie do jednego z nich, pytając, dlaczego firmuje swoim nazwiskiem takie pismo, skoro jest na miejscu i lepiej niż ja wie, jaka jest prawda. W słuchawce zapa-

KS. ADAM ŚWIEŻYŃSKI:

Ktoś powiedział,
że przegraliśmy. Myślę,
że nie można przegrać,
kiedy celem nie jest
zwycięstwo nad kimś,
lecz opowiedzenie się
po stronie prawdy.

dła cisza, po czym usłyszałem odpowiedź: „Ja nie wiem, jak ci to wytłumaczyć”.

Jakiś czas temu ks. Świeżyński próbował skontaktować się ze swoim przełożonym, żeby poprosić o zgodę na rozpoczęcie życia pustelniczego. Jest to forma życia konsekrowanego, w której pustelnik oddaje się modlitwie w surowej separacji od świata. Jej regułę – dotyczącą częstotliwości opuszczania pustelni, źródła utrzymania (w przypadku ks. Świeżyńskiego byłaby to praca naukowa), rozkładu dnia i technik ascetycznych – ustala pustelnik z biskupem. Ksiądz dwukrotnie prosił abp. Głódzia o zgodę. Pisemnie, ponieważ przez sekretariat został poinformowany, że arcybiskup nie chce się z nim spotkać osobiście.

Nie uzyskał zgody.

Pokusa

W marcu 2020 r. wciąż nie prowadzono żadnego postępowania wyjaśniającego w sprawie abp. Głódzia. – Nie twierdzą, że na podstawie materiałów w mediach, listów wiernych czy oświadczenia grupy duchownych należy arcybiskupa odwołać – mówi ks. Świeżyński. – Chciałbym jedynie, żeby ktoś mający ku temu kom-

petencje zbadał sprawę, ponieważ jest poważna. Wyczerpałem już wszystkie szczeble służbowe, od dołu do góry.

Ks. Świeżyński dodaje: – Przez pewien czas zmagalem się z myślą, że Kościół instytucjonalny mnie do niczego nie potrzebuje. Ale Kościół to nie tylko i nie przede wszystkim instytucja, lecz miejsce działania Boga i spotkania z Nim. Nadal w to wierzę. Kiedy rozmawialiśmy w czwórkę po wizycie u nuncjusza, ktoś powiedział, że przegraliśmy. Myślę, że nie można przegrać, kiedy celem nie jest zwycięstwo nad kimś, lecz opowiedzenie się po stronie prawdy. Prawdopodobnie niewiele, albo i nic nie zyskaliśmy, ale konkretni ludzie odważyli się mówić o bolesnych sprawach w Kościele oraz działać na rzecz jego dobra rozumianego jako coś więcej niż tylko pozytywny wizerunek. To ich sukces.

– Czasem czuję się bezsilna w zderzeniu z machiną administracyjną Kościoła – przyznaje Marta Nowicka. – Zdarzają się myśli, żeby uciekać. Ale wierzę, że w Kościele jest Chrystus.

– Nigdy nie miałem takiego pomysłu, żeby odwrócić się od Kościoła. Muszę powiedzieć, że przekonuje mnie pewien Żyd, który go założył – śmieje się Tomasz Brodecki.

Taktyka

– Po spotkaniu z nuncjuszem chyba zrozumieliliśmy, że z instytucją kościelną trzeba postępować za pomocą określonej taktyki – mówi Justyna Zorn. – Będziemy próbować dotrzeć do papieża różnymi kanałami. Sądzę, że bez presji medialnej nic się nie zmieni. Myśleliśmy o opublikowaniu listu otwartego do Franciszka we włoskich czasopismach.

Zastanawia się nad przyszłością: – Podejrzewam, że ja sama wielkich zmian w Kościele nie doczekam, może moje dzieci. Ostatnio dopadały mnie czarne myśli, pokusa, żeby po prostu zmienić denominację. Ale myślę, że skoro Pan Bóg powołał mnie do życia w rodzinie katolickiej, w Kościele, to muszę mieć w nim swoje zadanie.

Kropla draży skalę. Kuria gdańska wysłała właśnie do Barbary Borowieckiej pismo z datą 17 kwietnia, w którym informuje o powołaniu przez abp. Głódzia na polecenie Nuncjatury Apostolskiej komisji historycznej, mającej wyjaśnić oskarżenia stawiane prałatowi Jankowskiemu. W tej konkretnej sprawie coś drgnęło.

© JAN TOMASZ RYBICKI

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 906/17 toczy się postępowanie z wniosku Anny Jarzyńskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Walentym Władysławie Kowalskim, s. Jana i Anny, ostatnio zwykle przebywającym w Warszawie przy ul. Wolfkego 12A m. 38, ur. 11 października 1933 r. w miejscowości Cychry, zm. w dniu 27 czerwca 2017 r. w Warszawie, oraz po Stanisławie Kowalskiej z domu Starostka, córce Stanisława i Leokadii, ostatnio zwykle przebywającej w Warszawie przy ul. Wolfkego 12A m. 38, ur. 28 kwietnia 1948 r. w miejscowości Suszaniec, zm. 5 marca 2012 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



DANIEL DMITRIEW / FORUM

Wirus i wielka tajemnica wiary

PIOTR SIKORA

Epidemia przerwała tradycyjny sposób celebracji pierwszych komunii. To trudność, ale i szansa.

DZIECI UBRANE NA BIAŁO ZMIERZAJĄ do parafialnych kościołów. Chłopcy w garniturach albo – coraz częściej – dziwnych kostiumach: jakby liturgiczna alba, długa jak koszula, do tego spodnie; dziewczynki – w sukniach księżniczek, jakby do ślubu. Wielkie styropianowe chleby i winne grona na skraju kościelnych prezbiteriów. W domach weselnych i restauracjach przyjęcia, których głównymi bohaterami są dziesięciolatkowie. Przy drogach reklamy zestawów komputerowych z nieco eucharystyczną estetyką.

Rozczarowanie

Wrosły już te obrazy w polski pejzaż majowy, ale w tym roku, z powodu epidemii COVID-19, ich nie ma. Już od marca, gdy tylko szkoły zostały zamknięte, a liczba uczestników celebracji liturgicznych ra-

dykalnie ograniczona, kurie diecezjalne zasypywane były pytaniami, co w tym roku będzie z pierwszokomunijnymi uroczystościami. Wobec niejasnego stanowiska rządu co do tego, jak długo potrwać te ograniczenia, trudno było o jednoznaczna, pewną odpowiedź. Większość komunikatów kurialnych zawierała kilka możliwych scenariuszy wydarzeń. Niektóre diecezje wyrażały nadzieję, że może uda się przesunąć pierwsze komunie na czerwiec. Inne zasadniczo przewidywały, że najwcześniejszym możliwym terminem będzie wrzesień.

Co znamienne, większość diecezji uzależnia nowy termin uroczystości bardziej od tego, kiedy wznowione zostaną regularne zajęcia szkolne niż od zniesienia ograniczeń licznego uczestnictwa w celebracjach religijnych. Wyraźnie można rozpoznać, że pandemia i związane z nią

ograniczenia podważyły nie tylko możliwość samej celebracji pierwszych komunii, ale także system przygotowania dzieci do pełnego uczestnictwa w sakramencie Eucharystii. Ujawniło się także, jak bardzo ów system przygotowania jest związany nie tyle z życiem parafii, co z lekcjami religii w szkole.

W zaleceniach i sugestjach wydawanych przez niektóre diecezje można znaleźć także takie, które wskazują możliwość bardziej zindywidualizowanego podejścia. Dotyczy to zarówno przygotowania, jak i samej celebracji. O ile jednak apele o zaangażowanie się rodziców w domowe, indywidualne przygotowanie dzieci słychać w wielu diecezjach, to sugestie indywidualnej celebracji pierwszej komunii nie są tak częste. Ten sposób postępowania rekomenduje metropolita łódzki abp Grzegorz Ryś czy bp Janusz Stepnowski z Łomży, podobne sugestie pojawiają się w diecezjach włocławskiej czy szczecińsko-kamieńskiej, a także w niektórych parafiach w Krakowie. Diecezja bydgoska również dopuszcza zmianę formy uroczystości pierwszokomunijnych na bardziej indywidualną, ale dopiero po powrocie dzieci do szkół.

Komunikacja we wspólnocie

Sytuacja epidemii nie stanowi jednak tylko wyzwania organizacyjnego dla rodziców i duszpasterzy. Przede wszystkim jest trudnym doświadczeniem dla dzieci. →

⇒ Ważne wydarzenie, do którego przygotowywały się od wielu miesięcy, może się – z ich perspektywy – nie odbyć. Owszem, do pierwszej komunii tak czy inaczej kiedyś pójda, ale dla dziesięcioletniego człowieka, będącego na etapie rozwoju, w którym dominuje myślenie konkretno-wyobrażeniowe, fakt, iż nie odbędzie się to właśnie konkretne wydarzenie – o którym mu opowiadano, które sobie wyobrażał, którego oczekiwał – przesłania nowe, jeszcze nie do końca określone możliwości.

Tu ujawnia się waga jasnej komunikacji we wspólnocie Kościoła, która, niestety, miejscami szwankuje. W jednej z wielkomiejskich parafii rodzice (a więc i dzieci) nie otrzymali żadnego komunikatu ze strony duszpasterzy od początku kwarantanny aż do połowy kwietnia. Po ponad miesięcznym milczeniu zaproponowano im pierwszą komunię jeszcze w maju w „indywidualizowanej” formie: codziennie w dni powszednie podczas jednej z mszy kilkoro dzieci miało przystąpić do komunii z towarzyszeniem kilkorga dorosłych. Propozycja u wielu rodziców wzbudziła konsternację.

Warto zatem, by upowszechniły się takie działania, jakie podjęto w diecezji sandomierskiej, gdzie już w połowie marca pojawiło się ogłoszenie o konsultacjach zarówno z księżmi i katechetami, jak i z rodzicami, oraz zachęta do przysyłania swoich opinii na konkretny adres internetowy – zanim podjęte zostaną jakiekolwiek decyzje. To przecież rodzice najlepiej wiedzą, co myślą i przeżywają ich dzieci. Z drugiej strony, jak okazuje się podczas parafialnych spotkań z rodzicami, perspektywy, z jakich patrzą oni na obecne kłopoty z pierwszą komunią swych dzieci, są bardzo różne i potrzeba sporo czasu, by we własnym gronie mogli dojść do porozumienia. Szybkie forsowanie rozwiązań może doprowadzić do środowiskowych podziałów. Nie tak prosto znaleźć rozwiązanie, które uwzględniałoby teologię sakramentu, rozmaite społeczne potrzeby i – o czym nie wolno zapomnieć – brało pod uwagę perspektywę dziecka.

Szansa dla reformy

O tej dziecięcej perspektywie nie mogą zapomnieć dorośli, którzy powinni rozważyć, w jaki sposób najlepiej odpowiedzieć na wyzwanie postawione przez obecną sytuację. A jest nadsz, czym myśleć, paradoksalnie bowiem przerwaniu przez

Trudności związane z pandemią mogą pomóc pozbać uroczystości pierwszokomunijne komercyjnego kontekstu.

epidemię tradycyjnego sposobu inicjacji dzieci w najważniejszy sakrament chrześcijaństwa może stanowić okazję o niezwykle pozytywnym znaczeniu. By jednak tak się stało, trzeba poszukać innych rozwiązań niż po prostu opóźnienie tradycyjnego procesu przygotowań i przełożenie o kilka miesięcy uroczystości celebrowanych w niezmiennionej formie.

Warto się zastanowić, czy owa forma nie wymaga głębokiej zmiany. W ostatnich latach komercjalizacja uroczystości pierwszokomunijnych przybrała rozmiary wzbudzające niepokój coraz większej grupy duszpasterzy i rodziców. Chodzi tu zarówno o rosnącą materialną wartość prezentów, które dzieci dostają „na komunię”, jak i o otoczkę samego sakramentu – tę w przestrzeni kościelnej i poza nią – np. coraz bardziej wystawne przyjęcia komunijne w drogich lokalach. Z drugiej strony siła społecznego nacisku była tak duża, że także wielu tych, którzy dostrzegali problem, miało spore trudności, by przeciwstawić się niechcianemu przez nich trendowi.

Być może dobrym rozwiązaniem byłaby zmiana formy pierwszych komunii na bardziej indywidualną. Taka reforma nie jest prosta i może, oczywiście, rodzić poważne trudności. Dla dzieci uroczystość pierwszokomunijna jest przecież mocnym doświadczeniem wspólnotowym – czymś, co przeżywa się w ważnej dla siebie grupie rówieśniczej. Ma to wartość nie tylko na poziomie psychologicznym czy społecznym, lecz także teologicznym: Eucharystia jest sakramentem wspólnoty. To teologiczne znaczenie w świadomości dziecka wcale nie musi wyrażać się w kategoriach *explicite* religijnych. Gdy matka jednej dziewczynki mówi: „Moja córka chodzi do niewielkiej klasy; jest bardzo zżyta z koleżankami, wszystkie bardzo przeżywały, że pójda do komunii razem” – wyraża głęboko chrześcijańskie doświadczenie świata swojego dziecka.

Z drugiej strony warto uwzględnić argumentację abp. Rysia, który

swoją zachętę do komunii indywidualnej uzasadnia, stwierdzając: „Chodzi o to, byśmy zrozumieli, że nie adresujemy Ewangelii do grupy, tylko zawsze do konkretnych osób. I czas epidemii w tym pomaga. Możemy tego doświadczyć w praktyce”.

W przypadku Eucharystii „bardziejindywidualizowane” nie może znaczyć „poza wspólnotą”. Pierwsze pełne uczestnictwo dziecka w Eucharystii powinno dokonać się w ważnej dla niego wspólnocie. Tu pojawia się pytanie, jaka to jest wspólnota. Trudność w udzieleniu odpowiedzi wiąże się m.in. z dziwacznym sposobem rozdzielania religijnej edukacji dziecka na część szkolną i parafialną (przykościelną). Co zrobić w przypadku, gdy dziecko chodzi do szkoły poza swoją parafią? Gdyby przystępowało do pierwszej komunii ze swoją klasą, byłoby to wydarzenie współtworzone przez ważną dla dziecka wspólnotę. Jeśli ma iść „indywidualnie”, to w którym kościele? W parafii, na terenie której leży szkoła i której duszpasterze dotąd je katechizowali? Czy w kościele, do którego chodzi co niedzielę i który dobrze zna (ale który może nie być kościołem wielu ważnych dla dziecka osób)?

Trzeba ponadto pamiętać, że – znów oddajmy głos rodzicom – „dzieci nie były przygotowywane na taki, trochę medytacyjny, rodzaj przeżycia”. Ewentualna reforma musi obejmować także zmianę, a więc w tym roku również wydłużenie sposobu przygotowań. Tak, aby dzieci były w stanie przeżyć bardziej indywidualne przyjęcie pierwszej komunii nie tylko jako utratę wydarzenia, w którym uczestniczy cała grupa rówieśnicza, lecz także jako duchowy zysk. Musi być tak prowadzone, by w swój dziecięcy sposób doświadczyły, że Ewangelia – jak określił to abp Ryś – skierowana jest konkretnie do niej/do niego.

Tu znów potrzeba czasu i dobrej komunikacji pomiędzy rodzicami a duszpasterzami. Bez intensywniejszego włączenia się rodziców w proces przygotowań dzieci do pierwszej komunii niewiele dobrego się stanie. Ale nie mogą oni być pozostawieni sami sobie. Tym bardziej że – co zauważają także niektórzy duszpasterze – w obecnej sytuacji wiele innych, kluczowych dla życia spraw wymaga ich zaangażowania. Kryzys to trudność, ale też szansa. Czy ją wykorzystamy?



KS. PIOTR KOT

Siostra Barbara, jedna z franciszkanek opiekujących się chorymi w ZOL-u w Jeleniej Górze, 20 kwietnia 2020 r.

Zwyczajna pomoc

MARCIN CHODUŃ

Wśród wolontariuszy wspomagających zagrożone wirusem placówki opieki są także ludzie w habitach i sutannach.

WIELE DOMÓW POMOCY SPOŁECZNEJ i zakładów opieki znalazło się ostatnio w krytycznej sytuacji: zarażony wirusem SARS-CoV-2 personel musiał je opuścić, co groziło pozostawieniem wielu pensjonariuszy bez opieki.

Na pomoc pospieszili wolontariusze – w tym siostry zakonne, księża i mnisi. Zrobili to pod wpływem doniesień medialnych, a w niektórych przypadkach w reakcji na prośby płynące z instytucji sprawujących pieczę nad tymi placówkami.

Takich miejsc na mapie Polski wciąż przybywa: w Domu Pomocy Społecznej

w Bochni znalazły się dominikanki z Krakowa i kilku innych klasztorów, w Zakładzie Opiekuńczo-Lecznym w Jeleniej Górze – franciszkanki z Torunia i ksiądz z Legnicy, w kaliskim DPS-ie – benedyktyni z Lubinia, w DPS-ie w Stalowej Woli – m.in. dominikanki i kapucyni; serafitki z Oświęcimia wspomogły śląskie Centrum Opieki Długoterminowej w Czernichowie. Z kolei ponad dwadzieścia siostr z różnych zgromadzeń – m.in. felicjanki, loretanki i urszulanki – zgłosiło się do pomocy w Mazowieckim Szpitalu Bródnowskim w Warszawie.

Ledwie kilka godzin – zwykle tyle czasu zabrało wolontariuszom w habitach czy sutannach podjęcie decyzji i spakowanie rzeczy.

Aby zdążyć

– Gdy w jeleniogórskim Zakładzie Opiekuńczo-Lecznym zachorowała na COVID-19 siostra Katarzyna, która pracowała tam jako oddziałowa – opowiada siostra Barbara, franciszkanka Rodziny Maryi z Torunia – nasza matka generalna i matka prowincjalna zaczęły pytać siostry, czy są chętne. Zgłosiłam się, żeby Kasi pomóc.

Bo Kasia, tłumaczy, to jej serdeczna przyjaciółka – razem studiowały. Po paru godzinach s. Barbara była już spakowana; legnicki Caritas przysłał po nią samochód. – To była szybka akcja – śmieje się.

Siostra Katarzyna z jeleniogórskiego ZOL-u zadzwoniła nie tylko do franciszkanek w Toruniu. – Gdy w Wielką Sobotę rozbrzmiał dzwonek telefonu – opowiada ks. dr Piotr Kot, rektor legnickiego seminarium – odczytałem to jako wezwanie, żeby z chrystusowego krzyża coś wyrosło, żebym mógł z tymi ludźmi przejść za Jezusem choćby małą część Jego drogi. Byliśmy wtedy w środku Triduum Paschalnego i miałem na świeżo wszystkie te treści w sobie. Więc była to po prostu odpowiedź na Słowo.

Ks. Kot pojawił się w ośrodku już następnego dnia. Dośłownie kilka chwil przed odejściem jednej z pensjonariuszek. – Udzieliłem jej absencji i przeszła na drugą stronę w sposób świadomy.

– O sytuacji w kaliskim DPS-ie dowiedziałem się z internetu – wspomina z kolei brat Filip, benedyktyn z Lubinia. – Od razu stwierdziłem, że trzeba pojechać i pomóc. Napisałem maila do kierownictwa tej placówki i zaraz po świętach byliśmy z bratem Efresem w drodze do Kalisza.

Na głęboką wodę

W Krakowie było podobnie.

– Gdy w Wielki Piątek do naszego klasztoru zadzwonił bocheński starosta – relacjonuje s. Aleksandra Zaręba, przełożona generalna Zgromadzenia Sióstr św. Dominika – pomyślałam: „Trzeba pomóc!”. Rozłączyłam się i zaczęłam pytać konkretnych siostr, czy mogą pojechać do DPS-u w Bochni, gdzie przebywają osoby ze schorzeniami psychicznymi. →

⇒ Zostawiłam im trochę czasu na zastanowienie się, ale bardzo szybko dostałam odpowiedzi. Cztery siostry w Krakowie od razu zaczęły się pakować. Zadzwoniłam do klasztoru w Białej Niżnej, tu zgłosiły się kolejne trzy siostry. Wszystkie były już po południu w drodze do Bochni. Następnego dnia dojechały jeszcze trzy: dwie z klasztoru w Krużlowej, jedna z Kielc.

W Wielką Sobotę do bocheńskiego ośrodka dotarł również kapłan, ks. Piotr Dydo-Rożniecki. Pod koniec marca przyjechał z Kazachstanu, gdzie jest misjonarzem, żeby wyrobić wizę pobytową. I z powodu epidemii utknął w Polsce na dobre. Czekal, opowiada, na sygnał, czego Pan Bóg od niego potrzebuje. W sobotę przeczytał na Facebooku informację, że w Bochni jest zainfekowany personel i wielu pensjonariuszy. – Potrzebowali pomocy. O 18.00 byłem już na miejscu.

Dla dominikanek pomagających w Bochni przyjazd księdza był miłą niespodzianką. – Miałyśmy od tej pory męskie wsparcie – opowiada s. Julietta Homa.

Zwłaszcza że, jak wspomina s. Julietta, na początku było bardzo ciężko. – Przeżalenie, bo przecież zostałyśmy rzucone na głęboką wodę. Bez żadnego przygotowania medycznego zostałyśmy nagle same z 28 przewlekłe chorymi psychicznie. To były nasze pierwsze kroki pośród takich osób. W kolejnych dniach, na szczęście, to napięcie zaczęło spadać. Było widać, że coraz lepiej udaje nam się opanować sytuację. To budziło w nas nadzieję i nowe siły, że jesteśmy w stanie podjąć.

Obecnie w Bochni na oddziale osób chorych psychicznie pracuje osiem dominikanek i ksiądz – podzieleni na zespoły pracujące w systemie trójmianowym. Dzień zaczyna od modlitwy. Potem jest poranna toaleta, wydawanie śniadań, dezynfekcja pomieszczeń. Następnie obiad, zbieranie naczyń jednorazowych, pranie, suszenie. Po południu modlitwa, korekta do Bożego Miłosierdzia z pensjonariuszami, podwieczorek, kolacja, toaleta wieczorna, przygotowanie do snu. – A pomiędzy tymi czynnościami cały czas staramy się rozmawiać z podopiecznymi, być z nimi – mówi s. Julietta.

Sakrament

W Jeleniej Górze raczej nie było przerażenia ani poczucia bezradności. – Na początku przez dwa pełne dni była z nami jeszcze s. Katarzyna – mówi ks. Piotr Kot. – A potem mieliśmy z nią kontakt telefoniczny, więc siostry, z których wszystkie mają przygotowanie medyczne, wszystko z nią konsultowały. I byli z nami też wolontariusze: Sławek – opiekun, Łukasz – ratownik medyczny, i Sylwia, która normalnie pracuje w szpitalu. Lęku więc żadnego nie widziałem, raczej troskę o to, czy sprostamy potrzebom tych ludzi.

Codziennność w ośrodku jest bardzo podobna do planu dnia w Bochni. Przebywający tu pensjonariusze to głównie osoby starsze, z reguły leżące i potrzebujące w związku z tym dużego wsparcia i pielęgnacji – pomocy w przebieganiu, myciu, karmieniu.

– Gdy przyjechałam do ośrodka, ponad dwudziestu pensjonariuszy było zarażonych, a przez to mocno wycofanych – wspomina s. Barbara. – Nic dziwnego, nagle znika cały personel, a w zamian pojawia się siedem nowych twarzy, w dodatku w maskach i okularach ochron-

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, na skutek wniosku Gminy Mrozy, pod sygnaturą I Ns 867/18, toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości położonych w miejscowości Kruki, stanowiących drogi, oznaczonych w ewidencji gruntów numerami: 3 o powierzchni 0,05 ha, 5 o powierzchni 0,58 ha, 75/1 o powierzchni 1,28 ha, 75/3 o powierzchni 0,41 ha, 116/1 o powierzchni 0,0095 ha, 116/2 o powierzchni 0,0805 ha, 144 o powierzchni 0,35 ha, 174/1 o powierzchni 0,03 ha, 174/3 o powierzchni 0,09 ha, 174/5 o powierzchni 0,01 ha, 183 o powierzchni 0,17 ha, 185/2 o powierzchni 0,04 ha, 185/4 o powierzchni 0,10 ha, 216 o powierzchni 0,48 ha, 225 o powierzchni 0,08 ha, 255 o powierzchni 0,60 ha i 259 o powierzchni 0,06 ha.

Sąd wzywa zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 361/19 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Łuszczanowie:

- o powierzchni 1,12,00 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 227, a.m. 1,
- o powierzchni 0,70,00 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 6, a.m. 1,
- dla której nie była prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli pod sygn. akt I Ns 663/19 wszczęte zostało postępowanie z wniosku Zbysława Wirackiego, z udziałem Tadeusza Cisowskiego, Tadeusza Goliszewskiego, Macieja Goliszewskiego, Beaty Goliszewskiej, Marii Podhoreckiej-Broniek, Tadeusza Podhoreckiego, Romana Stępnia, Andrzeja Stępnia, Jerzego Stępnia, o nabycie przez zasiedzenie własności działki ewidencyjnej nr 378/4, o powierzchni 0,0244 ha, położonej w Stalowej Woli w obrębie 2 Rozwadów, dla której Sąd Rejonowy w Stalowej Woli, V Wydział Ksiąg Wieczystych, prowadzi KW nr TB1S/00022867/5, a jako właściciele figurują Natalia Podhorecka, Bronisława Cisowska i Stanisław Stępień.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, w szczególności następców prawnych Krystyny Podhoreckiej-Gąguskiej, c. Natalii Podhoreckiej, zm. w 2005 r. w Niemczech, aby w terminie 1 miesiąca od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i wykazały swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postępowaniu, a sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

nych: dwie siostry franciszkanki, klaryska, magdalenka, ksiądz i troje wolontariuszy świeckich. Ale już po kilku dniach chorzy nabrali do nas zaufania i teraz jest naprawdę dobrze.

– Najważniejsze, że mamy kapłana i Eucharystię – kontynuuje s. Barbara. – Poza tym ksiądz Piotr jest dla mnie przykładem. I nie chodzi tylko o sprawy duchowe. Bo ksiądz zaczyna swój dzień od toalet, golenia panów, wynoszenia śmieci i mycia podłóg. Od razu też zlew naprawił i pralkę podpiął. Tu wszyscy robią wszystko, jeden drugiego zastępuje. Dzięki temu, że mamy dwóch wolontariuszy świeckich i księdza, możemy choćby podnieść niektórych pensjonariuszy, takich, którzy potrzebują silnych opiekunów. To jest postawa prawdziwego kapłana, bo przecież żeby móc dojść do potrzeb duchowych, do Eucharystii, najpierw trzeba zacząć od potrzeb fizycznych.

Ks. Piotr Kot: – Ponieważ nie mam przygotowania medycznego, wykonuję głównie czynności pielęgnacyjne. No i takie ludzkie: rozmowy z pensjonariuszami, zatrzymanie się przy każdym, wysłuchanie historii życia. Od rana do wieczora staram się przy nich być. Odprawiam też na korytarzu Eucharystię, mówię głośno, żeby wszyscy mogli słyszeć. Niektóre osoby siedzą na wózkach w drzwiach. Wywołuję ich, żeby pomachały, że na pewno wszystko słyszą. Później idę do wszystkich z komunią świętą i modłę się z tymi, którzy nie są w stanie sami tego uczynić.

Dodaje: – Kapłaństwa nie ograniczam do sakramentów przy ołtarzu. To się rozkłada na wszystkie inne momenty, gdzie nie mówi się formuł teologicznych, tylko daje się człowiekowi odrobinę dobroci. Wtedy pensjonariusze czują, że traktuje się ich z godnością. Wówczas sakrament się dopełnia.

Oaza spokoju

Siostra Barbara: – Gdy ksiądz Piotr do nas przyjechał, jedna z pensjonariuszek była już w ciężkim stanie. Ale takiej śmierci to ja życzę każdemu. Był kapłan, sąsiadka i siostry trzymające ją za ręce i odmawiające różaniec. I ona, która z powodu silnej miażdżycy już w ogóle nie mówiła, nagle z nami zaczęła się modlić. Zrobiłyśmy wielkie oczy: nagle przypomniały jej się słowa modlitwy. I tak odeszła do Pana.



ARCHIWUM PRYWATNE

Ks. Piotr i s. Barbara
naprawiają umywalkę w pokoju chorych.
Jelenia Góra, 16 kwietnia 2020 r.

Na zamkniętym z powodu epidemii oddziale w jeleniogórskim ZOŁ-u jeden z pokoi służących do rehabilitacji ksiądz i siostry zmienili w kaplicę z całodobową adoracją. – Jest ona prowizoryczna, ale pięknie przygotowana – mówi s. Barbara. – Jeśli mamy wolną chwilę, idziemy do Pana Jezusa. To jest ważne, mamy skąd czerpać siły.

– W fakcie, że tu w Bochni pojawił się ksiądz – wspomina s. Julietta – widziałyśmy bardzo wyraźnie opiekę Jezusa. Czułyśmy, że nie pozwoli, żeby coś złego nam się stało. Więc w sercu każdej z nas jest oaza spokoju. W pierwszych dniach tutaj miałyśmy jedynie obawy, jak ten czas świąteczny i każdy kolejny będziemy przeżywać bez Eucharystii. Dla nas to najważniejszy moment w ciągu dnia. Dlatego jesteśmy księdzu bardzo wdzięczne, że służy nam i podopiecznym komunią i sakramentem pokuty.

Zwykła rzecz

Ks. Andrzej Draguła, profesor teologii z Uniwersytetu Szczecińskiego, napisał na Facebooku: „Co rusz czytam o lekarzach, pielęgniarkach, opiekunkach, którzy dobrowolnie zamykają się na dni, tygodnie w szpitalach, domach opieki, domach starców, by nie opuścić najbardziej potrzebujących. Zawstydzają mnie, którego życie jest relatywną sielanką. W średniowieczu dość popularny był ideał rekluzji: dobrowolnego zamknięcia się, a nawet zamurowania w celi. Przykładem może być błogosławiona Dorota z Mątów. Na naszych oczach rodzi się nowy typ, nie waham się tego powiedzieć, męczeństwa, rekluzji i rekluzji zamknięcia

już nie w skrajnej samotności i izolacji, ale aby inni nie zostali skazani na samotność choroby, a czasami także umierania. Notujcie ich imiona. Zapamiętajcie twarze ukryte za maskami”.

– Męczeństwo? Absolutnie nie – śmieje się s. Barbara. – Jak znajomi przysyłają esemesy, że jesteśmy bohaterami, to ja się od razu denerwuję. Jeden z nich powiedział w rozmowie telefonicznej, że jestem jak Matka Teresa. To mi dopiero ciśnienie skoczyło! Ja Matce Teresie do najmniejszego palca nie dorastam, a poza tym ona była dużo starsza – śmieje się. – Ja się w ogóle nie poświęcam! Dla mnie, dla nas to jest ogromna łaska, czas prawdziwych rekolekcji. I tu jest tak radośnie! Ludzie pomagają nam z zewnątrz, przynoszą owoce, soki, ciasta. Przed świętami marzyłam o dobrym cieście. W życiu bym nie pomyślała, że dostanę je w takiej ilości. Poza tym mamy stąd piękny widok na Śnieżkę.

Brat Filip, benedyktyn z Lubinia: – Nasz klasztor znajduje się w wiosce pod Poznaniem i jesteśmy odizolowani od świata, więc miałem poczucie, jakbyśmy byli na uboczu panującej epidemii. Dlatego uznałem, że trzeba pomóc. Że skoro jestem młody i mam dwie zdrowe ręce, to mogę się do czegoś przydać. To przecież zwykła rzecz, praca, jaką wykonują codziennie pielęgniarki i lekarze. Owszem, strach przed zarażeniem był. Zresztą pani dyrektor od razu nas poinformowała, że pomimo kombinizonów ochronnych, maseczek, rękawiczek i przyłbic nadal mamy 90-procentowe prawdopodobieństwo zarażenia. Byliśmy więc świadomi tego, co robimy. Lęk był jednak bardziej przed wyjazdem. Jak już się tam weszło i zobaczyło się wdzięczność tych ludzi, to wszystko zeszło na drugi plan.

Siostra Barbara: – Strach przed zarażeniem? Zupełnie nie. Zresztą jak teraz patrzę wstecz, to Pan Bóg przygotowywał mnie do tego już od dłuższego czasu. Od kilku miesięcy zupełnie intuicyjnie jadłam duże ilości imbiru, miodu i cytryny i porządnie się odżywiałam, więc fizycznie jestem dobrze przygotowana.

– Gdy ktoś nazywa nas bohaterkami, czujemy się niezręcznie – mówi s. Julietta. – To, co robimy, jest po prostu konsekwencją wyboru, którego kiedyś dokonaliśmy.

Ks. Piotr Kot: – To nic nadzwyczajnego. Jak otwarcie drzwi człowiekowi, który jest w potrzebie. © MARCIN CHODUŃ

STREFA GAZY pozostawała pod kontrolą militarną Izraela od wojny sześciodniowej w 1967 r. Piętnaście lat temu Izrael wycofał stąd żydowskie osiedla, a dwa lata później, po przejęciu tam władzy przez Islamski Ruch Oporu (Hamas), nałożył na Strefę blokadę lądową, powietrzną i morską na swoich odcinkach granicznych (Izrael kontroluje przepływ dóbr i określa, które towary mogą być importowane). Otwarte są natomiast dwa przejścia graniczne z Egiptem, w Erezie i Rafahu. Izrael przepuszcza przez granicę Gazańczyków, którzy mają na to specjalne pozwolenia. Połowa społeczeństwa Gazy żyje w biedzie, infrastruktura jest uboga.

W ZWIĄZKU Z EPIDEMIĄ COVID-19

Hamas odwołał coroczne protesty, odbywające się wiosną przy granicy z Izraelem, i twierdzi, że jeśli epidemia rozleje się po Strefie, odpowiedzialność za to spadnie na Izrael. Lider Hamasu, Yahya Sinwar, zagroził Izraelowi, że jeśli ten nie dostarczy większej liczby urządzeń do wspomagania oddychania, to „weźmie się je siłą”. Obie strony, stojące wobec wspólnego wroga, podjęły jednak negocjacje w sprawie wymiany zakładników i rozmawiają o zwiększeniu izraelskiej pomocy dla Gazy w związku z epidemią.

Z POMOCĄ W PRZEPROWADZANIU TESTÓW na obecność SARS-CoV-2 dla Gazy ruszyło izraelskie wojsko. Media poinformowały, że odbyło się to bez zgody ministra obrony Naftalego Bennetta, który po dwóch dniach zakazał kontynuowania projektu. Czy testy będą kontynuowane, nie wiadomo: z powodu cenzury wojskowej i delikatnej natury negocjacji między Hamasem a Izraelem do mediów docierają tylko wybrane informacje.

OBCENA SYTUACJA W GAZIE jest – jak przekonuje nasz rozmówca – stabilna. Rozprzestrzenianie się koronawirusa, który m.in. ze względu na blokadę dotarł tam nieco później, jest dla Gazy wielkim zagrożeniem. Problemem jest nie tylko ograniczony przepływ dóbr, niedostatek lekarzy, ekip ratunkowych i sprzętu medycznego (Strefa ma kilkadziesiąt respiratorów), lecz także gęstość zaludnienia. Jedną z największych na świecie: na jednym kilometrze kwadratowym żyje tu ponad 5 tys. ludzi.

©© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
z Tel Awiwu

KATASTROFA NA CZUBKU KRYZYSU

ABDELNASSER SOBOH,

SZEF BIURA ŚWIATOWEJ ORGANIZACJI ZDROWIA W GAZIE:

Koronawirus nie odróżnia między Izraelczykiem i Palestyńczykiem, walka z nim jest w naszym wspólnym interesie. Ale pokoju po wirusie nie będzie.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:

„Halo, Izraelu! Jak tam życie w zamknięciu?” – pytają w mediach Gazańczy. Pan też czuje satysfakcję z takiego obrotu spraw?

ABDELNASSER SOBOH: Proszę nie zadawać takich pytań. Rozmawiam z panią jako urzędnik WHO, nie mieszam spraw zawodowych i prywatnych.

Zapytam inaczej: czy sądzi Pan, że to doświadczenie nauczy czegoś Izraelczyków? A także inne kraje mające coś do powiedzenia w procesie pokojowym?

Być może przyniesie jakąś refleksję, jak to jest żyć z ograniczeniem w poruszaniu się, z dostępem do różnych dóbr. Doświadczenie uwięzienia w domu przez dłuższy czas sprawia, że można sobie wyobrazić, jak czuje się osoba naprawdę żyjąca jak w więzieniu.

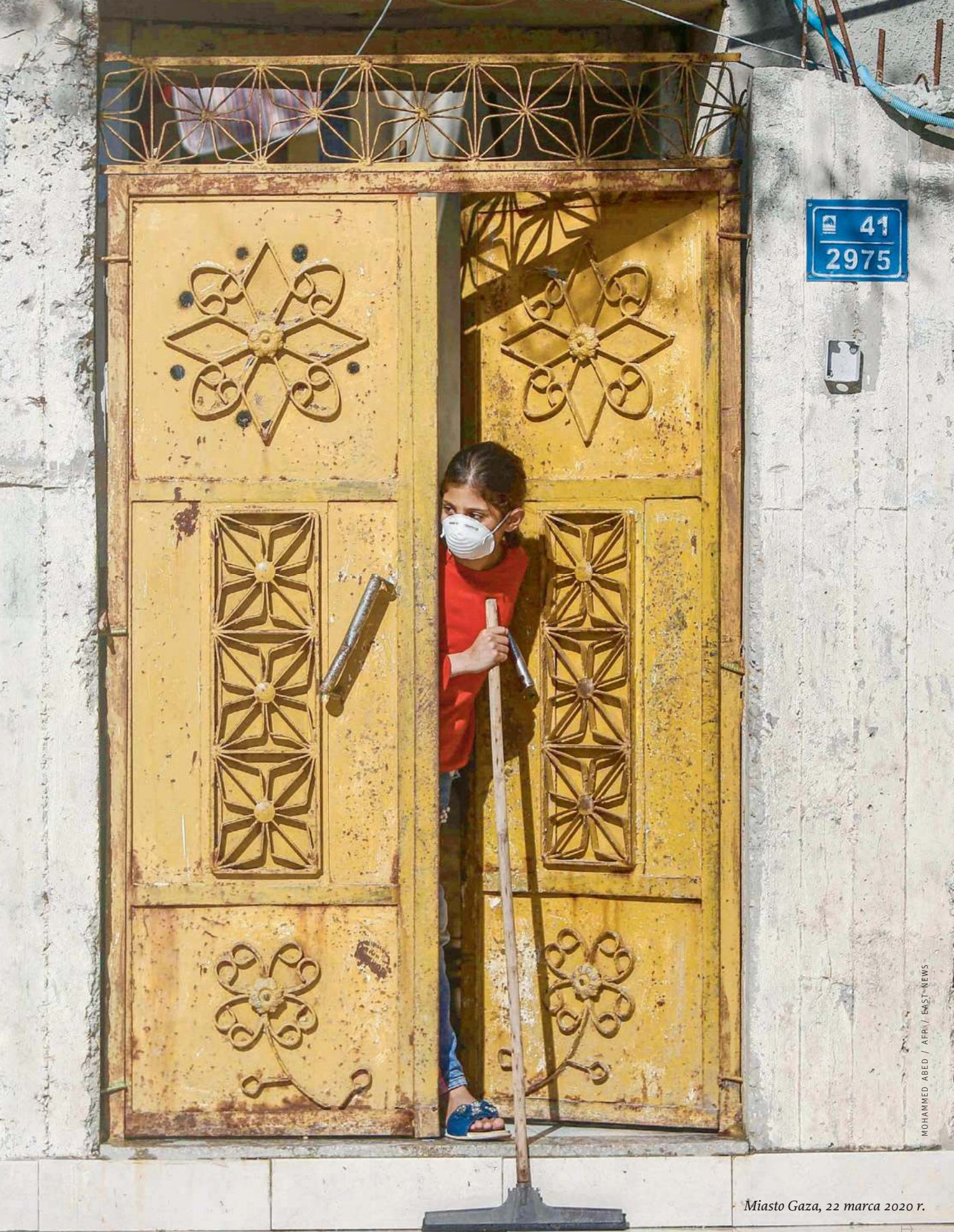
A więc jak to jest: żyć nie tylko w więzieniu, ale też z koronawirusem?

Kryzys epidemiczny nakłada się na inne, które u nas występują. Można po-

wiedzieć, że ten wirus to katastrofa na czubku kryzysu. Dopóki krzywa zachorowań pozostaje w miarę płaska, zasoby, którymi dysponujemy, powinny wystarczyć. Ale jeśli liczba infekcji zacznie gwałtownie rosnąć, pójdzie w setki lub tysiące, będzie potrzebna mobilizacja dodatkowych sił. Nie tylko ludzi, fachowej opieki medycznej, ale też środków. Potrzebujemy więc teraz zasobów, aby przygotować Gazę na skok infekcji, ale też by zaspokoić podstawowe potrzeby niezwiązane z wirusem.

Mówi Pan to spokojnie, nie tego się spodziewałam. Sądziłam, wszyscy sądziliśmy, że Gaza – z powodu blokady – szybko znajdzie się w sytuacji dramatycznej. A tymczasem z Pana słów wnioskuję, że macie sytuację pod kontrolą. Czy na pewno?

Do dziś, 19 kwietnia, potwierdzona liczba przypadków to 13, z czego dziewięć osób już wyzdrowiało. Wykonaliśmy 2772 testy. Wszystkie osoby, które przyjechały do Gazy – przez przejścia graniczne w Rafahu i Erezie – są kierowane na obowiązkową kwarantannę →



→ do jednego ze specjalnych ośrodków. Kwarantanna wynosi tam 21 dni, przy czym w 10. i 20. dniu robione są testy. Jeśli wyniki są negatywne, można opuścić ośrodek i wrócić do domu, gdzie należy pozostać przez kolejny tydzień. Jeśli wynik jest pozytywny, osoba taka jest izolowana, a następnie poddana leczeniu w szpitalu specjalistycznym. Taki „szpital COVID-19” mamy w Rafahu, koło przejścia granicznego. Dodatkowo ministerstwo zdrowia przygotowuje szpital w samym mieście Gaza, na terenie trzech szkół. Będzie mógł przyjąć ok. 1200 pacjentów z łagodnym przebiegiem choroby.

Co z resztą społeczeństwa Gazy?

Władze promują dystans społeczny: zamknęły wszystkie miejsca zgromadzeń, jak kawiarnie, sale weselne, bazy. Meczetów są zamknięte, ludzie mają modlić się w domach. Władze zaleciły też zakładanie masek, gdy ludzie poruszają się poza domem. W najbliższych dniach wchodzi nowe rozporządzenie: wszyscy funkcjonariusze publiczni, a także osoby pracujące, świadczące jakieś usługi, dostarczające innym dobra, muszą obowiązkowo nosić maski. Ludzie są proszeni, by robili je samodzielnie i zakładali, gdy wychodzą z domu lub idą do pracy. W kwestii szczegółowych zaleceń dotyczących noszenia masek WHO zdaje się na lokalne władze. Nasze niezmiennie zalecenie jest takie, aby nosiły je osoby pracujące w obszarach zagrożenia wirusem, ale też te, które podejrzewają, że mogą być chore. Natomiast szczegóły zostawiamy władzom państwowym. Wirus jest nowy, potrzebujemy dokładnych badań, by wiedzieć, jakie środki zaradcze będą najskuteczniejsze, by sobie z nim poradzić.

I jak radzą sobie z tym Gazańczycy? Podporządkowują się zaleceniom?

Nie zauważyłem, aby byli tą sytuacją bardzo spięci. Może z tego wynika, że na ulicach nie widać wielu ludzi z maskami czy w rękawiczkach. Nie boją się. A ja uważam, że to niedobrze. Nie powinni do tego podchodzić lekko. Jeśli wirus będzie się tu dalej rozprzestrzeniał, będą musieli się przyzwyczaić do masek, do unikania zgromadzeń, do zamkniętych szkół, uczelni i innych miejsc, gdzie można się gromadzić. Niemniej świadomość w temacie COVID-19 jest teraz znacznie lepsza. Informacje docierają, są ulotki.



ARCHIWUM PRYWATNE

ABDELNASSER SOBOH jest Gazańczykiem, szefem biura Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) w Strefie Gazy.

Widzi pani, te wszystkie środki ostrożności dają nam czas, by się przygotować na dalszy rozwój wypadków. W „normalnych” warunkach Gaza stoi przed wieloma wyzwaniem, jeśli chodzi o opiekę medyczną. Na co dzień borykamy się z nawet 40-, 50-procentowym niedoborem leków, 30-, 40-procentowym niedoborem artykułów medycznych jednorazowego użytku, mamy też niedobory wyposażenia i personelu. Ostatnio ministerstwo zdrowia Gazy musiało zamknąć 23 ośrodki podstawowej opieki zdrowotnej, bo ich personel został przekierowany do pracy w miejscach objętych kwarantanną. To oznacza, że w całej Gazie mamy teraz 26 ośrodków podstawowej opieki. To oczywiście wpłynie na inne obszary opieki medycznej, na innych pacjentów.

Rozumiem, że problemem obecnie nie jest tylko nowy wirus?

Dam przykład: wśród zamkniętych ośrodków jest chirurgia. Operacje są więc przesuwane, co zagraża pacjentom. Bo owszem, taki pacjent nie umrze jutro, ale może zamiast dziesięciu lat pożyje tylko pięć. Istnieje limit, jak długo można odwlekać leczenie. Albo pacjenci chorzy na raka, także oni są jednym z naszych zmarłych. Niektórzy jeździli na chemioterapię – bo nie mamy jej tutaj – do Jerozolimy Wschodniej. Teraz jest to utrudnione, bo po każdym przejeździe granicy trzeba przejść kwarantannę. W efekcie mamy chorych na raka będących w nieustającej kwarantannie. Nie muszę mówić, że jeśli taki pacjent nie przyjmie w terminie kolejnej dawki, jego życie może ulec skróceniu. Sądzę, że pełne skutki obecnej sytuacji zobaczymy dopiero w perspektywie lat.

Blokada Gazy przez Izrael utrudnia dopływ potrzebnych Wam środków.

Tak, przez ostatnie dekady blokada miała znaczący wpływ na życie ludzi w Gazie i ich dostęp do leków, opieki medycznej, także tej prywatnej czy zagranicznej. W zależności od rozwoju sytuacji może się zdarzyć, że będziemy potrzebowali dodatkowych ekip medycznych z zewnątrz. Ale ponieważ żaden z przypadków nie okazał się dotąd śmiertelny, ich sprowadzanie nie jest w tym momencie na szczycie naszej listy priorytetów. Jak wspominałem, środki, którymi dysponujemy, są skromne, lecz społeczność międzynarodowa, w tym WHO, stara się wspomóc gazańskie ministerstwo zdrowia, dostarczając materiały i testy do wykrywania koronawirusa. Oczywiście dostarczenie tych materiałów jest dużym wyzwaniem, również z powodu ograniczeń w ruchu powietrznym. No cóż, oblężenie wpływa na wszystko, co tu się dzieje.

A jak Izrael zachowuje się w tej chwili?

Muszę przyznać, że jeśli chodzi o odpowiedź na COVID-19, to my jako WHO – organizacja koordynująca tu dopływ materiałów medycznych z zewnątrz – do tej pory nie doświadczyliśmy problemów. Współpracujemy zarówno z Autonomią Palestyńską [rządzi tam partia Fatah, konkurencyjna wobec Hamasu, który rządzi w Gazie – red.], jak też z Izraelem. Współpracują w dostarczaniu środków do Gazy i ich dystrybucji. Kilka razy Gaza wysyłała też próbki do testowania w izraelskich placówkach. Ta współpraca jest ważna szczególnie wobec deficytu testów. Gdy więc mamy testy, to nie ma problemu, są badane na miejscu. Jeśli ich brakuje, próbki wysyłamy do Izraela. Podsumowując: z powodu wirusa mamy lepszą współpracę z Izraelem.

Co z tego zostanie, gdy pandemia się skończy? Niech już zabrzmię naiwnie: wirus zwiększy szansę na pokój w regionie?

Nie, raczej nie. Myślę, że mamy po prostu ten sam cel. Wirus nie odróżnia między Palestyńczykiem i Izraelczykiem. We wspólnym interesie jest współpraca w walce z tym niewidzialnym wrogiem.

Jak można Wam pomóc? Czy osoba indywidualna lub jakaś organizacja może podarować Wam coś, co jest teraz przydatne?

Jeśli stanie pani na otwartym polu i powie: „chcę, by tu był las”, i zapyta: „czego potrzebuję?”, to odpowiedź będzie prosta: wszystkiego. Mówimy o miejscu, w którym na co dzień, niezależnie od wirusa, mamy zaledwie połowę środków potrzebnych do leczenia pacjentów. Jako WHO dajemy sobie radę na podstawowym poziomie. Ale tak naprawdę dostarczenie każdego sprzętu potrzebnego do walki z wirusem i nie tylko, lekarstw, środków jednorazowych – to wszystko może nas posunąć odrobinę do przodu.

Nadchodzi czas Ramadanu, islamskiego miesiąca postu i modlitwy.

Czym będzie różnił się od poprzednich?

Ten Ramadan będzie zupełnie inny od pięćdziesięciu poprzednich w moim życiu. Będzie pierwszym, gdy nie będziemy mogli spełnić religijnych rytuałów, nie zobaczymy bazarów pełnych ludzi, kupujących jedzenie na świąteczny posiłek. Ramadan zbiegnie się z trudną sytuacją ekonomiczną z powodu długiego przebywania w domach i zamknięcia – szczególnie dla tych, którzy żyją z tego, co zarobią danego dnia. Będzie to Ramadan, który trzy tysiące ludzi spędzi w kwarantannie, potrzebując wsparcia. To wszystko, co zwykle robimy, gdy kończy się czas postu, będzie inne. Jedną z głównych tradycji Ramadanu to rodzinne spotkania: wspólne biesiadowanie, wymieniać się prezentami, zapraszanie do siebie, jak w czasie chrześcijańskiej Wigilii. Powinienem odwiedzić w tym czasie moje siostry i braci, zawieźć im coś. Ale teraz nie wolno się spotykać. To będzie dla wszystkich trudne. Jednym z filarów Ramadanu jest też jałmużna: wspieranie siebie nawzajem, przekazywanie pieniędzy tym, którzy nie mają nic, wspólnotowa solidarność. Teraz będzie to utrudnione, bo prawie wszyscy są w trudnej sytuacji ekonomicznej.

Mogę życzyć Ramadan Mubarak – mimo wszystko?

Bardzo dziękuję. Niech będzie błogosławiony. Choć nie mam wątpliwości, że Ramadan okaże się dla nas jednym z trudniejszych doświadczeń w czasie tej epidemii.

Rozmawiała

©© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET



Pojazd do dezynfekcji na ulicy Kabulu, 29 marca 2020 r.

Epidemia biedy

PAWEŁ PIENIAŻEK Z KABULU

Liczba infekcji w Afganistanie przekroczyła oficjalnie tysiąc. Jednak przebadano mniej niż ćwierć promila mieszkańców.

W DRUGIEJ POŁOWIE KWIECZNIA SZPI-TAL Afgańsko-Japoński w Kabulu, kluczowa placówka odpowiedzialna za leczenie i badanie chorych na COVID-19, chwilowo przestał prowadzić testy. Pracownicy nie nadążali z liczbą próbek. W swoich laboratoriach mogą sprawdzić ich 300 dziennie – to połowa mocy przerobowych kraju. Tysiące próbek czekały w kolejce. Ogłoszono, że dopiero gdy szpital się z nimi upora, zacznie przyjmować nowe. Już teraz osoby poddające się badaniu, często mające wyraźne symptomy, skarżyły się, że czekają na rezultat ponad 10 dni.

W innych częściach Afganistanu laboratoria nie prowadzą testów, bo zwyczajnie ich brakuje. Z tego powodu od połowy kwietnia przestało działać laboratorium w Kandaharze. To trzecia po Kabulu i Heracie najbardziej zarażona prowincja. Według danych ministerstwa zdrowia z 21 kwietnia na 6839 przebadanych próbek 1143 były pozytywne – zatem co szósty badany otrzymał wynik pozytywny.

Z powodu niewydolności służby zdrowia organizacje pomocowe zalecają, by chorzy zostali w domach, jeśli tylko nie jest to ciężki przypadek. W Heracie, w zachodniej części kraju, w połowie kwietnia tylko 40 z 306 chorych przebywało w szpitalu. To dlatego, że w placówkach medycznych często skarżą się na niewłaściwą opiekę, niedobory personelu i na to, że nawet jedzenie – nie mówiąc o lekach – musi dostarczać rodzina. W domach jednak, zamieszkałych przez duże rodziny, chorzy łatwo mogą rozprzestrzenić wirusa. Tak zapewne stało się w przypadku jednego ze zmarłych, który wcześniej zaraził 12 swoich bliskich.

Początkowo ogniskiem epidemii był właśnie Herat, do którego od początku stycznia wróciło z sąsiedniego Iranu aż ćwierć miliona Afgańczyków, z obawy przed epidemią (Iran jest wśród krajów najbardziej przez nią dotkniętych). Jednak szybko epicentrum stały się sześciomilionowy Kabul i prowincja kabulska.

Władze większości miast, w tym stolicy, późno zareagowały na kryzys. Miasta zamykano stopniowo, a policyjne blokady można łatwo obejść. Na ulicach wciąż panuje spory ruch, wielu ludzi nie stać na siedzenie w domach.

Według Instytutu Biruni, zajmującego się analizami w sferze polityki i gospodarki, od początku epidemii pracę straciło 6 mln ludzi. Nowe rzesze biednych pogorszyły i tak przygnębiające statystyki: już 80 proc. Afgańczyków żyje poniżej progu ubóstwa. Koronawirus to kolejna tragedia, obok trwającej od 40 lat wojny i kryzysów politycznych oraz gospodarczych. Dlatego wielu Afgańczyków powtarza, że jeśli nie wykończy ich COVID-19, zrobi to bieda.

©



YORGOS KARAHALIS / AP / EAST NEWS

Brama obozu w Malakasy, kwiecień 2020 r.



Woda z cukrem zamiast mleka

ULA IDZIKOWSKA

Na początku kwietnia COVID-19 dotarł do dwóch obozów dla uchodźców w Grecji. Kwarantanna trwa już dłużej niż zapowiadane dwa tygodnie. Jak radzą sobie mieszkańcy Ritsony i Malakasy?

PARWANA AMIRI NIE CZEKA NA PYTANIA. Od razu zaczyna opowiadać o tym, jak wygląda lockdown – jak dziś określa się powszechną kwarantannę – w obozie Ritsona, 75 km na północ od Aten.

Amiri mieszka w Ritsonie od początku tego roku. Gładko przechodzi z tematu na temat. Ma już wprawę. Ta 16-letnia Afganka od początku swojego półrocznego pobytu w Grecji pisze o życiu w obozach. Zaczęła w Morii na wyspie Lesbos, gdzie spędziła trzy miesiące. Teraz bez przerwy udziela wywiadów, działa na Instagramie i tweetuje. O tym, co widzi w obozie Ritsona, który od ponad miesiąca odcięty jest od świata.

Jeszcze w ostatni weekend marca dzieci bawiły się na placach zabaw, ludzie piekli chleb. „Mamy szczęście – pisała Amiri na blogu. – COVID-19 oszczędził obóz”. Jednak wybuch epidemii był tylko kwestią czasu. „Dla wirusa granice przecież nie istnieją”.

Trzy dni później, 1 kwietnia, mieszkańców ogarnia panika. 19-letnia kobieta, która rodziła w ateńskim szpitalu, zachorowała na COVID-19. To pierwszy przypadek zakażenia w greckich obozach. Natychmiast przebadane zostają 63 osoby z jej najbliższego otoczenia. Wynik przychodzi już 2 kwietnia: 20 osób ma koronawirusa.

Obóz zostaje poddany kwarantannie, która ma trwać dwa tygodnie. Patrole policyjne pilnują, by nikt go nie opuszczał. Ludzie spieszą do obozowych sklepów, chcą uzupełnić zapasy. Ale wielu nie ma pieniędzy: do 20 kwietnia opóźniono miesięczne przelewy z europejskich funduszy (w ramach programu koordynowanego przez UNHCR i finansowanego przez UE, który pozwala uchodźcom na zakup niezbędnych rzeczy, jak jedzenie, ubranie i leki). A ci, którzy mają jeszcze pieniądze na koncie, nie mogą ich wybrać: bankomat jest poza obozem. W stre-

fie, do której oni nie mają wstępu, bo przy wejściu czuwają policjanci.

Zamknięci w Ritsonie

Zaniepokojeni ludzie postanawiają za-protestować: – To logiczna reakcja. Wyobraź sobie, że gdzieś utknąłeś i dowiadujesz się, że wykryto w tym miejscu przypadki koronawirusa. Też byś się martwił – mówi „Tygodnikowi” Christine Nikolaidou, rzeczniczka Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji (IOM); organizacja ta zarządza obozem Ritsona. – Protest przebiegł spokojnie, nie było żadnej przemocy. Po 15 minutach wszystko wróciło do normy po tym, jak przedstawiciele IOM i Narodowej Organizacji Zdrowia wyjaśnili sytuację.

Ale obawy pozostały. Bo ludzie wciąż nie wiedzą, czego mogą się spodziewać. Po wykryciu pierwszego przypadku infekcji greckie ministerstwo migracji ogłosiło przeprowadzenie testów. Ale pierwsza kontrola odbyła się dopiero po tygodniu. Zbadano tylko 90 osób z niemal 3 tys. mieszkańców, u siedmiu wynik był pozytywny. Pod koniec kwietnia przebadano kolejne 180 osób, w tym wszystkie kobiety w ciąży. W trakcie powstawania tego tekstu wyniki nie były jeszcze znane.

Ludzie zamknięci w Ritsonie nie mogą iść na pobliski targ, by zaopatrzyć się w żywność. Dlatego IOM od pierwszego tygodnia kwarantanny dostarcza podstawowe produkty: konserwy, cukier, kiełbasy, przyprawy, olej, ocet.

– Ale żadnej mąki do pieczenia chleba, cebuli, ziemniaków i pomidorów. Dostajemy głównie ryż – opowiada mi Amiri przez aplikację WhatsApp. – Najgorsze



HERMAN DOUGLAS

Obóz w Malakasi podczas kwarantanny

jest to, że brakuje mleka w proszku dla niemowląt. Matki są tak osłabione, że nie produkują wystarczającej ilości pokarmu. Poza tym ich mleko ze względu na niedobór witamin nie zawiera odpowiednich składników odżywczych.

W paczkach dostarczanych przez IOM znalazło się za to mleko krowie, którego niemowlaki nie trawią. – Dlatego zamiast mleka dostają przegotowaną wodę z cukrem – mówi Amiri.

– 10 proc. populacji Ritsony to niemowlęta, kolejne 9 proc. to dzieci w wieku od 3 do 5 lat – podaje Nikolaidou ze swojego biura w Atenach.

Wirus nie dyskryminuje

Koronawirus jednocy i zarazem dzieli mieszkańców Ritsony. Kobieta, która została zakażona jako pierwsza, pochodzi z Kamerunu. W obozie nie ma tajemnic, wieści rozprzestrzeniają się szybko. Teraz pozostali unikają Afrykańczyków. To oni przynieśli do obozu wirusa, myślą ludzie.

– Ponad połowa zakażonych nie przestrzega kwarantanny – mówi Amiri. – Bo nie wierzą, że są chorzy. Wszystkie przypadki w Ritsonie są bezobjawowe... Dlatego ludzie są przekonani, że lekarze ich okłamują, że chcą ich celowo odseparować od reszty.

Dlatego nie pozostają w kontenerach, gdzie do niedawna odbywały się lekcje, a które teraz służą jako miejsce do odbywania kwarantanny.

Część ludzi jest sfrustrowana. Nie wiedzą, jak radzić sobie z niepewnością. Niektórzy, bywa, wybuchają. Tak jak 20-osobowa grupa, która 10 kwietnia przyszła do kliniki, w której Amiri pracuje jako

tłumaczka: – Zaczęli krzyczeć po francusku, że chcą pomocy, że chcą, aby ich wyleczono. Byli wśród nich zarówno zdrowi, jak i zakażeni. Weszli do kliniki i zatarasowali przejście, lekarze nie mogli wyjść. Policja musiała interweniować. Udało mi się na szczęście wyjść, chyba myśleli, że jestem pacjentką.

Amiri próbuje zrozumieć ich zachowanie: – Nie ukrywajmy, sytuacja w obozie jest nieprzyjemna dla afrykańskiej społeczności. Też bym nie chciała, żeby mnie unikano jak zarazy. Nie dziwię się, że ludzie są źli. Oni są po prostu zdezorientowani: nie rozumieją, dlaczego akurat oni zostali zakażeni i dlaczego nie mają objawów.

Społeczność afrykańska od początku sprzeciwiała się stygmatyzacji. W pierwszych dniach po ogłoszeniu przypadków COVID-19 skandowali: „Afrykanie to nie koronawirus!”. Kilka dni później okazało się, że wirus nie dyskryminuje. Nowe infekcje wykryto wśród Afgańczyków, Irackich i Syryjczyków.

Razem przy ognisku

Każdy radzi sobie, jak umie.

– Niektórzy są przekonani, że nic im nie grozi, dopóki będą trzymać się razem – mówi Amiri. – Każdej nocy grupa ludzi spotyka się przy ognisku. Wpatrują się w płomienie, trzymają się za ręce. Myślą, że tworzą w ten sposób łańcuch, którego nic ani nikt nie jest w stanie przerwać.

Część dzieci nadal bawi się na zewnątrz. Amiri podejrzewa, że rodzice wypuszczają swe pociechy, bo sami potrzebują chwili spokoju. Ale w obozie są też tacy, którzy ściśle przestrzegają zasady #zostańdowdomu: – Niektóre rodziny proszą, żeby ich nie odwiedzać. Inni śpią w ciągu dnia i robią wszystko w nocy, aby spotykać jak najmniej ludzi – mówi.

W kontenerach mieszkalnych trudno unikać współlokatorów. Przestrzeń, czyli cztery pokoje i kuchnia, jest tu zwykle dzielona przez dwie rodziny. Amiri: – Nas jest siedmioro, więc przydzielono nam cały kontener. Ale są miejsca, gdzie ludzie muszą mieszkać wspólnie z inną rodziną.

Informacyjna próżnia

W obozie nie można już liczyć na pomoc psychologiczną: organizacja Lighthouse Relief, która zapewniała wsparcie dzieciom, nastolatkom i kobietom, zawiesiła

działalność po ogłoszeniu kwarantanny. Ludzie pocieszają się więc nawzajem tak jak mogą, przez rozmowy. Również w ten sposób starają się dowiedzieć, jak chronić siebie i swoje rodziny.

Przed wprowadzeniem kwarantanny IOM zorganizowała wprawdzie kilka spotkań o COVID-19, ale nie wszyscy zdążyli wziąć w nich udział: sesje przerwano po stwierdzeniu pierwszej infekcji. Amiri prowadziła własną kampanię informacyjną z młodzieżą z obozu, przygotowywali plakaty. Przestali po ogłoszeniu lockdownu, by kilka dni temu wznowić działania jako Corona Awareness Team (na kształt zespołu działającego w Morii). Bo ludzie wciąż nie mają dostatecznej wiedzy, twierdzi Amiri. Dlatego wraz z zespołem próbuje „chronić innych przez szerzenie świadomości na temat wirusa”, jak tweetowała 21 kwietnia.

O informacje trudno, bo sieć wi-fi w obozie jest niestabilna, działa lepiej w określonych godzinach i na niektórych obszarach. Amiri: – Trudno jest cokolwiek sprawdzić. Niektórzy korzystają z mobilnego internetu, ale teraz nie mogą doładować kart, bo nie mogą wyjść na zewnątrz.

W Malakasi, 40 km od Aten, sytuacja jest podobna. Mieszkańcy obu obozów są nie tylko dosłownie, ale też w przenośni odcięci od świata. „Wmawiają nam, że zamknęto obóz, aby chronić nas przed wirusem. Ale jak możemy być bezpieczni, gdy wirus jest w obozie, a my jesteśmy zdani na siebie? Potrzebujemy prawdziwej pomocy, a nie paczek żywnościowych” – pisała Amiri w ostatnim tekście na blogu. Obozy Ritsona i Malakasa pozostaną w kwarantannie do 10 maja.

– Albo i dłużej – pisze mi na WhatsApp 30-letni Hadi Gulshan, który od roku mieszka w Malakasi. – Ludzie są zmęczeni. Pozostawieni bez niczego, podczas gdy zakażeni dalej swobodnie się poruszają. Dlaczego rząd ich nie odizoluje? Dlaczego nie uczą ludzi, aby trzymali się z dala od siebie?

Być może dlatego, że w przepełnionych obozach jest to po prostu niemożliwe.

W Malakasi przebywa dziś 1600 osób, głównie Afgańczycy (95 proc.) i Irańczycy (3 proc.). 620 mieszkańców to dzieci. Gulshan twierdzi, że od wykrycia pierwszej infekcji, 5 kwietnia, przeprowadzono może sto testów. Mówi: – Wczoraj pytałem lekarza, ilu jest zakażonych. Powiedział mi, że to tajemnica. ©

Prymus gra słabymi kartami

DARIUSZ KAŁAN Z BRATYSŁAWY

„Po tak długim siedzeniu w domu nawet spacer po pustym centrum miasta był dla mnie jak widok morza” – mówi Alžbeta Vrzgula, słowacka reżyserka teatralna.

JEDNĄ Z CECH STOLICY SŁOWACJI BYŁO TO, że wychodząc na spacer do centrum, zawsze trafiało się na znajomą twarz. W mieście ponad cztery razy mniejszym od Warszawy trudno się było ukryć. Spotykało się w tych samych kawiarniach, pubach, gospodach. Chodziło się na te same filmy do kina Lumière. A kiedy na drzewach wykwiwały pąki – na odnowione bulwary nad Dunaj. Od niecałych dwóch miesięcy, od wprowadzenia narodowej kwarantanny, bulwary ustępują miejsca Zoomowi, Skype'owi i Netflixowi.

W czasie pandemii szczególne wrażenie robi wymarła ulica Obchodná, czyli Handlowa. Nigdy nie była gęsta od turystów, jak ulice Váci albo Andrassygo w Budapeszcie, Pařížská w Pradze czy warszawski Nowy Świat; gości bardziej przyciągało Stare Miasto. Ale właśnie na Obchodnej oraz w odchodzących od niej małych uliczkach, które skrywały niedostępne dla przypadkowych oczu szynki i sklepiki, tętniło życie Bratysławy.

Teraz po bazaraku, na którym Azjaci sprzedawali ubrania, fruwały puste kartony. Tanie książki w małej księgarni można oglądać przez szybę. Nikt nie pije kawy w Martinusie. Nikt nie strzyże się u pani Marty za cztery euro. Nawet obowiązkowy punkt w przewodnikach turystycznych, halušky (tradycyjne klusieczki) w Slovak Pubie, przegrał z pandemią. Tylko czerwone tramwaje i policjanci z nowego przeszklonego posterunku przypominają o tłącym się tu życiu.

– Po tak długim siedzeniu w domu nawet spacer po pustym centrum był dla mnie jak widok morza dla małego dziecka. Sklepy zamknięte, ale i tak przypominają stare dobre czasy – mówi Alžbeta Vrzgula, reżyserka teatralna.

W jej branży kryzys wymusił kreatywność. Zaplanowane wcześniej przedstawienie „Apokabaret” Alžbeta pokaże przez internet. Jej koledzy aktorzy czytają książki albo improwizują przed kamerą. Żeby nie wyjść z wprawy. I żeby przeżyć. Za przedstawienia pobierają dobrowolne opłaty. Każdy płaci, ile chce.

Szybciej niż inni

Mimo tych niedogodności Alžbeta Vrzgula chwali władze miasta. Już na początku marca zamknęły szkoły. Niedługo potem pod ich naciskiem rząd wydał zakaz zgromadzeń, przywrócił kontrole graniczne i wprowadził obowiązek zasłaniania ust i nosa. Wszystko to w czasie, gdy inne kraje dopiero zaczynały uświadamiać sobie skalę kryzysu. Szybka reakcja najpewniej przyczyniła się do tego, że liczba zakażonych na Słowacji jest relatywnie niska: do 23 kwietnia koronawirusem zaraziło się 1325 osób, z czego 15 zmarło, a 288 wyleczono.

Inaczej niż w Polsce, zwykle szpitale nie były w chaotyczny sposób przekształcane na zakaźne. Zamiast tego w każdym z dziesięciu największych szpitali otwarto „czerwoną strefę”, oddzielny pawilon dla pacjentów z podejrzeniem infekcji. – Jedna rzecz mogła pojawić się wcześniej – mówi mi prof. Vladimír Krčméry, specjalista w dziedzinie medycyny tropikalnej i członek rządowego sztabu kryzysowego. – Zakaz meczów piłki nożnej i hokeja powinien obowiązywać nie od poniedziałku 9 marca, ale od piątku. Wtedy objąłby ostatnie weekendowe rozgrywki.

Krčméry żałuje też, że trudno przekonać do kwarantanny mieszkańców osad romskich na wschodzie kraju. Duże skupiska ludzi oraz niskie standardy mieszkaniowe i higieniczne to – jak mówi Krčméry – bomba, która może wybuchnąć każdego dnia. Dodatkowo wielu Romów niedawno wróciło z pracy w Anglii. – Co możemy zrobić? Słowacja nie jest państwem policyjnym. Możemy powtarzać, że kwarantanna leży w ich interesie – uważa Krčméry. Głos zabrała Amnesty International: skrytykowała Słowację za to, że w trakcie robienia testów nie za-

pewniono Romom informacji, wody i infrastruktury sanitarnej, a same testy dostarczono wojskowymi helikopterami, co uznano za niepotrzebny pokaz siły.

Krčméry przewiduje, że liczba zakażonych wzrośnie późną wiosną, ale nie gwałtownie, i że będzie równoważona liczbą wyleczonych. – Wyobrażam sobie wakacje na Słowacji bez wielkich restrykcji – mówi. Jednak nawet on przyznaje, że nie wiadomo o wszystkich infekcjach. Na Słowacji przeprowadza się ponad trzy i pół razy mniej testów niż w sąsiednich Czechach. Choć nowy premier Igor Matovič zapowiedział, że w ponad pięć milionowym kraju będzie się robić 3 tys. testów dziennie, nadal problemem jest ich liczba i jakość.

Problemy z systemem

Bo podobnie jak w innych krajach Europy Środkowej, epidemia obnażyła marny stan służby zdrowia. – Słowacja nie była przygotowana na kryzys o takiej skali. Chodzi nie tylko o braki w sprzęcie, środkach ochronnych czy personelu. To akurat kłopoty całego świata – twierdzi Dušan Zachar, ekspert ds. ochrony zdrowia w Instytucie na rzecz Reform Gospodarczych i Społecznych (INEKO), think tanku z Bratysławy. – Przede wszystkim nie istnieją procedury. Ostatnio strategię reagowania na pandemię aktualizowano w 2005 r.

W Euro Health Consumer Index z 2018 r. – zestawieniu grupującym 35 państw Europy pod względem dostępności do ochrony zdrowia, czasu oczekiwania i poszanowania praw pacjenta – Słowacja wypadła nieźle (17. miejsce), daleko przed zamykającymi stawkę Polską, Węgrami, Rumunią i Albanią. Ale dzieli z nimi wiele niedostatków: słabą infrastrukturę, niskie zarobki i emigrację młodych lekarzy oraz pielęgniarek. W 2017 r. na Słowacji było 18,6 tys. lekarzy, z czego prawie 27 proc. stanowiły osoby powyżej 60. roku życia. To blisko trzykrotny wzrost liczby starszych lekarzy od 2004 r., gdy kraj wszedł do Unii.

Nic dziwnego, że w zeszłorocznym sondażu agencji Focus dla Transparency International ochrona zdrowia znalazła się na drugim miejscu (39 proc.) wśród głównych bolączek Słowaków, za niskim poziomem życia (47 proc.), tuż przed korupcją (38 proc.).

– Teraz cały system zdrowia został podporządkowany walce z pandemią



MIKULA MARTIN / CTK / PAP

Zaprzysiężenie nowego rządu Słowacji: w środku pani prezydent Zuzana Čaputová, po jej prawej nowy premier Igor Matovič, po bokach wicepremierzy Veronika Remišová i Richard Sulík. Bratysława, 21 marca 2020 r.

– mówi mi Jana Bendová, lekarka pierwszego kontaktu. – Operacje są odkładane. Moi pacjenci coraz słabiej radzą sobie z długim odosobnieniem. Problemy psychiczne wkrótce staną się nie mniejszym wyzwaniem niż koronawirus.

Zaufania do instytucji państwowych nie zwiększyła afery w słowackim odpowiedniku Agencji Rezerw Materiałowych. Dzięki koronawirusowi cały kraj usłyszał o jej szefie, Kajetanie Kičurze. Nie tylko kupił on po zawyżonej cenie wątpliwej jakości testy z Chin, ale – jak wykazało śledztwo – od lat przyjmował łapówki od jednego z holdingów, z którym podpisał umowę na dostarczanie środków ochronnych.

Nowy rząd na czas kryzysu

Odwwołanie Kičury było jedną z pierwszych decyzji nowego premiera Matoviča. Bo w czasie pandemii na Słowacji zmienił się rząd. Władzę po łącznie dwunastu latach (2006-10 i 2012-20) oddała partia Kierunek – Socjalna Demokracja (Smer–SD), która 29 lutego przegrała wybory z antykorupcyjnym ruchem Zwyczajni Ludzie i Niezależne Osobistości (OLaNO) Matoviča. Wygrał on na hasłach oczyszczenia kraju po licznych aferach poprzedników, których symbolem stało się zabójstwo dziennikarza śledczego Jána Kučiaka i jego narzeczonej w lutym 2018 r.

Ambitne plany Matoviča i jego trzech partnerów koalicyjnych będą jednak musiały poczekać na spokojniejsze czasy. Na razie premier stał się twarzą walki z kryzysem. – Prawie codziennie organizuje konferencje prasowe – mówi Juraj Marušiak, politolog ze Słowackiej Akademii Nauk. – Są pełne emocji, przypominają show. U wielu Matovič zdobywa tym dużo punktów. Ale ja nadal widzę w nim bardziej szefa partii opozycyjnej niż rządzącej.

Marušiak przebywa w Belgradzie. Obawia się powrotu do kraju. – Infrastruktura przerobiona na miejsca odosobnienia jest zaniedbana. Trzeba przesiedzieć 14 dni na kwarantannie, z czego pierwszych 4-5 w zakładzie publicznym. W pokoju z obcymi osobami, o których nie wiadomo, czy nie są zakażone – opowiada. I dodaje, że wyzwaniem poważniejszym od zdrowotnego i tak będzie kryzys gospodarczy.

Scenariusze dobry i zły

Wstępne prognozy ekonomiczne są umiarkowanie optymistyczne. Instytut Polityki Finansowej (think tank ministerstwa finansów) przewiduje, że jeśli obustronnie zostaną utrzymane przez dwa miesiące, PKB Słowacji spadnie wprawdzie w tym roku o 7,2 proc. – ma się jednak odbić już w roku kolejnym, sięgając

6,8 proc. (to by oznaczało prawie trzykrotny wzrost w porównaniu z rokiem 2019). Zapaść byłaby zatem bolesna, lecz krótkotrwała.

Chyba że kryzys rozszerzy się na inne dziedziny gospodarki. Tak jak w latach 2008-10, gdy kłopoty sektora bankowego pociągnęły wyhamowanie produkcji przemysłowej, spadek konsumpcji i wzrost zadłużenia. Dużo zależy od tego, jak na kryzys zareaguje Europa Zachodnia, z którą gospodarka Słowacji jest połączona mocnymi więzami, przede wszystkim z Niemcami (22 proc. eksportu w 2018 r.).

– Patrzymy uważnie, co się dzieje na Zachodzie – przyznaje Peter Goliaš, szef think tanku INEKO i członek gospodarczego sztabu kryzysowego. – Kłopotem byłoby trwające kilka miesięcy zamknięcie fabryk samochodowych. Kia zamknęła linię dwa tygodnie po jej ponownym otwarciu. Na szczęście Volkswagen już częściowo wznowił działalność, a francuska Groupe PSA powoli przymiera się do tego. Nie przewidujemy takiego załamania jak przed ponad dekadą.

Wtedy, w 2009 r., eksport samochodów spadł o 28 proc. w porównaniu do roku poprzedniego. Słowacja to światowy lider produkcji aut *per capita*. Według tutejszego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego w 2019 r. z taśm fabryk →

→ w Bratysławie, Nitrze, Trnawie i Żylinie zjechało ponad 1,1 mln aut Jaguar-Land Rovera, Kii, PSA oraz Volkswagena. To oznacza, że na tysiąc mieszkańców przypadły 202 wyprodukowane auta.

Ale Martin Vlachynský, analityk Instytutu Studiów Gospodarczych i Społecznych (INESS), radzi przygotować się na długoletnią zapaść. – Nasz rząd reaguje tak, jak większość w Europie, czyli rzucaniem pieniędzy na rynek bez jego reformy – uważa. – Na programy pomocowe dla przedsiębiorców przeznaczają się ok. 1,5 miliarda euro miesięcznie. Prędzej czy później skończy się to paraliżem finansów publicznych.

Vlachynský wątpi, czy premier zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji: – W jego *exposé* znalazło się wiele obietnic, które w obecnych warunkach nie mają szans na realizację, jak podwyżki w służbie zdrowia i edukacji, budowa nowych szpitali i mieszkań komunalnych. Tymczasem pytanie brzmi, czy za kilka miesięcy państwo będzie w stanie wypłacać emerytury i inne świadczenia.

Błędy popełniła też poprzednia ekipa. – Chociaż od dekady Słowacja przeżywa wzrost gospodarczy, rządy Smer-SD nie wytworzyły nadwyżki budżetowej i nie zbiły zadłużenia. Odkładano reformy edukacji, służby zdrowia i biurokracji. Tamte zaniechania teraz odbijają się czkawką – uważa Vlachynský. – Słowacja wchodzi w obecny kryzys ze słabymi kartami.

■ ■ ■

Reżyserka Alžbeta Vrzgula cieszy się, że pod koniec kwietnia rząd wprowadził w życie czterofazowy plan uwalniania gospodarki spod restrykcji. Nawet jeśli teatry i kina znalazły się dopiero w ostatniej fazie, bez konkretnej daty.

– Słowacja jest w trudnej sytuacji. Nowy rząd przejmuje skorumpowane struktury państwa w chaosie, walcząc z pandemią – mówi Vrzgula. – Ufam, że ludzie, którzy stworzyli ten plan, to eksperci. Choć nie rozumiem, dlaczego małe instytucje kultury będą się otwierać w tym samym czasie, co centra handlowe, które też wrzucono do czwartej fazy. © DARIUSZ KAŁAN

Epicentrum na Koronawyspie

PATRYCJA BUKALSKA

Państwa bałtyckie z epidemią radzą sobie nie najgorzej. Jednak mieszkańcy największej estońskiej wyspy, Saremy, mają za sobą ciężkie chwile.

SITUACJA POWOLI SIĘ STABILIZUJE: LICZBA nowych infekcji notowanych każdego dnia i liczba hospitalizowanych znacznie się zmniejszyły. W ostatnich dniach mamy tylko jeden nowy wykryty przypadek – mówi „Tygodnikowi” Madis Kallas, burmistrz Saremy.

Jest środa, 22 kwietnia, a burmistrz pewnie w głębi duszy oddycha z ulgą. Bo w całej niespełna półtoramilionowej Estonii to właśnie Sarema – największa estońska wyspa, malownicza i popularna wśród turystów – była epicentrum COVID-19. W najgorszym momencie dyrektor miejscowego szpitala Edward Llane powiedział, że zakażona może być nawet połowa z ponad 30-tysięcznej populacji wyspy, tyle że ogromna większość miałaby przechodzić chorobę bezobjawowo.

Oficjalnie, na podstawie testów, zdiagnozowano ponad 500 chorych (wśród nich był burmistrz). Tylko lub aż, bo tylu przypadków nie było w Estonii w żadnej innej prowincji. Wprawdzie ponad 500 infekcji stwierdzono w pewnym momencie także w prowincji Harju, gdzie leży stołeczny Tallinn, ale tam liczba ludności jest nieporównywalnie większa (prawie 600 tys.). Nic dziwnego, że Sarema – wraz z małymi wyspami Muhu i Ruhnu – biła resztę kraju na głowę, gdy przeliczono przypadki infekcji na 10 tys. ludności: było ich tam 163, podczas gdy w innych prowincjach od dwóch do 22.

Nikt się nie spodziewał

Pierwszy przypadek COVID-19 stwierdzono w Estonii 27 lutego, ale dla Saremy fatalny okazał się pierwszy tydzień marca. Granice były otwarte, na wyspę przybyła drużyna siatkarzy z Mediolanu i rozegrała tu 4 i 5 marca dwa mecze. W tym czasie we Włoszech liczba ofiar przekroczyła sto, wprowadzano „czter-

wone strefy”, choć nie ogłoszono jeszcze kwarantanny. Sarema wydawała się daleka od zagrożenia, jak zawsze spokojna i gościnna. Kibice nie zawiedli, na mecze przybyło ich wielu, także z kontynentalnej Estonii.

Po emocjach sportowych przyszedł czas na inne: 7 marca na wyspie odbył się Festiwal Szampana, a w Dzień Kobiet mieszkańcy ruszyli w odwiedzin, również do bliskich w domach opieki. Wkrótce potem, 11 marca, na wyspie zdiagnozowano pierwsze infekcje, a 12 marca okazało się, że sędzia i kilku włoskich graczy mają pozytywny wynik testu. Lokalne władze zamknęły szkoły – kilkoro dzieci, które były na meczu, miało już symptomy choroby. Także na meczu zaraził się zapewne żołnierz z bazy w portowym mieście Paldiski. Żle się poczuł po powrocie do koszar. Po dodatkim teście kwarantanną objęto jednostkę.

14 marca rząd w Tallinnie zamknął wyspy w zachodniej części kraju, w tym Sareme. Przyjezdni mogli je opuścić, ale potem już nikt nie mógł z nich wyjechać ani na nie wjechać – to pierwsza taka sytuacja od czasu okupacji sowieckiej. Jednocześnie rosła liczba zakażeń w całym kraju, wprowadzano kolejne restrykcje. Pod koniec marca na Saremie było więcej chorych niż gdziekolwiek indziej. Media ukuły dla niej nazwę „Koronawyspa”.

My, nie ja

Kwiecień był dla wyspiarzy trudny. Na Saremie ograniczono możliwość poruszania się. Opuszczając dom – co można zrobić tylko z ważnego powodu – mieszkańcy muszą pamiętać o dowodzie tożsamości. Na ulicach krąży policja. Koło szpitala w Kuressaare, głównym (właściwie jedynym) mieście wyspy, gdzie jest tylko 147 łóżek, staje szpital polowy. „Minęli



TAIRO LUTTER / SCANPIX BALTICS / FORUM

Mecz siatkarskich drużyn z Mediolanu i Saremy w ramach europejskich rozgrywek Pucharu Challenge 2020. Sarema, 5 marca 2020 r.

śmy już punkt bez powrotu” – stwierdza doktor Laane, pełen obaw, że pacjentów będą tysiące. Kolejne dni przynoszą kolejne śmierci.

Jednocześnie, jak w wielu miejscach, dzieje się wiele dobrego. Rusza akcja pomocy dla miejscowego szpitala: ludzie wpłacają pieniądze na respiratory, przesyłają miód i słodycze dla personelu. Przyjeżdża kilkudziesięciu ochotników do pracy w szpitalu: lekarze, ratownicy, pielęgniarki. Na wyspie formuje się też mocna grupa 140 miejscowych wolontariuszy, gotowych na wszelakie zadania. Dzieci z jednej z estońskich szkół wysyłają do sztabu kryzysowego na wyspie wielką paczkę kartek z najlepszymi życzeniami.

– Nasza społeczność jest silna i udowodnia, że możemy pokonać wielkie wyzwania. Ludzie bardzo się wspierają, zachowują spokój nawet w tak trudnych czasach, po prostu robią to, co mogą – mówi „Tygodnikowi” burmistrz Kallas. – Nasze przesłanie z Saremy do świata jest takie, że każdy zamiast „ja” powinien myśleć „my” i odpowiednio do tego działać. Jesteśmy razem i każdy ma ważną rolę do odegrania w tej bitwie.

W poniedziałek, 20 kwietnia, po raz pierwszy na wyspie nie odnotowano ani jednego nowego przypadku infekcji. Pojawiła się nadzieja.

U bałtyckich sąsiadów

Z trzech krajów bałtyckich COVID-19 najmocniej uderzył w Estonię. Choć ma dwa razy mniej mieszkańców niż Litwa, pod koniec kwietnia notowała więcej zgonów: aż trzykrotnie więcej niż dwumilionowa Łotwa. Także przelicznik zgonów na milion obywateli wyglądał dla Estonii źle: było to 38, podczas gdy na Litwie 16, a na Łotwie tylko 8.

Właśnie w Estonii wykryto pierwsze przypadki zakażeń i to tam władze jako pierwsze wprowadziły restrykcje: stan wyjątkowy ogłoszono już 12 marca, podczas gdy u bałtyckich sąsiadów kilka dni później.

Według raportu Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych państwa bałtyckie reagowały na epidemię dość podobnie: wprowadzono kontrolę granic, zakaz wjazdu dla osób z zagranicy i 14-dniową kwarantannę dla wracających.

Jednocześnie krzywe zachorowań rozwijają się w tych państwach w różnym tempie. Raport PISM podkreśla, że najbardziej społecznie zmobilizowani okazują się Estończycy – w przeciwieństwie do Łotyszy, których do przestrzegania restrykcji muszą przekonywać wysokie kary. Jednak, mimo mobilizacji i szybkiej reakcji władz, to w Estonii jest najciężiej.

Także Litwa ma swoje specyficzne epicentrum: to miasteczko Niemenczyn,

25 km od Wilna. Objęte kwarantanną, w połowie kwietnia zostało odcięte od reszty kraju: jak Saremy, nikt nie mógł go opuścić ani do niego wjechać bez pozwolenia. Tu wirus zaczął się szerzyć w miejscowym przedsiębiorstwie Vilnika. Po zamknięciu miasta rozpoczęto testowanie wszystkich mieszkańców, ok. 5 tys. ludzi.

Lato 2020 będzie inne

– Największym wyzwaniem jest teraz łagodzenie restrykcji, krok po kroku. Ale nadal musimy być ostrożni – mówi burmistrz Saremy.

Zanim zajął się polityką, 39-letni Madis Kallas był odnoszącym sukcesy sportowcem, w 2006 r. reprezentował Estonię w Mistrzostwach Lekkoatletycznych Europy w dziesięcioboju. Ta dyscyplina wymaga szczególnej wytrzymałości i planowania. I to być może przydaje się teraz Kallasowi, bo mówiąc o przyszłości wyspy, sięga dalej niż najbliższe miesiące: – Musimy zaakceptować fakt, że lato 2020 na Saremie będzie inne – burmistrz zaznacza, że ten problem mają wszystkie turystyczne miejsca na świecie. – Ale siłą wyspy jest jej różnorodność – podkreśla i zaczyna wymieniać: produkcja żywności, urządzeń elektronicznych, elementów metalowych, rolnictwo, przemysł drzewny. Jest też miejscowa *success story*, czyli Small Craft Competence Centre: jednostka badawcza Uniwersytetu Technicznego w Tallinnie zajmująca się hydrodynamicznymi aspektami budowy łodzi.

Przyszłość samego burmistrza stoi jednak pod znakiem zapytania: zapowiedział, że bierze odpowiedzialność za sytuację na wyspie i jest gotowy ustąpić.

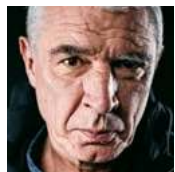
Na razie jednak mieszkańcy nadal są zmobilizowani, bo choć natężenie zachorowań słabnie, nie jest to koniec epidemii. Burmistrz jest optymistą: – Sarema była, jest i będzie wspaniałym miejscem do życia i odpoczynku. Jesteśmy dumni z naszej wyspy i mamy nadzieję wkrótce znów powitać tu gości.

Restrykcje w podróżach na estońskie wyspy mają być stopniowo znoszone od początku maja – najpierw dla mieszkańców, potem dla innych Estończyków. Na razie kontakt jest wirtualny: w mediach społecznościowych można wysyłać „pocztówki”, tj. zdjęcie lub filmik, na Saremie oraz z Saremy. Z hasztagiem: #postkaartsaaremaalt lub #postkaartsaaremaale.

Życie toczy się nadal. Choć inaczej. ©P

ANDRZEJ

Stasiuk: Zostaje Rogożyn?



NIERUCHOME I CICHE BYŁY TE ŚWIĘTA. Trochę tak, jakby Wielki Piątek rozciągnął się do poniedziałku. Znaczy się, w samotności oraz wyobraźni. Może tak właśnie od czasu do czasu trzeba? Bez teatrum, przy pustych trybunach, bez chórów, śpiewów oraz zbiorowych uniesień? W końcu łatwiej powtarzać gesty widziane u innych. Czasami może być trudniej. Tak sobie myślę. Jemu też nie było łatwo. Żadnych mszy, żadnej pewności, jak to się wszystko skończy.

Nawet chciałem jakoś po katolicku trochę, po naszymu obejść. Na pobożnej lekturze na przykład. Czytając zakończenia czterech Ewangelii w różnych przekładach. Bardzo ciekawe i rozwijające duchowo zajęcie. Ale uległem przypadkowej pokusie, albo i „wąż mnie zwiódł”, bo po trzydziestu chyba latach wziąłem z półki „Idiotę” Dostojewskiego.

Czy jako młodziak, a potem już dorosły, czytałem tę samą książkę, co dzisiaj? Wówczas myślałem, że czytam o dziewiętnastowiecznej Rosji. O kraju bezsprzecznie interesującym, ale zarazem niezwykle egzotycznym. No cóż, to było dawno i daleko, więc całkiem możliwe, że to wszystko prawda. Literacka, ale jednak prawda. Ci wszyscy ludzie mówiący naraz i bez przerwy. Stłoczeni gdzieś bez jedzenia, bez snu, w ciemnych, niewyraźnych wnętrzach z paroma drzewami za oknem na odczepnego. Jakież meble, obrazy, poduszki, komody, wszystko na kupie. Niby gdzieś wychodzą, ale zaraz są na miejscu, jakby przeszli korytarzem, i znowu nic, tylko chlupiąca, rozbąblowana głądźba postawiona na gorącej blasze neurozy. Bulgot, jakby im mózgi chciały wykipieć. Co za kraj, musiałem myśleć, co za kraj! Tak inny od wszystkich krajów, tak inny od mojego kraju. Niby wielki, a jak z pokoju do pokoju. Niby miasta słynne i ludne, a wszyscy się znają. A jak się nie znają, to już po chwili się zapoznają i tajemnice najgłębsze powierzają oraz uczucia, o jakich człowiek w ogóle, a już świeżo zapoznany, nie mógł mieć pojęcia. I ten bezdech, od którego pękają płuca, gdy się monologuje na półtoje strony, że słowa nie wciśniesz. A im nie pękają...

I w ogóle jest tak, jakby się dusili, gdy milczą. Gdy nie ma do kogo gęby otworzyć. Jak nie ma nikogo, to zaczynają umierać. Umierają od milczenia. I przy tym jacyś nieśmiertelni, bo bez przerwy mdleją, błędną, czerwienieją, osuwają się, tracą oddech, ciemnieją im w oczach, zanoszą się chichotem, wytrzeszczają oczy, piją bez umiaru i notorycznie, od rana, dostają konwulsji, a umiera jeden na stu, jeden na całą książkę (nie licząc nieszczęsnej Nastazji), bo rzeczywiście był chory. W dodatku chciał się wcześniej zastrzelić, ale pistolet, a jakże, źle uprzednio załadował, bo przecież żadnego konkretnego działania nie da się w tym świecie przeprowadzić. Można tylko przechodzić przez korytarz z pokoju do pokoju,

nabierać powietrza i zaczynać swoją bezkresną gadkę, dopóki podobny desperat nie przerwie i nie zacznie swojej, jeszcze dłuższej, jeszcze pokrętniejszej, na końcu której jesteśmy tak samo głupi jak na początku albo jeszcze bardziej. Bo nic się nie dzieje.

Nic poza torturą. Nic poza powolnym obdzieraniem ze skóry. Oprawione ludzkie tusze ocierają się o siebie i zadają ból. Jak u jakiegoś północnego de Sade’a pozbawionego śladu cielesności. De Sade’a na odwrotną. Może to przez zimny klimat, gdzie trudno nie tylko siebie, ale i drugiego ot tak obnażyć. I te uczucia, których śladu nie znajdziemy u markiza. Wszyscy wszystkim coś wyznają. Miłość, przyjaźń, przywiązanie, oddanie, szacunek, podziw, wszystkie możliwe emocje w katastrofalnym natężeniu, w permanentnym wrznięciu, w chorobliwej ekstazie. Ale jednocześnie wszystko nurza się w otchłanym upokorzeniu. Upokorzenie jest celem i spełnieniem. Upokorzenie siebie i bliźniego, a potem znowu siebie.

Kipiący gar wzdargy. Aż podskakuje na fajerkach, a pod blachę, garść za garścią, idzie chrust wszystkich uczuć. Hiperborealne sado-maso. Dalej już tylko Laponczycy ze swoimi renami. Rzecz dzieje się na końcu świata. Tak to jest, gdy prowincjusze dorwają się do prozy. Nie biorą jeńców. Hej! My też mamy psychologię! My też mamy swoje polarne orgie! W tej lodowatej ciemności! Patrzcie, jak to się robi! Jak się uprawia kanibalizm, żeby przetrwać! Jak się pożera z miłości! Jak się żywi bliźnim! Jesteśmy Eskimosami i mamy tylko swoje mięso do jedzenia! Więc patrzcie, jak to się robi u nas, gdzie nie ma żywności ani klimatu, ani jarmużu z bakłażanem, a zamiast Platona i Petrarki mamy protopopa Awwakuma... Tak.

Pierwszy raz czytałem to jako pacholę. Niedługo po tym, gdy chłopcy muszą wybierać, czy są za Indianami, czy za kowbojami. Prawdopodobnie czytałem bez zrozumienia. Natomiast wyraźnie pamiętam, że byłem za Rogożynem. Boże broń za zjawą księcia. Snuła się i przeskadzała. Powinna zostać w tej swojej Szwajcarii. Nic tu było po niej. Jak złota rybka w stawie z piraniami. Na dodatek zimnym. Dobrzy ludzie nie wychodzili pisarzowi. Jak się do nich zabierał, to zaraz opuszczał go talent. Pieścił się z nimi, miział, a oni tylko się rumienili i błędnili na przemian. Najczęściej ze wstydu. Nigdy ze złości, nigdy z pożądania, o chciwości już nie wspominając.

Dlatego byłem za Rogożynem. Chociażby dla samego nazwiska. Ciemnego, głuchego z tym półkolistym, ostrym „ż” jak podrzynanie gardła w mroku. Nazwiska nieustępliwie plebejskiego i zarazem złowrogiego. Miałem wówczas wrażenie (kto wie, czy nie mam go do tej pory), że był jedynym żywym wśród rozgłędzonych pałub. Że płynęła w nim prawdziwa krew, a nie roztwór poglądów i mętna zawiesina uczuć. Reszta żyje jak przypiekana ogniem, skwierczy, zwija się, ale sięgnąwszy prawdziwego płomienia mogłaby co najwyżej zatrzęszyć przez chwilę i zmienić się w kupkę popiołu jak ćma nad świecą. Rogożyn by krwawił, zlorzeczył i chlupał gorącą posoką,

próbując zgasić płomień. W ostatniej scenie, gdy książę przychodzi do niego w ciemnym pokoju, wszędzie poniewiera się garderoba Nastazji. Fragmenty toalety, biały jedwab, wstążki, koronki, brylanty, kwiaty, ale czy w ogóle coś jeszcze zostało? Czy pod śmiertelnym prześcieradłem leży jakieś ciało? Czy Nastazja obłuskana z migotliwych, zwodniczych strojów jeszcze istnieje? Czy może jak wąż, bądź też wężyca, nieustannie zmieniająca olśniewającą, migotliwą skórę, po prostu przepadła, okazując się jeszcze jednym wcieleniem hipnotyzującej nicości? „...bielejący słabo w koronkach, wystając spod prześcieradła, zarysowywał się koniuszek obnażonej nogi; wydawał się jakby toczony z marmuru i był przerażająco nieruchomy”. I pewnie byśmy zostali z tym marmurem i hipnozą, gdyby nie Rogożyn, który nawet w śmierć potrafił tchnąć życie: „Przykryłem ją ceratą, dobrą amerykańską ceratą, a na ceracie dopiero położyłem prześcieradło, i postawiłem cztery flaszki odkorkowane z płynem Żdanowa (...) Bo chodzi, bracie, o ten fetor”. Tak. Cztery flaszki zamiast czterech świec.

Wiele razy jeździłem w ostatnich latach przez Rosję. Szybko, jak najszybciej. Żeby zwolnić dopiero gdzieś w Azji, na stepach, na pustyni, na pamińskim płaskowyżu. Jechałem całymi dniami z przerwami na sen. Zwalniałem dopiero na Altaju albo nad Syr-darią. Jakby mnie diabeł gonił. Rozmawiałem tylko z dalnobojszczykami na nocnych parkingach, z benzyniarzami na stacjach. Czasami kogoś zabierałem. No ale jakby diabeł gonił albo dostojewskie biesy. Zwalniałem dopiero, gdy twarze robiły się bardziej smagłe, ciemnowłose, skośnookie. Gnany przez biesy i przesady. Jakbym się bał, że ugrzęznę wśród widm, a one przekonają mnie do swego istnienia i w końcu zostaną jednym nich. W jednej książce napisałem nawet, jak próbuję zostać Rosjaninem. To znaczy narrator. Wiedziony na pokuszenie na skraju kazachskiego bezkresu, we wsi o nazwie Stiepnaja, przez współczesnego dostojewszczyka. Na antypodach mrocznej północy, z wielbłądami zamiast reniferów. Ale narrator tchórz. Zupełnie jak autor. Zupełnie jak Polak. Trzeźwieje i jedzie dalej, ponieważ przeraziła go propozycja rozprężenia umysłu, wolności bełkotu i wyobraźni, która przedstawia sobie niewyobrażalne.

Czmychnąłem. Czmychnęliśmy. Ja, narrator, autor, wszyscy. Wiałem przed Dostojewskim przez płaski, piaszczysty kraj i wypatrywałem pierwszych fatamorgan. Wołałem prawdziwe złudzenia od złudzeń, w które można uwierzyć. I które, powiedzmy w końcu prawdę, są tak perwersyjnie pociągające. Kuszą odwróceniem świata do góry nogami. Kuszą nieznana wolnością. Bo skoro dobrego księcia pochłania demencja, a jego serce i duszę zżera prawdziwy idiotyzm, to co? Pewnie wszystko wolno. Chrystus nie zmartwychwstaje. I mieli rację ci, co oddawali się orgii własnych uniesień. Palili w piecu życia suchym chrustem uczuć. Ogień parzył, ale nie ogrzewał. Potłacz żądz i całopalenie własnych widzimisię. Więc co? Zostaje Rogożyn?

Prawdziwe fatamorgany zaczynały się razem z nadkaspiańską depresją. Minus piętnaście metrów, dwadzieścia poniżej poziomu morza. Z wyschniętych solnisk wychodziły szcudlaste postacie. Ni to ludzkie, ni to zwierzęce. Piękne i lucyferyczne. Utkane z migotliwego światła o ton ciemniejszego niż powietrze. Wydawało się, że zdążają w stronę drogi. Wokół nie było nic. Pustka. Czasami tylko muzułmańskie cmentarze przypominające wyludnione miasteczka albo opuszczone zamki. I nikogo. Żadnych natarczywych głosów upominających się o swoje. Cisza. Pylista, rozgrzana cisza. I tylko te prawdziwe widma idące w moją stronę. Cieszyłem się na ich widok, chociaż bez przerwy znikwały, by zrobić miejsce następnym.

©





GRAND Press PHOTO

2020

XVI OGÓLNOPOLSKI KONKURS
FOTOGRAFII PRASOWEJ

WRĘCZENIE NAGRÓD

13 MAJA O GODZ. 19.30

TRANSMISJA LIVE

GOŚĆ SPECJALNY: PIETER TEN HOOPEN

Zapraszamy na profil **Press** i **Grand Press Photo**
na Facebooku
oraz na **Press.pl** i **Onet.pl**

PARTNERZY KONKURSU I GALI



ZAiKS

GPW

oppo



PARTNERZY

GŁÓWNY PATRON MEDIALNY

PATRONI MEDIALNI

m-sound
multimedia

COLOROFFON



onet

Camera

fotopolis.

Clear Channel

REKLAMA

WOJNA i PAMIĘĆ

1945 2020

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
TP 19/2020

W Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

MACIEJ KOSYCZARZ / KFP



TADEUSZ ZAGÓŹDZIŃSKI / PAP

Władze PRL prezentowały udział w pokonaniu Niemiec jako główny argument na rzecz sprawowania przez komunistów władzy nad Polską. Na zdjęciu: działacze Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej podczas rocznicowej parady na placu Defilad, Warszawa, 9 maja 1985 r.

Polskie spojrzenia na koniec wojny

ŁUKASZ KAMIŃSKI

Dyskusja o tym, czego doświadczyliśmy w latach 1944-45, rozwinęła się zaskakująco późno. Tymczasem to, czy zostaliśmy wtedy wyzwoleni, czy znaleźliśmy się pod nową okupacją, ma znaczenie zasadnicze – także dla oceny całego okresu PRL.

Nie jest łatwo odpowiedzieć na pytanie, jak Polacy przyjęli koniec II wojny światowej w Europie – 8 maja 1945 r. nikt nie prowadził sondaży. Oczywiście historycy potrafią sobie radzić w takiej sytuacji: analizują dzienniki, teksty prasowe i inne dokumenty. Jak jednak mamy ustalić, co w swojej celi na Łubiance myślał gen. Leopold Okulicki, ostatni dowódca AK? Zapewne dochodziły do niego

odgłosy salw artyleryjskich, salut zwycięzców. Być może jednak, tak jak więziony w tym samym miejscu Kazimierz Pużak, socjalista i przewodniczący podziemnego parlamentu, o zakończeniu wojny dowiedział się dopiero pod koniec maja.

Sondaż, którego nie było

Gdyby jednak można było jakimś sposobem prowadzić takie badanie sondażowe, od razu pojawiłoby się pytanie, na

jakim terenie należałoby je zorganizować. W maju 1945 r. powojenna Polska nie miała wytyczonych granic. W Jałcie Stalin, Churchill i Roosevelt zdecydowali o utracie Kresów Wschodnich, zachodnia granica miała być ustalona później. W zamian za Kresy Polska miała otrzymać „istotny przyrost terytorialny” kosztem Niemiec, ale realizację tej obietnicy odłączano do konferencji pokojowej. Ostatecznie rozstrzygnięto to na przełomie

lipca i sierpnia 1945 r. w Poczdamie. Przebieg granicy z Czechosłowacją był przedmiotem sporu, który w czerwcu o mało nie doprowadził do starć zbrojnych.

Jeszcze trudniejsze byłoby dobranie reprezentatywnej próby ankietowanych. W maju 1945 r. Polacy byli rozproszeni, a położenie danej grupy rzutowało na odczucia towarzyszące końcu wojny. Inaczej reagowali robotnicy przymusowi na terenie Niemiec, inaczej dawni zesłańcy i dopiero co deportowani do sowieckich łagrów. Inne było położenie żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i emigracji politycznej, a inne mieszkańców Kresów, którzy musieli podejmować dramatyczne decyzje o opuszczeniu swoich małych ojczyzn.

Nawet mieszkańcy terytorium kontrolowanego przez komunistyczne władze nie mieli jednolitych doświadczeń: jedni od 10 miesięcy znali smak życia bez Niemców, a za to w towarzystwie UB i NKWD, inni właśnie go poznawali. Co innego 8 maja oznaczał dla ocalałych z Holocaustu, a co innego dla partyzantów z coraz liczniej tworzących się na nowo – wbrew rozkazom dowództwa – oddziałów leśnych.

Stalinowi „Szczęść Boże”

Najłatwiej jest odtworzyć poglądy osób związanych z poszczególnymi obozami politycznymi. Pisarka Zofia Nałkowska – świeżo mianowana posłanką do kontrolowanej przez komunistów Krajowej Rady Narodowej – opisując końcowe dni wojny i „łagodną” jej zdaniem rewolucję prowadzoną przez komunistów, notowała: „Świat dzieje się z szaloną szybkością. (...) Berlin jest wzięty, los Hitlera i Mussoliniego nieznany. Żyje, niesiona olbrzymim prądem tej przemiany, która na szczęście mi dogadza, która jest moją sprawą”. Kolejne majowe strony jej dziennika wręcz wibrują energią i ekscytacją, mimo iż Nałkowska rozpoczęła równocześnie pracę w niedawno powołanej Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce.

Orędzie Bolesława Bieruta – z woli Stalina mianowanego prezydentem – złożone było z ogólników podkreślających triumf nad odwiecznym wrogiem, zapowiadających budowę „wielkiej i na zawsze zjednoczonej Polski”. Nie brakło słów wdzięczności dla Związku Sowieckiego. Jednocześnie Bierut deklarował

wsparcie dla budowy systemu zbiorowego bezpieczeństwa i utrzymanie przymerza z zachodnimi aliantami. Retoryka tego wystąpienia była elementem prób zbudowania szerokiego wsparcia dla zależnych od Moskwy władz, prób skazanych na niepowodzenie.

Kuriozalnie z dzisiejszej perspektywy wygląda jedna z podjętych na wieść o końcu wojny akcji propagandowych. Jak donosiła prasa, z Katowic do Moskwy wysłano pociąg z węglem udekorowany hasłem „Marszałkowi Stalinowi – Polscy Górnicy – »Szczęść Boże«”.

Wojna skończona, walka trwa

Oslabione marcowym aresztowaniem szesnastu swych przywódców, władze Polski Podziemnej zabrały głos 17 maja. W deklaracji Rady Jedności Narodowej (podziemnego parlamentu) i p.o. Pełnomocnika Rządu na Kraj Stefana Korbońskiego czytamy: „Wojna skończyła się, lecz walka trwa. Walka o realizację ideałów sformułowanych w Karcie Atlantycznej, o prawdziwą wolność, demokrację i sprawiedliwy pokój”. Jako „główne zagadnienie” tej walki stawiano sprawę polską, od której rozstrzygnięcia miały zależeć szanse na pokój i uniknięcie kolejnej wojny. Przypominano o komunistycznych represjach. Jednocześnie liderzy podziemia ponawiali deklarację uznania uchwał jałtańskich, a także gotowość do nawiązania przyjaznych relacji z Sowietami i chęć udziału w rozmowach o utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej.

Stanowisko wielu lokalnych dowódców i członków konspiracji było bardziej radykalne. Major Jan Tabortowski „Bruzda”, który nocą z 8 na 9 maja zajął Grajewo, tłumaczył swoim żołnierzom, że wojna się nie skończyła, Polsce grozi los kolejnej republiki sowieckiej, a partyzanci muszą dać światu świadectwo sprzeciwu. W wyniku udanej akcji uwolniono tam kilkudziesięciu więźniów.

Nie wszyscy mieli takie szczęście. Aresztowany w Grodnie żołnierz AK Janusz Siemiński już w wagonie pociągu kierującego się na wschód usłyszał strzały. Wraz z kolegami uznał, że to próba odbicia: „Olbrzymia radość, że odzyskamy upragnioną wolność”. Po chwili zorientowali się, że to strzały na wiwat, oznaczające koniec wojny: „Wszystkich ogarnęło przynębenie”.

Radości zabrakło też w „polskim Londynie” – tę z pokonania Niemców przyćmiewały obawy o przyszłość. Tygodnik „Polska Walcząca” zamieścił pisany na gorąco komentarz: „Dla mieszkańców tego kraju jest to dzień radości i tryumfu. My żołnierze Polskich Sił Zbrojnych łączymy się z narodem brytyjskim w uczuciach przeżywanych w dniu zwycięstwa (...) Ale dla nas ten dzień nie oznacza tego samego. (...) Po przeszło pięciu latach wspólnych trudów, po ofierze krwi, (...) nie doczekaliśmy się wolności dla swoich, ani łaski powrotu dla siebie”.

W licznych świadectwach czytamy o reakcjach zwykłych ludzi w Polsce na wieść o kapitulacji Niemiec. Choć wielu kronikarzy odnotowało wzrost spożycia bimbru czy inne przejawy radości, uwagę przykuwają w tych opisach sformułowania typu „nastroj raczej pesymistyczny”, „Wstępujemy w nowy okres. (...) A może będzie to okres jeszcze cięższy niż poprzedni?!” „całe społeczeństwo (...) czeka na wyzwolenie”. Korboński raportował: „Zakończenie wojny Warszawa przyjęła obojętnie. U nas to niczego nie zmienia”.

Stan zawieszenia

Takie postawy wynikały z powszechnej niepewności, swobodnego stanu zawieszenia, w jakim znalazła się Polska. Jego symbolem, obok wspomnianego braku ustalonych granic, było istnienie dwóch rządów. Jednego uznanego przez większość świata, lecz znajdującego się na uchodźstwie, i drugiego, uznanego głównie przez swego mocodawcę, Związek Sowiecki, ale za to sprawującego realną kontrolę nad terytorium i ludnością. Niepewność pogłębiały liczne plotki, na czele z zapowiedzią wybuchu nowej wojny, tym razem między Moskwą a jej zachodnimi sojusznikami. Na zmęczenie społeczeństwa wpływały też informacje o nowych represjach i ciężka sytuacja gospodarcza.

Nie oznacza to, że w 1945 r. Polacy nie zaznali wybuchu entuzjazmu. Stało się to jednak nie w maju, lecz w początkach lipca – wraz z przyjazdem do kraju Stanisława Mikołajczyka, byłego premiera rządu RP. Na pierwszy rzut oka niewiele się zmieniło na lepsze: legalne władze RP straciły uznanie aliantów, przywódcy Polski Podziemnej zostali właśnie skazani, trwały masowe represje (kończyły się →

→ przygotowania do oblavy augustowskiej – największej sowieckiej zbrodni na Polakach po II wojnie).

Pojawił się natomiast czynnik, którego zabrakło 8 maja – nadzieja. Polacy uwierzyli, że ich los może się odmienić na lepsze, że obiecane w Jałcie wolne wybory są szansą na odzyskanie niepodległości. Wkrótce mieli się przekonać, że to nadzieje płonne.

Filar legitymizacji

W chwili zakończenia wojny polski głos w świecie wybrzmiał słabo. Symbolem stała się konferencja założycielska ONZ w San Francisco, na której zabrakło Polaków. Do legendy przeszedł gest Artura Rubinsteina, który 13 maja – w trakcie swego koncertu, towarzyszącego konferencji – poruszony brakiem polskiej flagi, kazał delegatom wstać i odegrać „Mazurka Dąbrowskiego”. Nawet protesty władz RP na uchodźstwie dużo głośniejsze były wcześniej – po Jałcie i później, po cofnięciu im uznania przez zachodnich sprzymierzeńców.

W kolejnych latach sytuacja nie uległa zmianie. Wiele uwagi poświęcano na emigracji krytyce systemu jałtańskiego, rzadko jednak odnosząc się do kwestii zakończenia wojny. Fakt ten kwitowano zwykle ogólnikami, iż zwycięstwo nad Niemcami nie przyniosło Polsce wolności, lecz nową niewolę. Sytuację Polski określano też jako okupację przez Związek Sowiecki lub komunistów, pojawiał się również termin „ujarzmienie”. Kolejnych rocznic końca wojny nie świętowano, w emigracyjnym kalendarzu główną majową datą było zdobycie Monte Cassino. To raczej ta rocznica była pretekstem do rozważań o rozpoczętym w 1945 r. „nowym akcie tragedii naszego Narodu”, jak w maju 1952 r. ujął to gen. Władysław Anders.

Tymczasem w kraju Dzień Zwycięstwa, jak go popularnie zwano, stał się jednym z filarów legitymizacji reżimu komunistycznego. Dekret o ustanowieniu Narodowego Święta Zwycięstwa i Wolności przyjęto już 8 maja 1945 r., wyznaczając je na 9 maja. Wybór tej daty nie miał nic wspólnego z – późniejszym o wiele lat – sporem o „właściwą” datę kapitulacji Niemiec, wynikającym z różnicy stref czasowych (8 czy 9 maja). Wskazano po prostu na pierwszy dzień po zakończeniu wojny (na marginesie zauważmy, że w 1945 r. wątpliwości co do daty nie

■ Debata ostatnich lat sprowadzają się do dwóch zasadniczych kwestii. Czy zajęcie ziem polskich przez Armię Czerwoną było wyzwoleniem? Oraz czy można mówić o polskim zwycięstwie w II wojnie światowej?

miał nawet Stalin: w okolicznościowym orędziu wprost mówił, że 7 maja podpisano „wstępny protokół kapitulacyjny”, a dzień później – ostateczny).

Niezależnie od tego, że 9 maja tylko do 1950 r. był dniem wolnym od pracy, jego obchodom do końca istnienia PRL nadawano wyjątkowy charakter. Udział w pokonaniu Niemiec (symbolizowany przez polską flagę nad Berlinem) prezentowano jako główny argument na rzecz sprawowania przez PZPR władzy nad Polską – na równi, a z czasem nawet ponad argumentacją wynikającą z ideologii marksistowsko-leninowskiej. W narrację tę wpisywano opowieść o „braterstwie broni” z Armią Czerwoną, a także o największym owocu zwycięstwa: przyłączeniu ziem poniemieckich, zwanych odzyskanymi.

Po stronie opozycji

W czasach PRL historia II wojny światowej często była przedmiotem sporu między rządzącymi a społeczeństwem i opozycją, czynnikiem mobilizującym do sprzeciwu. Podczas kryzysów przypominano sowiecką agresję 17 września 1939 r., Katyń i deportacje, brak pomocy dla powstania warszawskiego, prześladowania AK-owców. Pojawiały się też wątki związane z rokiem 1945: Jałta, proces szesnastu, a pod koniec istnienia PRL także oblawa augustowska (po przypadkowym odkryciu masowego grobu koło Gib).

Jednak przedmiotem sporu z władzą nie stała się nigdy kwestia końca wojny. Sytuacja ta nie zmieniła się nawet po powstaniu Solidarności. W maju 1985 r. prasa podziemna zignorowała 40. rocznicę kapitulacji Niemiec – pisano za to o półwieczu od śmierci Piłsudskiego czy 30-leciu Układu Warszawskiego.

Jest kilka możliwych wytłumaczeń tej sytuacji. Pierwsze to skuteczność komuni-

stycznej propagandy, bazującej na dumie ze zwycięstwa nad Niemcami, budzącej patriotyczne uczucia i jednocześnie wiążącej terytorialną rekompensatę z takimi, a nie innymi okolicznościami zakończenia wojny. Ten ostatni wątek podsuwa kolejną możliwość: Polacy, niezależnie od stosunku do komunizmu, uświadamiali sobie wagę owego przesunięcia granic na zachodzie i północy wobec utraty Kresów. Bez tej zmiany Polsce groził podobny los jak Węgrom po traktacie z Trianon (1920 r.). Czyli, w polskim przypadku, redukcja terytorium o blisko połowę.

Trzecie wytłumaczenie związane jest z charakterem Solidarności, rozumianej – śladem Jacka Kuronia – jako „samoograniczająca się rewolucja”. Otwarte kwestionowanie interpretacji końca wojny jako wyzwolenia uznawano za zbyt ryzykowne, a przy tym wpisujące się w komunistyczną propagandę (wykorzystującą m.in. rzekome dewastacje cmentarzy żołnierzy sowieckich). Wreszcie, możliwe czwarte wyjaśnienie to po prostu brak społecznych emocji związanych z datą końca wojny – inaczej niż w przypadku np. Katynia.

W wolnej Polsce

Niezależnie od jego źródeł ten sposób myślenia przetrwał upadek PRL. Najlepszym dowodem tego jest fakt, że Narodowe Święto Zwycięstwa i Wolności 9 maja – ustanowione przez władze PRL – obowiązywało aż do 2015 r. I nie chodzi tu jedynie o wspomniany wcześniej spór między 8 a 9 maja, lecz o sformułowanie „i Wolności” – wszak mało kto gotów jest bronić tezy, że po 1945 r. zapanowała w Polsce wolność. Dopiero gdy w maju 2014 r. na ten problem zwrócił uwagę ówczesny dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN Andrzej Zawistowski, pojawiła się inicjatywa zmiany stanu prawnego. Ostatecznie zmieniono nazwę święta na Narodowy Dzień Zwycięstwa, a jego termin przesunięto na 8 maja.

Nie oznacza to, że po upadku systemu komunistycznego nie podjęto żadnych działań. Już na początku lat 90. usunięto sporą część „pomników wdzięczności”, a także prawie wszystkie nazwy ulic odnoszące się do Armii Czerwonej.

Problem interpretacji wydarzeń z ostatnich miesięcy wojny i jej zakończenia pojawiał się też przy okazji debat o PRL, prowadzonych z różnym natężeniem przez pierwszą dekadę wolnej Polski. Był to jed-

nak poboczny wątek tej dyskusji. Radykalne głosy – jak opinia Tomasza Strzembosza, że od 1944 r. mieliśmy w Polsce do czynienia ze specyficzną formą okupacji – były odosobnione. Większość badaczy przychyliła się do wygodnej formuły Krystyny Kersten, która zbiór swoich esejów poświęconych okresowi 1944-56 zatytułowała „Między wyzwoleniem a zniewoleniem”. Warto podkreślić, że w tym czasie wciąż dużą rolę w dyskusji odgrywali historycy, którzy przed rokiem 1989 związani byli z PZPR.

Dwa pytania, na nowo

Sytuacja zaczęła się zmieniać po roku 2000. Wpłynęło na to zarówno powstanie Instytutu Pamięci Narodowej, jak też zaostrzanie polityki Rosji po objęciu władzy przez Władimira Putina. W swoich badaniach IPN w pierwszych latach skupił się na początkach komunistycznej Polski: represjach, funkcjonowaniu UB i sądownictwa, zaangażowaniu Sowietów w budowę nowego reżimu, wreszcie na różnych formach oporu, zwłaszcza podziemiu niepodległościowym. Badania te, prowadzone zwykle przez młode pokolenie historyków, w naturalny sposób prowadziły do stawiania na nowo pytań o lata 1944-45.

Przedmiotem nasilającej się wraz z upływem lat debaty stały się dwie główne, związane z zakończeniem wojny kwestie. Pierwsza dotyczy opisu wydarzeń z lat 1944-45 na ziemiach polskich: czy ich zajęcie przez Armię Czerwoną oznaczało wyzwolenie czy też początek nowej okupacji. Druga odnosi się wprost do 8 maja 1945 r. i łączy się z pytaniem, czy można mówić o polskim zwycięstwie w II wojnie światowej czy raczej o klęsce.

W pierwszej z tych dyskusji jako argument przeciw koncepcji „wyzwolenia” wykorzystywana jest słownikowa definicja (wyzwolić: „przywrócić wolność, niezależność”), inkorporacja prawie połowy terytorium II RP do Związku Sowieckiego, masowość represji (w tym wobec przedstawicieli Polskiego Państwa Podziemnego), zachowanie żołnierzy sowieckich (gwałty, rabunki). Nawet niektórzy przeciwnicy używania słowa „okupacja” na określenie tego okresu – jak Paweł Machcewicz – przyznają, że „przez pierwsze kilkanaście miesięcy od wejścia Armii Czerwonej w przedwojenne polskie granice mieliśmy do czynienia z elementami okupacji”. Natomiast głównym

8 maja 1945 r. co innego oznaczał dla ocalałych z Holocaustu i robotników przymusowych na terenie Niemiec, a co innego dla więzionych w Moskwie przywódców Państwa Podziemnego albo dla mieszkańców Kresów.

argumentem przeciw koncepcji „okupacji” jest nieporównywalność realiów okupacji niemieckiej z powojenną.

Wygrana? Nie w pełni?

Zwolennicy koncepcji „wyzwolenia” używają zwykle argumentu (nieco demagogicznego), że gdyby nie Armia Czerwona, Polacy przestaliby istnieć. Nie widzą tym samym (nie chcą widzieć?) możliwości innego scenariusza poza dwoma: kontynuacja ludobójczej polityki Niemców lub narzucenie reżimu komunistycznego. Z kolei główny problem koncepcji „okupacyjnej” związany jest z brakiem jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, kiedy miałyby się zakończyć: wraz z utworzeniem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej i jego uznaniem przez mocarstwa czy w roku 1956, 1989, a może dopiero wraz z wyjściem ostatnich żołnierzy rosyjskich w 1993 r.?

W równoległej dyskusji nad tym, czy wojna przyniosła nam zwycięstwo, pojawiają się analogiczne argumenty. Zwolennicy koncepcji „zwycięstwa” wskazują, że głównym celem Polaków było przetrwanie, a nie zachowanie niepodległości; mówią też o roli wojsk polskich w walce, uzyskaniu ziem zachodnich, a także argumentują, że w ówczesnej sytuacji geopolitycznej nie było lepszych rozwiązań.

Ich przeciwnicy odwołują się do utraty Kresów i niepodległości, zniewolenia narodu na blisko pół wieku, utraty ciągłości państwowej, a także kosztów ludzkich, gospodarczych i społecznych okresu komunizmu. Większości Polaków na razie nie udało się przekonać: w 2014 r. po 31 proc. ankietowanych zgadzało się z opiniami, że Polska wojnę wygrała, lub że „wygrała, ale nie w pełni”.

Putin odrzuca kompromis

Na te polskie dyskusje nakłada się zmiana polityki Rosji. W związku z postawieniem *Pobiedы* w centrum rosyjskiej pamięci i tożsamości władze na Kremlu coraz agresywniej reagują na wszelkie przejawy podważania mitu „wyzwolenia”. Już w 2009 r. Putin odrzucił kompromisową formułę zaproponowaną przez ówczesnego premiera Donalda Tuska, który – odwołując się do zapisków Sándora Máraiego – uznał, że sowieccy żołnierze nie mogli nikomu przynieść wolności, gdyż sami jej nie mieli.

Rosja ostro reagowała też na usuwanie w ostatnich latach „pomników wdzięczności”. Atakowano nie tylko Polskę, lecz także państwa bałtyckie, a od 2019 r. również Czechy. Także od ubiegłego roku – wzorem lat wojny – rocznice „wyzwolenia” środkowoeuropejskich stolic świętowano w Moskwie fajerwerkami i salwami artyleryjskimi. Kilka tygodni temu przyjęto zaś nowe prawo, w myśl którego przestępstwem jest niszczenie upamiętnień Armii Czerwonej także poza granicami Rosji.

Kulminacją tych działań miała być gigantyczna parada w 75. rocznicę zakończenia wojny, nieszczęśliwie dla Kremla odwołana z powodu pandemii. Moskwa liczyła, że poprzez udział w tych obchodach światowych przywódców przełamać izolację, w jakiej znalazła się po okupacji Krymu i wywołaniu wojny z Ukrainą.

Zgoda zakwestionowana

W ostatnim czasie debata polskich historyków i publicystów zyskała nową odsłonę, stając się kolejnym elementem wszechogarniającego nasz kraj sporu politycznego. Wcześniejszą postawę polskich elit wobec działań Moskwy, nader zgodną, przełamał lider SLD Włodzimierz Czarzasty. Zapewne w nadziei na mobilizację coraz bardziej kurczącego się „betonowego” elektoratu stwierdził on, że Armia Czerwona wyzwoliła Polskę. Później jednak, krytykowany także przez lewicowych publicystów, swoją wypowiedź kilkakrotnie niuansował.

Co pokazuje, jak bardzo zmieniło się polskie spojrzenie na koniec wojny w ostatnich latach. © ŁUKASZ KAMIŃSKI

AUTOR jest historykiem, specjalizuje się w dziejach Polski i Europy Środkowej w drugiej połowie XX wieku. W latach 2011-16 był prezesem IPN.

Wyzwalająca klęska

FILIP GAŃCZAK

**Przegrana wojna i późniejsza reedukacja
skutecznie wyleczyły Niemców z militaryzmu.
Jednak w ich wiedzy o zbrodniach nazizmu wciąż jeszcze są białe plamy.**

Tego dnia Tomasz Mann, laureat literackiej Nagrody Nobla, zanotował w dzienniku: „Wieczorem franc[uski] szampan dla uczczenia dnia zwycięstwa w Europie”. W Kalifornii, gdzie przebywał Mann, był to wieczór 8 maja. Do Ameryki dotarła już wiadomość o bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy. Emigrant Mann, przeciwnik hitleryzmu, żałował wprawdzie, że jego rodacy nie wyzwolili się sami, lecz „musieli zostać przywróceniu ludzkości przez siły zewnętrzne”. Nie miał jednak w tych dniach wątpliwości, że wybiła „wielka godzina, powrót Niemiec do człowieczeństwa”.

75 lat później też chciano świętować. Land Berlin ogłosił tegoroczny 8 maja dniem wolnym. Na placu Republiki, w bezpośrednim sąsiedztwie Reichstagu, miał przemawiać prezydent Frank-Walter Steinmeier. Przewidziano udział kanclerz Angeli Merkel i wielu zagranicznych gości – polityków, ale też młodzieży.

Pandemia pokrzyżowała plany. Uroczystości państwowe odwołano. Rocznicową wystawę plenerową, która miała zostać otwarta w pobliżu Bramy Brandenburskiej, przeniesiono do internetu. Nie zmienił się za to dominujący ton okolicznościowych komentarzy w mediach: kraj, z którego wyszła II wojna światowa, swą klęskę militarną celebrowała dziś w duchu Tomasza Manna – jako dzień wyzwolenia od narodowego socjalizmu.

Naród na kolanach

Taka interpretacja 8 maja w Niemczech nie była od początku oczywista.

Późną wiosną 1945 r. wolni mogli się czuć więźniowie obozów koncentracyjnych, robotnicy przymusowi, przeciwnicy polityczni Adolfa Hitlera. Ale w Hamburgu, Kolonii czy Monachium świętowali nieliczni. – Ogromna część Niemców odebrała koniec wojny jako klęskę – mówi „Tygodnikowi” dr Stefan

Wolle, historyk, kierownik naukowy Muzeum NRD w Berlinie. Z listów niemieckich jeńców oraz z prywatnych dzienników zwykłych ludzi również nie wyłania się obraz kraju wyzwolonego. Niemcy Anno Domini 1945 były pokonane, zagruzowane i wykrwawione.

Wśród ok. 60 mln ofiar II wojny światowej było prawie 6,5 mln obywateli Rzeszy – głównie żołnierzy, ale też niemal 1,2 mln cywilów. Ci, którzy przeżyli, byli zdani na łaskę zwycięzców. Obawiano się zwłaszcza Armii Czerwonej, której szlak znały mordy, deportacje, gwałty. Tylko w Berlinie ofiarami przemocy seksualnej miało paść 100 tys. Niemek. W całym kraju – setki tysięcy. Miliony Niemców uciekły na zachód przed armią sowiecką lub zostały przymusowo wysiedlone u schyłku wojny i w pierwszych latach po jej zakończeniu. Tym ludziom trzeba było zapewnić dach nad głową i pracę.

Powszechna była ulga, że skończyły się bombardowania. Nie było jednak pewne, czy Rosjanie i alianci zachodni wkrótce nie skoczą sobie do gardeł.

Na pierwszym planie były tymczasem codzienne troski. Wielu Niemców z trudem wiązało koniec z końcem. Wystarczy spojrzeć na zdjęcia Berlina z lat 1945–46. W parku Tiergarten prawie nie ma drzew. Te, które przetrwały alianckie naloty, zostały zużyte na opał. Ziemię ludzie podzielili i posadzili w niej warzywa. Za pożywienie służyły też padłe konie. Albo resztki mąki z rozładowywanych worków – pospiesznie zgarniane przez dzieci, aby w domu było z czego upiec chleb.

Mechanizm obronny

Nędzę tamtych dni dobrze oddaje też film Roberta Rosselliniego „Niemcy – rok ze-

rowy”, kręcony w Berlinie w 1947 r. To opowieść o 12-latku zmuszonym do handlu na czarnym rynku, aby wyżywić rodzinę, bo przydziały kartkowe są niewystarczające. Zdesperowany chłopak posuwa się do otrucia ciężko chorego ojca, który ma świadomość, że jest obciążeniem dla najbliższych. W końcu nastolatek odbiera życie także sobie.

Jeszcze zimą 1946/47 r. Niemcom dawał się we znaki głód. Kardynał Joseph Frings, arcybiskup Kolonii, w pamiętnym kazaniu sylwestrowym usprawiedliwił nawet drobną kradzież, jeśli kradnący



MONIKA SKOLIMOWSKA / DPA / PAP

„Ludzki łańcuch” w Dreźnie w rocznicę alianckiego nalotu, 13 lutego 2018 r.

lub jego bliscy cierpią głód. Zaopatrzenie w zachodnich strefach okupacyjnych definitywnie poprawiło się dopiero po reformie walutowej z 1948 r. Wschód, pozabawiony amerykańskiej pomocy i rozgrabiony przez Sowietów, jeszcze dłużej dźwigał się z zapaści.

Błyskawicznie znikają za to symbole brunatnego reżimu i jego jawni wyznawcy. Dostrzegli to już alianccy żołnierze, którzy w 1945 r. posuwali się w głąb Rzeszy. „Nie było nazistów, również byłych nazistów, a nawet żadnego sympatyka nazistów” – notował z sarkazmem kronikarz amerykańskiej 78. Dywizji Piechoty. „Wszyscy Niemcy zachowują się tak samo, gdy chce się ich aresztować. Mówią, że nigdy poważnie nie wierzyli w narodowy socjalizm” – pisała 15 kwietnia 1945 r. amerykańska gazeta wojskowa „The Stars and Stripes”. Ci, którzy nie byli w stanie wyprzeć się długoletniego członkostwa w NSDAP, zapewniali, że zapisali się do partii bez przekonania, „nie chcąc iść przeciwko ogólnemu prądowi” – jak twierdził lekarz SS Johann

Paul Kremer, skazany za zbrodnie w Auschwitz.

„Chodziło o mechanizm obronny” – uważa Sven Felix Kellerhoff, szef działu historycznego dziennika „Die Welt”. W szczytowym okresie, pod koniec wojny, NSDAP miała 8,5 mln członków. Tym samym do partii nazistowskiej należał więcej niż co dziesiąty Niemiec. Jeśli odliczyć nieletnich – nawet co siódmy. A jeśli uwzględnić różne przybudówki NSDAP, jak Front Pracy, Hitlerjugend czy Narodowosocjalistyczną Wspólnotę Kobiet, śmiało można powiedzieć, że większość obywateli przynajmniej biernie współtworzyła brunatny reżim. Niezależnie od tego, czy w 1932 i 1933 r. głosowali na NSDAP.

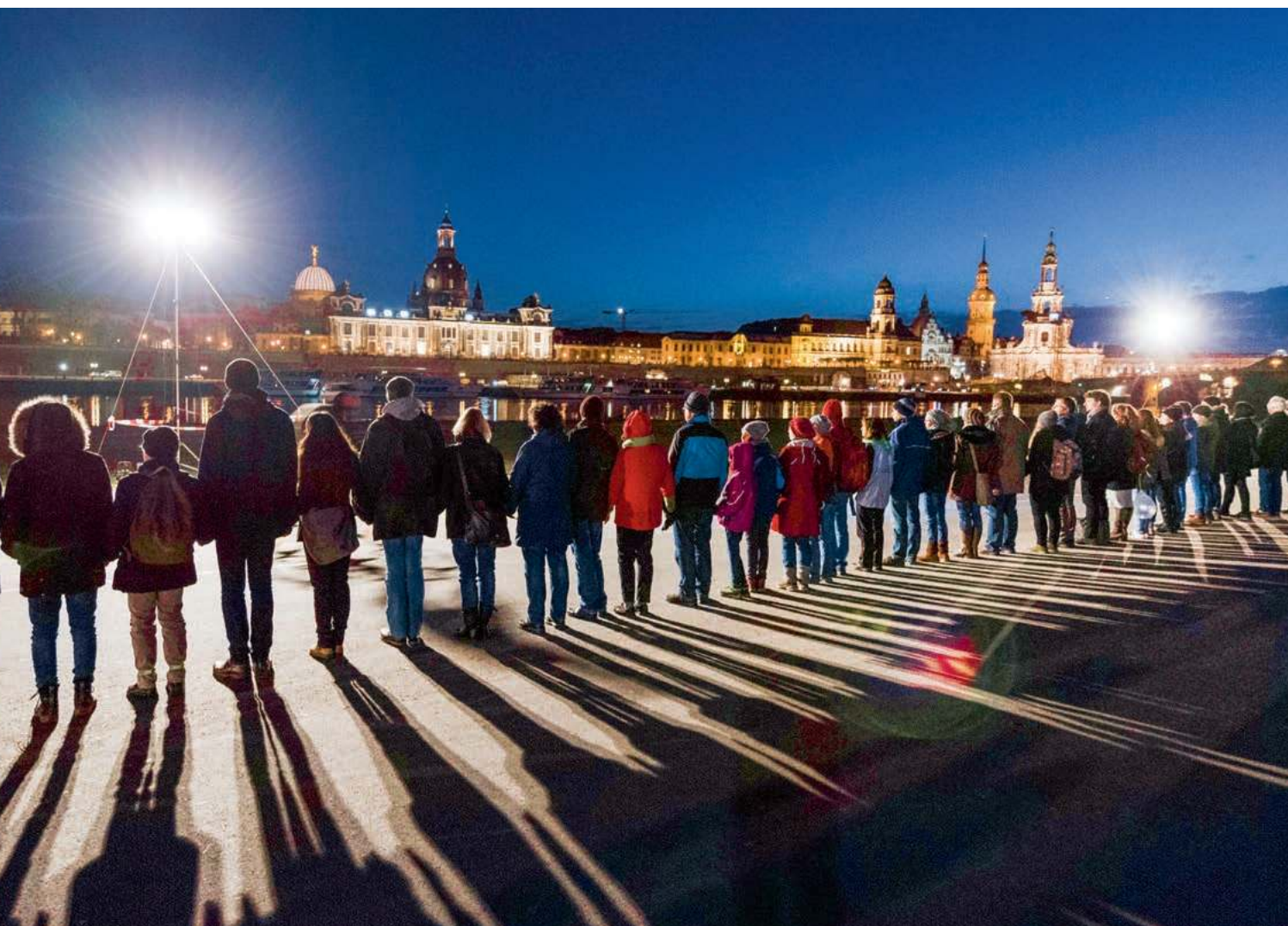
Długa droga do rozrachunków

Denazyfikacja okazała się powierchowna. W Niemieckiej Republice Demokratycznej, utworzonej w 1949 r. z sowieckiej strefy okupacyjnej, byli naziści na ogół mogli spać spokojnie, jeśli wybrali lojalność wobec komunistycznych

władz. W wolnorynkowej Republice Federalnej Niemiec tym bardziej nie było klimatu do rozliczeń.

– Panowała mentalność odbudowy. O III Rzeszy nie rozmawiano, a jeśli, to o „nazistach”, jakby byli kosmitami, którzy w 1945 r. odlecieli swoim spodkiem – mówi „Tygodnikowi” dr hab. Jochen Böhrer, historyk z Uniwersytetu Schillera w Jenie. – Żołnierze wracający z wojny i z niewoli milczeli w domu o strasznych zbrodniach, których byli świadkami albo których sami się dopuścili. Nie mówiło się o ofiarach niemieckiej wojny na wyniszczenie prowadzonej na Wschodzie. Tylko ogólnie o tym, że wojna to „coś złego”.

Jeśli opłakiwano ofiary, to przede wszystkim własne. Tak jak w fabularnym filmie „Nacht fiel über Gotenhafen” („Noc zapadła nad Gdynią”) z 1960 r., opowiadającym o ucieczce cywilów z Prus Wschodnich i tragedii statku „Wilhelm Gustloff”, storpedowanego przez sowiecki okręt podwodny. Zekranizowana ostatnio powieść Siegfrieda Lenza „Der Überläufer” →



→ („Dezerter”) z 1951 r. przez długie lata leżała w szufladzie. Wydawca przestraszył się książki o żołnierzach Wehrmachtu, którzy przeszli na stronę Armii Czerwonej. W czasach narastającej zimnej wojny między Wschodem a Zachodem takie historie nie były dobrze widziane. W RFN w cenie był antykomunizm.

Pielęgnowano zarazem mit rycerskiego Wehrmachtu – rzekomo apolitycznej instytucji, która nie miała nic wspólnego ze zbrodniami formacji policyjnych i SS. Służba wojskowa w latach 1939–45 była postrzegana jako spełnienie obowiązku wobec ojczyzny. Nad spiskowcami z armii, którzy 20 lipca 1944 r. próbowali zabić Hitlera, jeszcze długo po wojnie ciążyło odium zdrajców. Wdowy po nich miały trudności z uzyskaniem renty oficerskiej, choć równolegle wypłacano świadczenia żonom nazistowskich zbrodniarzy skazanych na śmierć. Dopiero w 1952 r. prokurator Fritz Bauer zdołał doprowadzić do sądowej rehabilitacji spiskowców z 20 lipca – ich rodzinom otworzyło to drogę do dochodzenia swoich praw.

Dwa państwa, dwa modele

Rosło jednak nowe pokolenie, które nie pamiętało III Rzeszy, wychowywane nie bez wpływu zwycięskich mocarstw, próbujących – mniej lub bardziej skutecznie – oddziaływać na kształt programów szkolnych i odradzających się mediów. Pod koniec lat 60. młodzi coraz śmielej dochodzili do głosu w RFN, zadając rodzicom i dziadkom niewygodne pytania o postawę w czasach narodowego socjalizmu.

W listopadzie 1968 r. niespełna 30-letnia Beate Klarsfeld publicznie spoliczkowała kanclerza Kurta Georga Kiesingera, nazywając go nazistą. Kiesinger, wówczas polityk chadeckiej CDU, rzeczywiście należał w przeszłości do NSDAP. Ale gest Klarsfeld stał się też symbolem protestu

przeciw bezkarności wielu brunatnych zbrodniarzy i – szerzej – zbywaniu młodego pokolenia niemieckich win. Z czasem rosła w RFN ich świadomość, przynajmniej w odniesieniu do zagłady Żydów. Pomogły w tym procesy esesmanów z Auschwitz (trwające we Frankfurcie nad Menem od 1963 r.), a jeszcze bardziej głośne produkcje filmowe, jak fabularny „Holocaust” Marvina Chomsky’ego (1978) i dokumentalny „Shoah” Claude’a Lanzmanna (1985).

Inaczej wyglądało to w NRD, gdzie odolne debaty o przeszłości nie były możliwe. Socjalistyczne państwo starało się centralnie sterować pamięcią społeczeństwa. Każdego 8 maja, w rocznicę „wyzwolenia od hitlerowskiego faszyzmu” (w latach 1950–67 i w 1985 r. obchodzonego w NRD jako oficjalne święto), czołowi politycy i działacze komunistycznej młodzieżówki karnie pielgrzymowali pod monumentalny pomnik czerwonoarmistów, odsłonięty w 1949 r. w berlińskiej dzielnicy Treptow. Podobne uroczystości odbywały się w innych miastach, np. na grobach sowieckich żołnierzy.

– Wszędzie składano kwiaty, recytowano wiersze, śpiewano pieśni. W gazetach pełno było podziękowań pod adresem Związku Sowieckiego i bohaterów czerwonoarmistów – wylicza Stefan Wolle. – Śpiętrzeniem tego kiczu były okrągłe rocznice – dodaje. W trzydziestą, przypadającą w roku 1975, na wzór sowiecki obchodzono 9 maja jako dzień zwycięstwa. Chodziło o „historyczne znaczenie zwycięstwa Związku Sowieckiego w II wojnie światowej”.

„Niemiecka Republika Demokratyczna nigdy nie przedsięwzięła wojny zaborczej ani nie użyła swoich sił zbrojnych przeciwko wolności innego narodu” – patetycznie zapisano w konstytucji z 1968 r. Deklarowany pacyfizm – jeden z filarów ideologicznych NRD – nie przeszkadzał wschodni Niemcom przywódcom partyjnym naciskać

na „bratnią pomoc” Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, która w tym samym 1968 r. próbowała wprowadzić „socjalizm z ludzką twarzą”, oraz w Polsce, gdy w latach 1980–81 trwała rewolucja Solidarności.

Z czasem enerdowski reżim coraz chętniej odwoływał się też do dziedzictwa Prus, czego wymownym świadectwem było w 1980 r. przywrócenie pomnika Fryderyka Wielkiego w reprezentacyjnej stołecznej alei Unter den Linden. Nad Wisłą budziło to najgorsze skojarzenia z czasami rozbiorów.

Niemcy bezżębne

Obawy niektórych publicystów, że duch pruskiego militarysty zwycięży po 1990 r. w zjednoczonych Niemczech, na szczęście okazały się bezpodstawne. Wygrywa wyraźnie pacyfizm – nie w karykaturalnym enerdowskim wydaniu, lecz w złagodzonej wersji ruchów studenckich i ekologicznych z RFN.

„Nigdy więcej wojny!” – powtarzają od lat niemieccy dziennikarze i politycy. Wehrmacht – zwłaszcza od czasu głośniejszej wystawy z 1995 r. o jego zbrodniach – jest skompromitowany, ale także Bundeswehra nie cieszy się powszechnym szacunkiem. Gdy większość muzeów wojskowych na świecie oddaje hołd żołnierzom i głosi chwałę oręża, Muzeum Wojskowo-Historyczne Bundeswehry w Dreźnie – otwarte po gruntownej przebudowie w 2011 r. – to raczej krzyczące ostrzeżenie przed wojną i jej potwornościami. Armii ufa niespełna połowa (45 proc.) Niemców, dużo mniej niż policji, lekarzom (po 80 proc.) czy choćby własnemu pracodawcy (68 proc.) – dowodzi tegoroczny sondaż na zlecenie telewizji RTL i ntv.

Dziś – 75 lat po wojnie wywołanej przez Niemcy – paradoksalnie to zagraniczni partnerzy coraz częściej domagają się od Berlina większego zaangażowania militarnego. Z marnym rezultatem. Choć

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 19/2020

REDAKCJA: Wojciech Pięciak

OKŁADKA: Marek Zalejski | TP TYPOGRAFIA: Marta Bogucka | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn

WSPÓŁWYDAWCA:

PARTNERZY:



Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

kraje NATO zobowiązały się wydawać na obronność 2 proc. PKB, kanclerz Merkel obiecała sojusznikom jedynie 1,5 proc. Okazuje się, że tylko 15 proc. społeczeństwa uważa, że to za mało – pokazuje sondaż ośrodka YouGov z 2018 r. Prawie połowa badanych chciałaby też wycofania z ich kraju wojsk amerykańskich.

„Niemcy mają problem. Są tak przeziąknięci pacyfizmem, że praktycznie są niezdolni do tego, aby się bronić” – komentuje magazyn „The European”. Owszem, w 1999 r. niemieckie lotnictwo wzięło udział w nalotach NATO na Jugosławię. Jednak nawet idea wojny sprawiedliwej – mającej zapobiec rzeziom cywilów i katastrofom humanitarnym – jest w Niemczech traktowana nieufnie.

Ówczesny lewicowy rząd tłumaczył więc, że interwencja na Bałkanach ma zapobiec „drugiemu Auschwitz”. Niedolę Albańczyków prześladowanych przez reżim Slobodana Miloševića porównywano też z losem tych Niemców, którzy u schyłku II wojny światowej zostali pozabawieni stron ojczystych.

Powrót własnych ofiar

Nie przypadkiem to właśnie w 1999 r. Związek Wypędzonych Eriki Steinbach wysunął projekt budowy Centrum przeciwko Wypędzeniom. W Polsce podniosły się głosy, że to próba pisania historii na nowo i zamiany katów z ofiarami. Ale przekonanie, że także własnym ofiarom II wojny światowej należy się upamiętnienie, stopniowo zwyciężało również w środowiskach niemieckiej lewicy. W 2002 r. głośno było za Odrą o powieści Güntera Grassa „Idąc rakiem”, osnutej wokół tragedii statku „Wilhelm Gustloff”. W tym samym czasie w bestsellerowej książce „Pozoga” Jörg Friedrich – wcześniej przypominający o zbrodniach Wehrmachtu w kampanii sowieckiej – opisał alianckie bombardowania Rzeszy, ustawiając je na jednej płaszczyźnie ze zbrodniami niemieckimi.

Temat niemieckich ofiar podjęli wkrótce filmowcy. „Die Flucht” („Ucieczka”) z 2007 r. opowiada o dramatycznych losach Niemców, którzy w 1945 r. uciekali z Prus Wschodnich przed Armią Czerwoną. „Kobieta w Berlinie” (2008) przypomina o sowieckich gwałtach na Niemkach. „Die Gustloff” (2008) to znów tragedia niemieckich uchodźców. Wymienione produkcje

■ Paradoksalnie 75 lat po tamtej wojnie to zagraniczni partnerzy coraz częściej domagają się od Berlina większego zaangażowania militarnego i większych wydatków na obronność.

miały budżety liczone w milionach euro i były prezentowane w najlepszym czasie antenowym. „Morał wszystkich tych opowieści brzmi: również Niemcy cierpieli” – podsumowuje dziennik „Der Tagesspiegel”.

– Upamiętnianie własnych ofiar jest niezmiennie istotne dla każdego społeczeństwa i nie jest niczym złym – przekonuje Jochen Böhrer, znany z książek o zbrodniach Wehrmachtu w Polsce. Jego zdaniem problem powstaje wówczas, gdy niemieckie ofiary II wojny światowej próbuje się zrównać z ofiarami niemieckiej okupacji i zbrodni przeciwko ludzkości. – To nie do przyjęcia z powodów moralnych, bo bez masowych zbrodni niemieckich nie doszłoby do wypędzenia Niemców ani bombardowań niemieckich miast – tłumaczy historyk.

Nie dla wszystkich środowisk w Niemczech jest to oczywiste. „Kultowi winy” przez lata sprzeciwiała się neonazistowska Narodowodemokratyczna Partia Niemiec (NPD), w skali kraju będąca na szczęście – mimo obecności w niektórych wschodnionieemieckich parlamentach regionalnych – zjawiskiem marginalnym. Dziś w podobne tony uderza Alternatywa dla Niemiec (AfD). Ją trudno już uznać za polityczny margines, jest to bowiem największa siła opozycyjna w Bundestagu.

Bardziej umiarkowani działacze AfD, jak Alexander Gauland, przekonują, że „Hitler i naziści są tylko ptasim gównem” w przeszło tysiącletniej historii Niemiec, ergo: nie warto wciąż przypominać o III Rzeszy. Inni, jak Björn Höcke, chcą wręcz, by w niemieckiej polityce pamięci dokonał się „zwrot o 180 stopni”. „My, Niemcy, jesteśmy jedynym naro-

dem świata, który postawił sobie w sercu stolicy pomnik hańby” – uważa Höcke. Chodzi o Pomnik Pomordowanych Żydów Europy, odsłonięty w 2005 r. nieopodal Bramy Brandenburskiej. Polityk AfD woli przypominać o niemieckich ofiarach – choćby zburzenia Drezna w lutym 1945 r. Stąd już niebezpiecznie blisko do radykałów, którzy alianckie bombardowania nazywają „Holokaustem bombowym” i relatywizują Szoah.

Odrobiona lekcja?

Zagłada europejskich Żydów to dziś słusznie jeden z fundamentów niemieckiej pamięci o II wojnie światowej. Projekt postawienia w Berlinie pomnika polskich ofiar wciąż nie znalazł tymczasem poparcia większości parlamentarnej. A jeśli w niemieckiej kulturze popularnej pojawiają się wątki polskie, to bywa, że zgrzytamy zębami. Przykładem nieszczęsny serial „Nasze matki, nasi ojcowie” z 2013 r., w którym Armia Krajowa została sportretowana jako siedlisko antysemitów. Irytujemy się, że Niemcy czczą swój skromny ruch oporu, a nie dostrzegają fenomenu Polskiego Państwa Podziemnego. Złościmy się, gdy hamburski „Der Spiegel” pisze na okładce o „europejskich współnikach Hitlera” i wymienia wśród nich polskich szmalcowników.

Chcielibyśmy, aby w niemieckich podręcznikach więcej było o historii Polski i polskich ofiarach. Nielatwo będzie do tego doprowadzić. Większość (55 proc.) badanych za Odrą uważa, że o zbrodniach nazistowskich Niemiec przypomina się w dostatecznym stopniu. Tylko co szósty (17 proc.) jest zdania, że mówi się o nich zbyt mało – wynika z sondażu ośrodka Infratest dimap dla Deutsche Welle, którego wyniki zaprezentowano w styczniu tego roku.

Niemcy mają poczucie, że dobrze odrobili lekcję historii. Nic jednak nie jest dane raz na zawsze. Wiedzę o tamtym 8 maja i poprzedzającym go 1 września trzeba – jak szczepionkę przeciwko grypie – regularnie powtarzać.

© FILIP GAŃCZAK

AUTOR jest historykiem, pracownikiem IPN w Warszawie. Opublikował książki: „Jan Sehn. Tropiciele nazistów”, „Polski nie oddamy. Władze NRD wobec wydarzeń w PRL 1980–1981”, „Filmowcy w matni bezpieki”, „Erika Steinbach: piękna czy bestia?”.

Długa droga ku normalności

NORBERT LAMMERT, BYŁY PRZEWODNICZĄCY BUNDESTAGU:

Relacje Niemiec z Polską są i będą relacjami szczególnymi, z historycznego i moralnego punktu widzenia.

WOJCIECH PIĘCIAK: W 1996 r., po 50. rocznicy końca II wojny światowej, w Niemczech ukazała się ciekawa książka: rozmowa, czasem przeradzająca się w ostry spór, między jednym z liderów chadecji Wolfgangiem Schäuble i szefem Rady Żydów w Niemczech Ignatzem Bubisem. Wtedy, po zjednoczeniu, w Niemczech toczyło się wiele dyskusji, w których centrum była XX-wieczna historia. Prowadzący rozmowę Schäuble-Bubis dziennikarz Frank Schirrmacher podsumował wówczas, że wspólnym mianownikiem tych debat jest konflikt, w którym są dwie „szkoły”: jedna uważa, że narodowy socjalizm i zwłaszcza Holokaust to centrum, nieszczęsne centrum niemieckiej historii. Druga, że to straszne, ale tylko momenty, które nie powinny rzucać cienia na całą tę historię. Jak dziś wygląda ten konflikt? Gdzie umiejscawia się II wojnę?

NORBERT LAMMERT: 35 lat temu, 8 maja 1985 r., ówczesny prezydent Richard von Weizsäcker powiedział podczas wystąpienia w Bundestagu, że „8 maja 1945 r. był dniem wyzwolenia”. Gdy formułował to zdanie, nie był to pogląd podzielany przez większość Niemców, lecz nowa interpretacja. Dziś, 75 lat po tamtej wojnie, podziela go zdecydowana większość Niemców, którzy są świadomi swej historii. Wiemy, że 8 maja 1945 r. zakończyła się światowa wojna, którą zaczęły Niemcy, niemiecki rząd. I którą prowadziły z wyjątkową energią oraz pogardą dla ludzi, co kosztowało życie ponad 60 mln istnień.

8 maja był dla całego kontynentu dniem wyzwolenia od narodowego socjalizmu. Tyle że dla Niemców nie był to dzień samowyzwolenia. Nawet jeśli nie zapominamy dziś o nieudanych próbach obalenia Hitlera, podejmowanych przez odważnych Niemców z ruchu oporu, na-

sza pamięć i szacunek kierują się głównie ku tym, którzy zakończyli tę tyranię, za cenę niewyobrażalnych strat, oraz ku tym, którzy musieli cierpieć za sprawą tej tyranii.

Dla nas 8 maja to był równocześnie koniec i początek. Było to wyzwolenie, bo dopiero koniec wojny pozwolił Niemcom zacząć na nowo, pozwolił kształtować przyszłość inaczej, lepiej. Równocześnie ten nowy początek był obciążony skutkami II wojny: z jednej strony była Karta ONZ i ambitny projekt, by europejskie nacjonalizmy przezwyciężyć poprzez wspólnotę państw, a z drugiej strony atomowa konfrontacja oraz podział świata i naszego kraju, który trwał kilka dekad. W za chodnich strefach okupacyjnych Niemcy wyciągnęli antytotalitarne lekcje z przeszłości i wkroczyli – najpierw w Republice Federalnej, a po zjednoczeniu w 1990 r. już razem – na „długą drogę ku Zachodowi”, jak nazwał to jeden z historyków. Właśnie dlatego, że 8 maja Niemcy nie wyzwolili się sami, nasze spory o przeszłość były procesem bolesnym, mającym też charakter wewnętrznego wyzwolenia – nie po to, by uwolnić się od historii, lecz przeciwnie: by stawić jej czoło. Tylko ze świadomością naszych gorzkich doświadczeń – o tym jesteśmy przekonani – możemy odpowiedzialnie kształtować polityczną teraźniejszość i przyszłość, i służyć wolności i pokojowi w świecie.

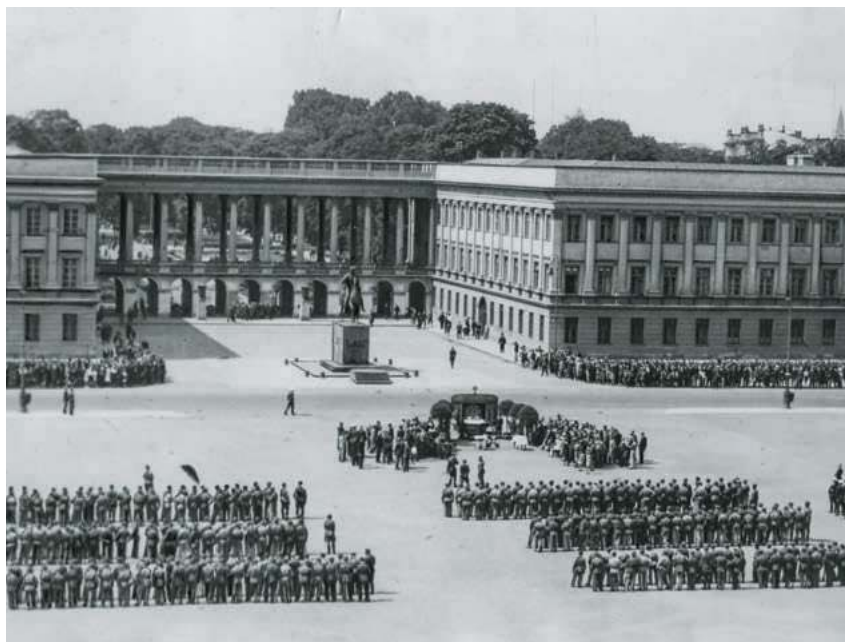
Bubis, który przeżył Holokaust, mówił często, że jego celem jest nowa normalność między Niemcami i Żydami mieszkającymi w Niemczech. Tymczasem gdy jakiś niemiecki polityk mówi o „normalności”, łatwo o wrażenie, że chce odkreślić przeszłość „grubą kreską”. Niektórzy politycy AfD mówią to dziś zresztą otwarcie. Jak jest z tą „normalnością” między Niemcami i ich ówczesnymi ofia-

rami? Między Niemcami i Żydami, Niemcami i Polakami?

W relacjach między Niemcami i Polską nie może być i w jakiejś przewidywalnej przyszłości nie będzie „normalności”, w ścisłym znaczeniu tego słowa. I tym bardziej nie może jej być w relacji między Niemcami i Żydami oraz Republiką Federalną i Izraelem. Po prostu: z powodu niewymownych zbrodni, które Niemcy popełnili w czasie dyktatury narodowo-socjalistycznej, dwustronne relacje Niemiec z Polską i Izraelem są relacjami szczególnymi – z historycznego i moralnego punktu widzenia.

Tak jak to było w przeszłości, tak też w przyszłości jednym z fundamentów relacji polsko-niemieckich musi być pamięć i wynikająca z niej świadomość wspólnej historii. Ani Niemcy, ani Polacy nie mogą kształtować swojej przyszłości, wypierając czy kwestionując swoją przeszłość. Bo Niemcy i Polacy mają nie tylko wspólną granicę, lecz dzielą ze sobą przede wszystkim wspólną historię – historię, która stoi pod znakiem nie tylko cierpienia i winy, lecz także wielkich wspólnych przekonań i wysiłków. Ponieważ jednak w tej historii granice odgrywały często fatalną, zgubną rolę, i z powodu odmiennych percepcji po obu stronach tej granicy, dialog między nami jest nieodzowny.

Ten dialog zaczął się wkrótce po wojnie. Np. w 1947 r. mieliśmy pierwsze spotkanie młodzieży niemieckiej w Gemen i przyjęte wtedy przesłanie „do polskiej młodzieży”. Wydaje mi się, że był to pierwszy powojenny dokument, w którym wzywano Polaków i Niemców, by jako chrześcijanie budowali przyszłość w pokoju i przyjaźni [w 1947 r. młodzi katolicy wysiedleni z Gdańska powołali tam Gemeinschaft der Danziger Katholischen Jugend, Stowarzyszenie Gdańskiej Młodzieży Katolickiej, na bazie którego w 1960 r. powstał Adalbertus-Werk, Dzieło im. Świętego Wojciecha; było to



LEON JARUMSKI / NAC

Msza polowa na obecnym placu Piłsudskiego. W tle Pałac Saski, z którego po II wojnie światowej pozostanie tylko fragment kolumnady z Grobem Nieznanego Żołnierza. Warszawa, 7 sierpnia 1932 r.

środowisko wysiedleńców, które od początku opowiadało się za porozumieniem z Polską – red.]. Wtedy nikt nie uważał za możliwe, że Polacy i Niemcy będą kiedyś sąsiadami w wolnej i zjednoczonej Europie. To właściwie cud. A my jesteśmy wspólnie odpowiedzialni, by tego nie za-przepaścić.

Mniej więcej 20 lat temu w Niemczech pojawił się trend, by w centrum uwagi stawiać na nowo własne ofiary. Zaczęło się od Centrum przeciw Wypędzeniom, spornego także w Niemczech, ale potem stało się to mainstreamem. Telewizja publiczna zaczęła podejmować w filmach takie tematy jak wysiedlenia czy naloty. Czasem nie były to filmy udane, np. serial „Nasze matki, nasi ojcowie”. W Polsce patrzono na to z niepokojem, w 2005 r. publicysta Janusz Reiter pisał, że „Niemcy nie rozumieją dziś Polaków, a Polacy nie ufają dziś Niemcom”. Jak to wygląda obecnie?

Nie mam wrażenia, aby w Niemczech faktycznie był taki trend, tak opisany. Być może tu i tam są w Niemczech czasem próby, aby niemieckie ofiary, jak pan to nazwał, „stawiać w centrum uwagi” w jakiś szczególny sposób – i aby wykorzystać je instrumentalnie przeciwko innym ofiarom. Środowiska, z jakich po-

dejmowane są takie próby, są przy tym stale te same – i nasza polityka oraz społeczeństwo obywatelskie polemizują, stale i stanowczo, z takimi próbami. Podczas przemówienia, wygłoszonego w lutym tego roku w Dreźnie [w 75. rocznicę alianckiego nalotu, który zniszczył miasto – red.], prezydent Frank-Walter Steinmeier mówił trafnie: „Walcmy wspólnie przeciwko tym wszystkim, którzy chcą nadużyć pamięć i wykorzystać ją jako amunicję, aby toczyć swoje ideologiczne bitwy!”.

Od jakiegoś czasu między Warszawą i Berlinem jest punkt sporny: kwestia materialnego naprawienia wojennych szkód, czyli reparacji. Oficjalnie nie ma jej na porządku dziennym, ale obciąża nasze relacje. Stanowisko Berlina jest znane. Z drugiej strony większość Polaków – niezależnie od sympatii do rządu – uważa, że Niemcy nie zadośćuczynili materialnie za tamtą wojnę. Może dałoby się rozwiązać tę kwestię pragmatycznie, np. w ten sposób, że Niemcy wesprą modernizację polskiej armii? Precedens jest: Niemcy od dawna współfinansują izraelskie zbrojenia. Ostatnio rządy Kohla, Schrödera i Merkel współfinansowały budowę w niemieckich stocznich floty okrętów podwodnych. Dziś te okręty przeno-

szą rakiety atomowe, co zapewnia Izraelowi zdolność do uderzenia odwetowego, czyli jest gwarancją jego bezpieczeństwa.

Jak już mówiłem, relacje Niemiec z Polską oraz Niemiec z Izraelem są w obu tych przypadkach szczególne. Przy czym trudno jest je porównywać czy sobie przeciwstawiać, bo z punktu widzenia bezpieczeństwa obu krajów, Izraela i Polski, ich położenie jest jednak odmienne, podobnie jak odmienne były uwarunkowania w punkcie wyjścia, jak też aktualne tendencje w relacjach politycznych, społecznych i gospodarczych. W odróżnieniu od każdego innego kraju, zwłaszcza w Europie, w przypadku Izraela kwestionowane jest nadal i zwalczane nawet jego prawo do istnienia. Również dlatego niemiecko-izraelska współpraca w dziedzinie militarnej, zbrojeniowej, ma długą i specyficzną historię. Jednak także z Polską Niemcy utrzymują w sferze polityki bezpieczeństwa bliskie kontakty – zarówno na poziomie dwustronnym, między armiami obu krajów, jak też na poziomie ponadnarodowym w ramach NATO i Unii Europejskiej. W obu organizacjach jesteśmy sojusznikami, którzy obiecali sobie wzajemne wsparcie militarne w razie zagrożenia.

Jesteśmy świadomi, że nie da się naprawić tych wszystkich zbrodni i cierpień, których Niemcy dopuścili się w Polsce. To, czy również w przyszłości Republika Federalna mogłaby w jakiś szczególny sposób przyczynić się np. do odbudowy zniszczonych miejsc, takich jak Pałac Saski w Warszawie, powinno zostać rozstrzygnięte na odpowiednim szczeblu politycznym. Jednak z mojego punktu widzenia istotniejsze jest, aby wspierać – także finansowo – polsko-niemiecką przyjaźń w sferze społeczeństwa obywatelskiego. Bo jest to właśnie ta sfera, która najprędzej zapewni długofalową jakość i stabilność relacji polsko-niemieckich – z pożytkiem dla obu krajów.

© Rozmawiał WOJCIECH PIĘCIAK



NORBERT LAMMERT

(ur. 1948) jest politykiem niemieckiej chadecji (CDU), w latach 2005-17 był przewodniczącym

Bundestagu. Z wykształcenia historyk i politolog; wykładowca i profesor Uniwersytetu Ruhr w Bochum. Od 2018 r. przewodniczący Fundacji Konrada Adenauera.

Pobieda online

ANNA ŁABUSZEWSKA

Epidemia COVID-19 i spadek cen ropy zaburzyły plan Kremla: świętowania Dnia Zwycięstwa i równoczesnego utrwalenia władzy Władimira Putina.

Obchody 75. rocznicy zwycięstwa „w wielkiej wojnie ojczyźnianej 1941–1945” – bo tak wygląda ona z rosyjskiej perspektywy – miały być w Moskwie i w Rosji huczne jak nigdy dotąd. Powołany przez prezydenta komitet organizacyjny planował w całym kraju liczne konkursy, koncerty, akademie i defilady. Niebawym rozmach jubileuszu miał pokazać światu, że Rosja jest zwycięzcą, który nie pozwoli sobie wyrwać przywileju dyktowania historycznej narracji. Uroczystości miały być także kolejnym liściem laurowym zdobiącym skroń Władimira Putina – obrońcy jedynie słusznej wersji historii i gwaranta potęgi państwa.

Bombastyczne plany przyszło pospieszyć korygować: przygotowania do świętowania Dnia Zwycięstwa zeszyły na dalszy plan pod naporem epidemii COVID-19, a także spadku cen ropy naftowej. Te dwa czarne łabędzie odebrały show *Pobiedzie*.

Koronawirus nie świętuje

Plan Kremla był prosty. Najpierw 22 kwietnia ogólnonarodowe głosowanie nad poprawkami do konstytucji, w tym najważniejszą: przyznającą Putinowi prawo wyzerowania dotychczasowych kadencji prezydenckich i startu w kolejnych wyborach w 2024 r. A zaraz potem, 9 maja, obchody 75-lecia *Pobiedy* z wielką defiladą prezentującą najnowsze rakiety balistyczne i inne produkty przemysłu zbrojeniowego. Oba te wydarzenia miały zamknąć cykl kolejnej operacji umacniania władzy Putina na wieczność. Kult „wielkiego zwycięstwa” jest jednym z najważniejszych filarów jego tronu, fundamentem tożsamości mocarstwowej – stąd w putinowskiej Rosji nadano wielkiej wojnie ojczyźnianej status sakralny.

Nabierająca tempa kampania medialna, wprowadzająca Rosjan w stan euforii w związku ze zbliżającym się Dniem Zwycięstwa, wyhamowała już pod ko-

niec marca. Najpierw prezydent ogłosił w orędziu, że w obliczu zagrożenia zdrowia i życia obywateli przez epidemię plebiscyt konstytucyjny ma być przeniesiony na przyszłość, gdy sytuacja się ustabilizuje. Potem przyszedł czas na weryfikację planów obchodów 9 maja. Wprawdzie z początkiem kwietnia na podmoskiewskim poligonie Ałabino odbyła się pierwsza próba defilady, wzięło w niej udział kilkanaście tysięcy żołnierzy. Jednak kolejne przymiarki już wstrzymano z uwagi na zagrożenie epidemiczne. Ostatecznie, 16 kwietnia, przychylając się do prośby weteranów, prezydent odwołał główną moskiewską defiladę.

W mediach pojawiły się sugestie, że decyzja zapadła, gdy okazało się, że w szkole kadetów, którzy mieli jak zwykle wziąć udział w paradzie, wykryto ponad 30 przypadków zakażenia koronawirusem. To miała być kropla przepełniająca czarę i przełamująca wahanie prezydenta, który teraz od nowa musi ustawiać figury na szachownicy, chwiejącej się pod naporem niekorzystnych zjawisk.

Nie tylko defilada została przełożona, także festyny i inne imprezy masowe, planowane na 9 maja. W tym marsz „Nieśmiertelny pułk”, którego uczestnicy niosą portrety swoich przodków – uczestników wojny. Uroczystości mają się odbyć w innym terminie. Kiedy? Na razie nie wiadomo. Rozpatrywane są: 24 czerwca (tego dnia w 1945 r. odbyła się w Moskwie pierwsza defilada zwycięstwa), 3 września (dzień zakończenia II wojny światowej po pokonaniu Japonii, o czym więcej poniżej) lub 7 listopada – tego dnia, w rocznicę rewolucji październikowej, odbyła się w 1941 r. słynna defilada, której uczestnicy pomaszerowali prosto na front bronić Moskwy, pod którą podeszli Niemcy.

Rocznica tej defilady jest rokrocznie fetowana w putinowskiej Rosji: stanowi ważny element heroizacji kiepsko wy-



szkolonych i wyekwipowanych ochotników, rzuconych do walki w obronie stolicy. Putin z dumą podkreśla, że był to początek powstrzymania Blitzkriegu.

Klucz do teraźniejszości

W rosyjskiej telewizji często powtarzanym przerwanikiem między programami jest dziś krótki materiał przypominający różne ważne wydarzenia z historii Rosji. Spoiwem łączącym wątki jest hasło: „Nasza przeszłość to klucz do teraźniejszości”. Podkreśla to wagę historii w kształtowaniu tożsamości narodu. W ujęciu telewizyjnej propagandy przeszłość jest zawsze wielka, nigdy wstydliwa. W tej wersji II wojny światowej, utrwalonej jeszcze w czasach sowieckich, „wyjęto” więc okres 1939–41, gdy Stalin zawarł sojusz z Hitlerem, dokonał rozbioru Polski, aneksji państw bałtyckich i najechał Finlandię (znamiennie, że przegrana wojna zimowa z Finlandią, znajdująca się na indeksie w Związku Sowieckim, do dziś właściwie nie istnieje w ofi-



MARTIN DIVISEK / EAP / PAP

cialnej narracji). Dla przeciętnego Rosjanina II wojna światowa zaczęła się więc 22 czerwca 1941 r.

I zakończyła się 9 maja 1945 r. zdobyciem Berlina przez Armię Czerwoną. Przez wszystkie powojenne lata podkreślano pewien niuans – świat zachodni obchodził rocznicę zakończenia wojny 8 maja, a Związek Sowiecki dzień później (akt kapitulacji podpisano 8 maja późnym wieczorem, w Moskwie było już po północy) – zaznaczając w ten sposób odrębność postrzegania zwycięstwa.

Kilka lat temu w oficjalnych rosyjskich mediach zaczęto przypominać też o 2 września 1945 r. jako dacie definitywnego końca tamtej wojny, gdy Japonia podpisała akt bezwarunkowej kapitulacji na pokładzie pancernika USS „Missouri”. Nieoczekiwanie 14 kwietnia tego roku deputowani Dumy Państwowej przegłosowali ustawę o przeniesieniu daty zakończenia wojny z 2 na 3 września, bo dopiero wtedy władze sowieckie wydały odpowiedni edykt, potwierdzający zakończenie działań wojennych.

Własna narracja, własne daty

Inicjatywa ta zdziwiła obserwatorów i nie została praktycznie dostrzeżona przez ogół społeczeństwa, zajętego epidemią i pogarszającym się stanem gospodarki. Natomiast idea urządzania pikników zwycięstwa 3 września spotkała się z krytyką samego prezydenta, który zaznaczył, że radosne fetowanie byłoby nie na miejscu w przypadającą na ten dzień bolesną rocznicę Biesłanu (3 września 2004 r. doszło do szturmu na opanowaną przez czecheńskich terrorystów szkołę w tym północnoosetyjskim mieście, zginęły 334 osoby).

Nowa data zakończenia wojny, „poprawiona” ostatnio przez deputowanych, wpisuje się w tok myślenia rosyjskich polityków o wojnie i jej spuście. Podkreślają oni przy każdej okazji, że Rosja ma prawo do własnej narracji (również do własnych dat zakończenia wojny) i będzie jej bronić, każdy sprzeciw będzie traktować jak próbę podważenia należnego jej statusu zwycięzcy, a odmienne

Demontaż pomnika marszałka

Iwana Koniewa w Pradze, 3 kwietnia 2020 r.

ujęcie historycznych wydarzeń jako herzeje.

Do tej sfery należy prowadzona od lat batalia o zachowanie tzw. pomników wdzięczności dla Armii Czerwonej. Moskwa ostro reaguje na ich demontaż, przyrównując to do bezczeszczania cmentarzy (choć nie ma to nic wspólnego), uznając za sprzeniewierzenie się prawdzie historycznej i za pozbawianie czerwonoarmistów należnej im chwały wyzolicieci.

Koniew versus Własow

Ostatnio Kreml toczy tutaj zajadły bój z Czechami – w centrum zainteresowania znalazł się praski pomnik marszałka Iwana Koniewa.

„W listopadzie 2019 r. starosta dzielnicy Pragi Řeporyje, Pavel Novotný, wystąpił z inicjatywą upamiętnienia własowców [żołnierzy Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej: formacji pod komendą gen. Andrieja Własowa, którzy na początku wojny przeszli na stronę Niemców – red.]. W maju 1945 r. przyszli oni w sukurs praskiemu powstaniu i walczyli przyczynili się do wyzwolenia Pragi – pisze Andriej Kolesnikow w analizie „Historia pod bronią: niesekretna wojna Kremla” na portalu Carnegie.ru. – Wojska Pierwszego Frontu Ukraińskiego pod dowództwem Iwana Koniewa weszły do oczyszczonego z hitlerowców miasta. 187 własowców, którzy zginęli w walkach, spoczywa w bratniej mogile w Pradze. Inicjatywa Novotnego pozostałaby zapewne niezauważona, gdyby rosyjska ambasada w Czechach nie zrobiła wokół tego skandalu, a rosyjskie MSZ nie zakwalifikowało tego pomysłu jako kolejnej próby rewizji historii”.

Był to wstęp do kolejnego etapu wojny o pamięć z Czechami: 3 kwietnia w dzielnicy Praga 6 zdemontowano pomnik wspomnianego marszałka Koniewa. Decyzję podjęły władze dzielnicy, monument ma zostać przekazany powstającemu właśnie w stolicy Czech Muzeum Historii XX Wieku.

Rosja zaprotestowała na kilku szczeblach. Minister obrony zwrócił się do czeskiego kolegi z prośbą o oddanie pomnika. Otrzymał odpowiedź, że pomnik nie należy do czeskiego ministerstwa obrony, lecz pozostaje w gestii władz dzielnicy Praga 6, a te zdecydowały o umieszczeniu go w muzeum. „Rosja nie może się →

→ domagać zwrotu czegoś, co do niej nie należy” – argumentowano.

Zdaniem strony czeskiej nie jest to demontaż *sensu stricto*, lecz zmiana „miejscu pobytu” pomnika. Nowe miejsce ma być bezpieczniejsze, chronione, w przeciwieństwie do skweru, na którym Koniew stał dotychczas, a gdzie wielokrotnie był oblewany czerwoną farbą (dochodziło do tego szczególnie często po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r.). Do muzeum trafi nie tylko rzeźba, lecz także tablice – jedna z 1980 r. (gdy pomnik stawiano, wychwalając bohaterstwo Koniewa w wyzwoleniu Pragi) oraz druga z 2018 r., na której wspomina się o jego niesławnym udziale w tłumieniu węgierskiego powstania w 1956 r.

Plac imienia Niemcowa

Głos w sprawie zabrała rzeczniczka rosyjskiego MSZ: nazwała przeniesienie pomnika przestępstwem i zaznaczyła, że to „nie pozostanie bez odpowiedzi”. Z kolei jej szef, minister Siergiej Ławrow, uznał decyzję władz dzielnicy Praga 6 za pogwałcenie dwustronnej umowy z 1993 r. – na co otrzymał odpowiedź czeskiego MSZ, że pomnik nie ucierpi i nie ma podstaw do takich oskarżeń.

To jednak nie uspokoiło strony rosyjskiej. Komitet Śledczy wszczął dochodzenie w sprawie usunięcia pomnika Koniewa, z artykułu 354. kodeksu karnego (publiczne znieważenie symboli wojennej sławy Rosji). W wielu materiałach rosyjskiej telewizji podkreślano, że usunięcie pomnika to próba podważenia wkładu Związku Sowieckiego w zwycięstwo, zatarcie zasług Koniewa w wyzwoleniu Pragi i próba fałszowania historii.

Kontrowersje na linii Praga–Moskwa dotyczą nie tylko II wojny światowej, lecz także historii najnowszej. 27 lutego tego roku plac Pod kaštany w Pradze, przy którym znajduje się ambasada Rosji, przemianowano na plac Borysa Niemcowa – opozycyjnego polityka zabitego pięć lat temu w zamachu pod murami Kremla. Prascy radni chcieli w ten sposób wyrazić swoją solidarność z rosyjską opozycją.

W odpowiedzi po stronie rosyjskiej pojawiła się w ostatnich dniach informacja, że ambasada będzie odtąd używać adresu rosyjskiego konsulatu, który znajduje się przy sąsiedniej ulicy Korunovačnı 34. Dlaczego? Z przyczyn technicznych: ponieważ władze miasta „wygasily” poprzedni adres (plac Pod kaštany). „Na-

■ Z oficjalnej wersji II wojny światowej „wyjęto” okres 1939-41, gdy Stalin zawarł sojusz z Hitlerem, dokonał rozbioru Polski, aneksji państw bałtyckich i najechał Finlandię. Dla przeciętnego Rosjanina wojna zaczęła się dopiero 22 czerwca 1941 r.

zwa ulicy Korunovačnı jest nazwą historyczną, używaną od stu lat. Prawdopodobieństwo zmiany tej nazwy jest znacząco mniejsze niż w przypadku toponimu plac Borysa Niemcowa, który nagle pojawił się w czeskiej stolicy” – tłumaczono.

Zawile i proste, zamarkowane i czytelne: siedziba misji dyplomatycznej Rosji nie będzie się mieścić pod niechcianym adresem, upamiętniającym krytyka prezydenta Putina. Czeskim władzom Rosja przypisała polityczne intencje zmiany nazwy placu, sobie – tylko intencje czyste i techniczne.

Zwycięstwo „na udalonkie”

Wróćmy na rosyjskie podwórko. Jak obchodzić 75. rocznicę w warunkach epidemii? Jednym z najpopularniejszych rosyjskich słów stało się ostatnio wyrażenie *na udalonkie*, czyli: w trybie zdalnym, przez internet. W większości miast wszystko jest teraz *na udalonkie*: i praca, i zakupy, i lekcje, i rozmowy z przyjaciółmi, i... defilady.

W chwili, gdy piszę te słowa, na początku trzeciej dekady kwietnia, temat rocznicy jest w rosyjskich mediach niemal nieobecny (zapewne bliżej daty 9 maja powróci). Został zepchnięty przez COVID-19, wpływ epidemii na gospodarkę i nowe zagrożenie dla władzy Putina: znaczący spadek cen ropy. To wymusza zmianę planów politycznych i angażuje Kreml do tworzenia nowych programów przetrwania. Jeden ze złośliwych komentatorów pisał na Twitterze: „Putin myślał, że wyzeruje sobie kadencję, a tu wyzerowała się cena ropy. Coś poszło nie tak”. Na ra-

zie wszystkie moce przerobowe prokremlofskich mediów rzucono więc na tłumaczenie społeczeństwu, że na rynkach paliwowych nic poważnego się nie stało i wszystko wróci do normy. Podobnie jak gospodarka zaatakowana przez wirus.

Świętowanie *Pobiedы* też zostanie zapewne – przynajmniej w dużej części – przemieszczone do internetu. Na stronach Rosyjskiego Towarzystwa Historycznego codziennie przybywa publikacji poświęconych rocznicy, w ramach dwóch projektów: „28 mgnień wiosny 1945” Władysława Nikonowa (wnuka Władysława Mołotowa) oraz „Kroki ku Zwycięstwu” (teksty i materiały archiwalne pokazują ostatnie dni wojny).

Projekty te skierowane są jednak raczej do specjalistów. A co dla konsumentów kultury popularnej? Na oficjalnej stronie internetowej rocznicy (www.may9.ru) zamieszczane są na bieżąco informacje o inicjatywach związanych z obchodami: o dostępie przez internet do okolicznościowych wystaw, konkursach recytatorskich *online*, cyfrowej obróbce pierwszych stron gazet sowieckich z tamtego czasu, o cyklu Radia Kultura poświęconym ludziom kultury, którzy mieli swój udział w *Pobiedzie* itd.

W Jekaterynburgu żołnierze zmiksowali możliwości wirtualu i realu: zorganizowali defiladę dla jednego weterana. 95-letni mężczyzna nie może wychodzić z domu, a zatem żołnierze kompanii reprezentacyjnej Centralnego Okręgu Wojskowego pokaz paradnego marszu zaprezentowali *online*, na ekranie dostarczonym pod dom weterana. Obejrzał on defiladę z balkonu.

Salut w rocznicę

Nic natomiast nie wskazuje na to, aby zaniechano pokazów fajerwerków w Parku Pobiedы na Pokłonnej Górze w Moskwie. Od 10 kwietnia 2019 r. odbywają się tam „saluty” w rocznicę zajęcia (w rosyjskiej wykładni: wyzwolenia) ważnych miast przez Armię Czerwoną: dwanaście salw z osiemnastu dział ZiS-3 76 mm (jednej z najczęściej używanych wtedy armat).

W tym roku kolorowe pióropusze rozbłysły już w rocznicę wkroczenia sowieckich wojsk do Warszawy, Budapesztu i Bratysławy. W planie jest pokaz 2 maja, w dniu zdobycia Berlina, oraz 9 maja – zajęcia Pragi.

Tak czy inaczej, zwycięstwo *na udalonkie*.

© ANNA ŁABUSZEWSKA



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

W Parku Gorkiego, Moskwa, 9 maja 2015 r.

Stalin bał się ludzi, którzy wrócili z wojny

SIERGIEJ MIEDWIEDIEW, HISTORYK:

**O ile w Niemczech pamięć opiera się na dogmacie
„To nie może się powtórzyć”,
o tyle w Rosji popularne jest hasło „Możemy to powtórzyć”.**

ZBIGNIEW ROKITA: Co świętuje się w Rosji 9 maja? Nadal koniec wielkiej wojny ojczyźnianej? Czy może ten dzień obrósł już innymi znaczeniami?

SIERGIEJ MIEDWIEDIEW: Masom Rosjan wciąż chodzi o tę konkretną wojnę. To najważniejsze rosyjskie święto. Nasze państwo opiera się nie na pamięci o roku 1917, gdy obalono carat, a potem bolszewicy przejęli władzę, ani nie na pamięci o roku 1991, gdy upadł komunizm, lecz właśnie na pamięci o Zwycięstwie. *Pobieda* stała się świecką religią, dość zresztą zmitologizowaną.

W książce „Powrót rosyjskiego Le-wiatana”, wydanej niedawno także w Polsce, używa Pan wobec tego święta określenia „świecka Pascha”.

Rytuały są podobne: kult zmarłych, procesje z ikonami, do tego obchody przypadają na wiosnę, co sprawia, że Dzień Zwycięstwa jest przedłużeniem Paschy prawosławnej. To święto wojenne, a wojna w Rosji jest pojęciem uświęconym.

Rosja to jedyny kraj Europy Wschodniej, gdzie nie obchodzi się dnia

niepodległości. Czy Dzień Pobiedy pełni w Rosji taką funkcję?

W rosyjskiej mitologii nie ma pojęcia niepodległości. Teoretycznie moglibyśmy obchodzić pamiątkę wydarzeń z lat 1990-91, gdy rozpadł się Związek Sowiecki. Jednak, o ile w przypadku Estonii czy Ukrainy ma to sens, to od kogo miałyby odłączyć się wtedy Rosja? Od siebie samej? Nikt Rosji nie okupował, nie przestała być imperium, nie uwolniła się od swojej historii. Nie świętujemy niepodległości, bo wciąż jesteśmy częścią kolonialnego imperium istniejącego od →

→ 500 lat i nie jesteśmy niepodlegli. Ono nadal nami włada. Rosja boi się rewolucji i nie będzie świętować roku 1917 oraz roku 1991.

Pisze Pan, że choć konstytucja zabrania uznania jakiejkolwiek ideologii za państwową, Zwycięstwo stało się taką ideologią.

Oficjalny kult opiera się na ideologii militarystyki i supremacji. Władze mocno eksploatują dziś tę ideologię, a ona obrasta folklorem. Ludzie zakładają wojskowe czapki, przebierają dzieci za żołnierzy, stylizują wózki dziecięce na czołgi, a także przypinają sobie wstążki georgijewskie [czarno-pomarańczowa wstążka, nawiązująca do wstęgi od carskiego Orderu św. Jerzego, który nadawano za heroizm na polu walki; w 2005 r., w 60. rocznicę końca II wojny, agencja RIA Novosti zainicjowała akcję społeczną polegającą na masowym noszeniu takich wstążek; z czasem stały się one symbolem neoimperialnej polityki Rosji Putina – red.].

Pamięć Polaków czy Żydów o tej wojnie opiera się głównie na martyrologii, za to w Rosji na zwycięstwie. Na pytanie Centrum Lewady: „Co odczuwasz w związku z Dniem Pobiedy?”, 48 proc. Rosjan deklaruje radość ze zwycięstwa, a tylko 27 proc. smutek po ofiarach. W 2015 r. proporcje wynosiły nawet 59 proc. do 18 proc. Pan pisze: „Mało jest na świecie narodów gotowych tańczyć na zgłiszczach własnego domu”.

Tak, to już nie jest święto ofiar. Gdy byłem dzieckiem, w latach 70. XX w., śpiewano, że to „święto ze łzami w oczach”. Ono zostało, a łzy wyschły. Tym bardziej że nie ma już prawie weteranów.

Media od lat przytapiają organizatorów parad na tym, że w roli weteranów podstawiają ludzi, którzy podczas wojny byli dziećmi.

Z tego święta zniknął element cierpienia, tragedii, bo zniknęło pokolenie świadków. Mam 54 lata, dla mojej generacji kwestia ofiar była szalenie istotna. Pamięci o wojnie towarzyszyły produkcje filmowe, jak „Lecą żurawie”, „Ojciec żołnierza”, „Dworzec Białoruski”. Za to ci, którzy urodzili się po roku 1980, chowali się już w innych filmach, na megaprodukcjach spod znaku Siergieja Mi-

Kreml nie może powiedzieć, że kolejnemu pokoleniu będzie się żyło lepiej. Co więc zostaje? Przeszość.

chałkowa, gdzie Rosjanin z gołą piersią i karabinem w ręku wszystkich pokonuje. Taki „ruski Rambo”. To pokolenie ze zdeformowaną pamięcią o wojnie. Dla nich, a także dla ludzi jeszcze młodszych, *Pobieda* to coś super. Z tego biorą się ci „patriotyczni” motocykliści czy kibice. Wie pan, co oni krzyczą?

Co takiego?

O ile w Niemczech pamięć opiera się na dogmacie „To nie może się powtórzyć”, o tyle w Rosji popularne jest hasło „Możemy to powtórzyć”. Widać je np. na samochodach, obok naklejki z sierpem i młotem, które stylizowane są na postać mężczyzny gwałcącego swastykę. W Rosji ideę śmierci dziesiątków milionów ludzi uważa się dziś za słuszną, bo umożliwiła triumf Związku Sowieckiego i zajęcie przezeń kluczowego miejsca w XX-wiecznej historii. Towarzyszy temu poczucie, że świat nie szanuje Rosjan: „Nie szanujecie nas? To wam przypomnimy, ile nam zawdzięczacie!”. To reakcja słabego, który powołuje się na swoją wielką przeszłość.

W książce twierdzi Pan, że zwycięstwo nad Niemcami jest wykorzystywane do usprawiedliwiania rosyjskiej agresji na Ukrainę. W jakim sensie?

Wojnę z Ukrainą kreowano na wojnę z faszystami, Ukraińców przedstawiano jako banderowców, esesmanów. Rosyjskiemu telewizywnemu tłumaczono, że dobrzy ludzie z Donbasu walczą z ukraińskimi faszystami. Kreowano Donbas na symbol rosyjskiego ruchu wyzwolenczego, a Kijów na symbol zła. Daje się do zrozumienia, że „rosyjscy partyzanci” jadą do Donbasu, aby robić tam to, co na niemieckich tyłach po roku 1941 robili ich dziadkowie. Odtwarzano historyczne wydarzenia, np. przemarsz ukraińskich jeńców po Doniecku inscenizowano na wzór „marszu hańby” niemieckich jeń-

ców po ulicach Moskwy. Za jeńcami jechały maszyny czyszczące, by po ich stopach nie został ślad. W czasie bitwy o Debalece [węzeł kolejowy w Donbasie; w 2015 r. zdobyły go regularne wojska rosyjskie – red.] mówiono Rosjanom: patrzcie, podczas wielkiej wojny ojczyźnianej rozbiliśmy w tym miejscu faszystów i teraz znów ich tam pokonamy! Igor Girkin, rosyjski „minister obrony” w Doniecku, skazywał ludzi na śmierć na podstawie rozkazu o rozstrzeliwaniu maruderów, który Stalin wydał w 1941 r. Przykłady można mnożyć.

Pamiętam poruszenie, jakie w Moskwie wywołały kilka lat temu słowa Grzegorza Schetyny, że obóz Auschwitz wyzwalali nie Rosjanie, lecz Ukraińcy. Czy Moskwa jest w stanie uznać, że Ukraińcy i Białorusini też mają prawo do tytułu zwycięzców tamtej wojny?

Nie jestem przekonany do logiki Schetyny. Ci żołnierze walczyli jako „ludzie sowieccy”, za sowiecką ojczyznę. Mało kto myślał o obronie ziemi ukraińskiej czy białoruskiej. Dla nas takie ujęcie tej sprawy jest po prostu śmieszne. Nie przypominam sobie natomiast, żeby Kreml w swoich oświadczeniach odbierał Białorusinom czy Ukraińcom prawo do dziedzictwa zwycięstwa nad Hitlerem. W Białorusi Dzień Pobiedy obchodzi się zresztą szumniej niż w Rosji.

Bagatelizujący epidemię COVID-19 Alaksandr Łukaszenka powiedział niedawno, że on sam jest nosicielem dobrego wirusa: wielkiej wojny ojczyźnianej.

Kreml chętniej mówi o zwycięstwie całego narodu sowieckiego. To okazja, by podkreślić, że istnieje wspólne dziedzictwo, że Ukraińcy i Rosjanie to bratnie narody.

Socjolog Lew Gudkow mówił w Radiu Swoboda, że po tym, jak znikły wszystkie sowieckie symbole, od kosmosu po wiarę w świetlaną przyszłość, Pobieda pozostaje jedynym powodem, by odczuwać do siebie szacunek. Pamięć o 9 maja to najwyższy dziś symbol Związku Sowieckiego?

Pobieda dla Rosjan nie jest symbolem Związku Sowieckiego. Ona jest czymś więcej niż Związek Sowiecki, więcej niż

nostalgia po nim. To fundament rosyjskiej państwowości, to uratowanie Rosji, które dokonało się z pomocą Boga czy Stalina, to zjawisko o znaczeniu globalnym, wręcz kosmicznym, porównywalne ze zmartwychwstaniem Chrystusa. *Pobieda* rekompensuje szereg deficytów: od deficytu kodów czy wspomnień, które tworzą z nas naród, aż po deficyt potęgi narodowej.

Rosja wydaje się być krajem z trudną do przewidzenia przeszłością.

Według badań Centrum Lewady 70 proc. Rosjan deklaruje pozytywny stosunek do Stalina. W 2008 r., gdy ceny ropy szły w górę, a historii w rosyjskiej debacie pojawiało się mniej, było to 39 proc. Istnieje związek między pompowaniem pamięci o 9 maja a szacunkiem do Stalina?

Taki związek istnieje, ale dobra pamięć o Stalinie umocniłaby się i bez tego. Stalin to figura silnego lidera, obrońcy „rosyjskiej ziemi”. Rozmawiałem o tym niedawno z Lwem Gudkowem: paradoks polega na tym, że poparcie dla Stalina to częściowo wyraz nastrojów protestu. Ludzie „głoszą” za Stalinem przeciwko Putinowi.

Jak to?

Widzą złodziejstwo obecnych władz, widzą rozpad państwa i mówią, że przy Stalinie było inaczej, że wtedy był porządek. Popularne hasło brzmi: „Przy Stalinie tego nie było!”. Gdy byłem dzieckiem, za Breżniewa, połowa kierowców ciężarówek i taksówkarzy woziła w autach portrety Stalina, bo „popierali porządek”. Stalin to uniwersalna odpowiedź Rosjanina na chaos świata. To nie jest takie proste, że Putin chce czcić Stalina, aby móc nosić taki biały mundur jak on [chodzi o biały, galowy mundur generalissimusa, który nosił Stalin, mający taki stopień – red.]. Może i chciałby go nosić, ale tu chodzi o coś więcej. Rosyjska świadomość wciąż szuka punktów, na których może się oprzeć: *Pobieda*, Stalin, rosyjska broń, Gagarin, sowiecki hokej.

Pisał Pan: „Dzień Zwycięstwa to w naszym współczesnym kalendarzu jedyne niewywołujące sporów święto”, w odróżnieniu od Dnia Jedności Narodowej 4 listopada, bo nie wymyślone sztucznie, lecz „wywołane przez naród, okupione krwią i cierpieniem”.

To święto i jednoczy, i dzieli. Dzieli przede wszystkim sposób świętowania tego dnia. Dzielią wstążki georgijewskie...

...w Polsce, na Ukrainie czy w krajach bałtyckich utożsamiane z rosyjskim imperializmem.

Ja ich nie noszę. Wstążki stały się symbolem całego wariactwa wokół *Pobiedy*. Patrząc, czy ktoś ją ma, i dzięki temu widzę, czy jest „swój” czy „obcy”. Widzę związek między jej założeniem a poglądami: taka osoba w moich oczach popiera przyłączenie Krymu.

Kiedyś ją Pan nosił.

Kilkanaście lat temu. Na początku mi się to podobało. Taka narodowa inicjatywa, coś jak brytyjskie maki [nosi się je 11 listopada na pamiątkę poległych w I wojnie światowej – red.]. Problem w tym, że tę i inne inicjatywy – jak tomski pomysł Nieśmiertelnego Pułku [idea dziennikarzy z Tomka, by 9 maja Rosjanie nieśli zdjęcia poległych na II wojnie przodków – red.] – przejmują władze. A czego one się dotkną, to odwrotnie niż u mitycznego króla Midasa: złoto obraca się w gówno. Nieśmiertelny Pułk zamienił się w obowiązkowy przemarsz, podczas którego studenci czy pracownicy zakładów noszą portrety obcych ludzi, a po wszystkich wyrzucają je do śmietnika.

Powiedział Pan kiedyś: „Straciłem Zwycięstwo. Przepadło poczucie jedności z państwem, które zawsze odczuwałem w te majowe dni. Czuję, że istnieje jakiś wielki kraj, jakaś wielka historia”. W jakim sensie stracił Pan ten dzień?

9 maja nie jest wyłącznie upiornym państwowym obrzędem. To nie tak. 9 maja to pamięć ludzi. Sam wywieszam zdjęcie mojego dziadka, który walczył w tej wojnie. Rozumiem, że dla innych państw to był zaborczy pochód Armii Czerwonej, ale dla mojego narodu to wyzwolający początek. Mój naród uwolnił się nie tylko od nazizmu, uwolnił się też na chwilę od stalinizmu. Śmierć była dookoła, ale było też fantastyczne poczucie wolności. Stalin bał się ludzi, którzy wrócili z wojny.

Przywołuje Pan liczby: 8 mln weteranów frontowych, 5 mln robotników przymusowych i blisko 70 mln cywilnych mieszkańców terenów, przez

które przetoczyła się niemiecka okupacja.

Nie świętowano Dnia Zwycięstwa za Stalina, wtedy 9 maja prędko stał się zwykłym dniem roboczym. Nie zdecydował się na to także Nikita Chruszczow, bo bał się marszałka Gieorgija Żukowa [szefa Sztabu Generalnego podczas II wojny – red.]. Stalin i Chruszczow bali się weteranów, bo oni widzieli śmierć i byli nieustraszeni. Obchody zainaugurował dopiero kolejny pierwszy sekretarz, Leonid Breżniew.

Zal mi, że to ważne święto nie stało się dniem wyzwolenia od tyranii, a zamiast tego zostało tak cynicznie użyte przez władzę do usprawiedliwienia jej działań. Naszym problemem w Rosji jest to, że państwo wszystko musi opanować: od centrów handlowych przez kompanie naftowe i edukację po pamięć. Władze wykorzystują pamięć o 9 maja. Legitymizacja reżimu Putina nie leży w przyszłości. Kreml nie może powiedzieć, że kolejnemu pokoleniu będzie się żyło lepiej. Przeciwnie: i władza, i ludzie rozumieją, że będzie gorzej. Co więc zostaje? Przeszłość. Dzień Zwycięstwa ma pokazać, że pokonamy każdego wroga.

Putin zdenerwował się, że przez epidemię nie będzie mógł zorganizować parady z okazji 75. rocznicy Pobiedy?

Oj tak. 9 maja miał być głównym wydarzeniem tego roku. Nieprzypadkowo referendum w sprawie poprawek do konstytucji [umożliwiających Putinowi rządy do 2036 r. – red.] zaplanowano tuż przed Dniem Zwycięstwa. Wszystko miało ułożyć się w jedno: zwycięski kraj pod przywództwem zwycięskiego lidera. Wie pan: „*Ein Volk, ein Reich, ein Führer*”. I nagle ten plan wziął w łeb.

© Rozmawiał ZBIGNIEW ROKITA



SIERGIEJ MIEDWIEDIEW

(ur. 1966) jest rosyjskim historykiem, dziennikarzem i profesorem nauk

politycznych. Jako wykładowca i badacz pracował także w Niemczech, Finlandii i Włoszech. Autor książek, prowadził programy w rosyjskich kanałach TV Kultura i Doż, obecnie ma swój autorski program „Archeologia” w Radiu Wolna Europa / Radiu Swoboda. Niedawno nakładem Wydawnictwa Czarne ukazała się jego książka „Powrót rosyjskiego Lewiatana”.



REALISTA I FANTASTA

Przed 1914 r. pierwszy był najpotężniejszą postacią Galicji, drugi mało znanym socjalistą i konspiratorem. Łączyło ich wiele.

Pierwszego niektórzy zwali „inscenizatorem piłsudczyzny”.

W II RP wielu nie chciało o tym słyszeć, wielu nie chce i dziś.

WALDEMAR ŁAZUGA

ZMARLI 85 LAT TEMU. JEDEN W POZNANIU w szpitalu na Podgórznej, drugi w Warszawie w Belwederze. Pierwszy, Michał Bobrzyński, urodził się w 1849 r. w Krakowie, w rodzinie lekarza. Drugi, Józef Piłsudski, w 1867 r., w szlacheckim dworku w Zułowie, w powiecie święciańskim. Śmierć pierwszego przeszła niemal niezauważona. Śmierć drugiego pogrążyła kraj w głębokiej żałobie, a uroczystości pogrzebowe stały się ogólnonarodową manifestacją.

Toteż to, co napisał „Dziennik Poznański”, wielu mogło zaskoczyć: „Przeżywamy obecnie moment wzmocnienia podstaw ustrojowych naszego państwa. Genialną wolą nieodżałowanego Marszała Józefa Piłsudskiego zrealizowane zostały na przyszłość głębokie prawdy głoszone odważnie przez Michała Bobrzyńskiego.

Idea państwa dobrze zorganizowanego, idea silnego rządu, idea walki z sejmowładztwem wskazywane przez

Zmarłego historyka przyobleka się dopiero obecnie w Odrodzonej Polsce w realne kształty”.

Jeszcze kilka lat wcześniej, na kartach autobiograficznej powieści Stanisława Łosia (wydanej pod pseudonimem Henryk Mortęski), to sąsiedztwo wyglądało inaczej. Bobrzyński był postacią epizodyczną, od czasów I wojny światowej uchodzącą za „pół-Polaka”. Piłsudski zaś – jeszcze przed 1918 r. – „widmem zmarłych wstającej Polski”.



R. LECHNER / ÖSTERREICHISCHE NATIONALBIBLIOTHEK

Obrazy parlamentu w Wiedniu, 17 czerwca 1907 r.; Michał Bobrzyński był wówczas posłem, wiceprezesem Koła Polskiego.

listychną (Austro-Węgry-Polskę). O jego wpływach w Wiedniu opowiada się legenda. Żonaty z Zofią Cegielską, córką Hipolita (przemysłowca z Wielkopolski), jest typem „mózgowca”. Dobiega sześćdziesiątki.

W 1908 r. Piłsudski jest osobą niemal nieznaną. W 1905 r. nie wywołał w Królestwie powstania i nie zapobiegł kryzysowi wśród socjalistów. Mówi o „zdziercinnym z tchórzostwa społeczeństwie polskim”. Porusza się na granicy mitotwórstwa. „Flircik” z towarzyszką Aleksandrą Szczerbińską komplikuje jego stosunki z żoną. Jest po czterdziestce. Sprawia wrażenie „uczuciowca”.

W 1908 r. przenosi się do Galicji. Austriackim władzom wojskowym oferuje usługi wywiadowcze i rozpoczyna działalność, która nie jest tajemnicą ani dla wywiadu rosyjskiego, ani dla namiestnika Michała Bobrzyńskiego. Porusza się swobodnie. Walczył z caratem, jest „człowiekiem z towarzystwa”. Rozumie, jak bardzo habsburskim krajem jest Galicja.

Imponuje mu „silna ręka” Bobrzyńskiego. Zasłynie zdaniem, że „pierwszym obowiązkiem po utworzeniu rządu jest ogłoszenie, że rząd istnieje”. Kilkakrotnie wymyśla rozmaite „Nebenregierungen” (rządy obok istniejącego już rządu). Zna chyba „Dzieje Polski w zarysie”, w tym teorię o braku charakterów w naszej historii jako źródle upadku Rzeczypospolitej, a także komplementy Bobrzyńskiego pod adresem Batorego, który pobił Rosję. Portret króla powiesi później w gabinecie.

Sojusz przeciw Rosji

Ale łączy ich także coś więcej – głęboka niechęć do Romana Dmowskiego i jego koncepcji oparcia sprawy polskiej na carskiej Rosji.

Właśnie w 1908 r. Dmowski ogłasza rozprawę „Niemcy, Rosja i kwestia polska”, w której za głównego wroga Polski uznaje nie Rosję, lecz Niemcy. Znosi się na przełom kopernikański w myśleniu politycznym Polaków, co – gdyby się udało – oznaczałoby zakwestionowanie całej przeszłości Piłsudskiego i wielu jego planów na przyszłość.

Bobrzyński wchodzi z Dmowskim w polemikę. Dowodzi, że wyłącza on Polaków z kręgu kultury zachodniej, ze

wszystkimi tego konsekwencjami. Ironizuje, że „Pana Tadeusza”, należałoby napisać na nowo – z pominięciem Rosjan, wbrew „duży polskiej” i wszystkiemu, co ważne i święte. Bobrzyńskiemu przyświeca ideał Rzeczypospolitej wielu narodów, do którego monarchia habsburska wydaje się najbliższa. Dmowski pisze o niej: *delenda est* (że Austria, jak u Katona Kartagina, powinna być zniszczona).

Tymczasem we Lwowie powstaje Związek Strzelecki, a w Krakowie Towarzystwo „Strzelec”. Z „garbatych i kulawych” – jak o nich złośliwie mówią – tworzy Piłsudski przyszłe kadry wojska polskiego, choć w austriackich szkołach wojskowych Polaków nie brakuje. Z tymi jednak ma problem: wielu z nich uważa go za dyktanta w sprawach militarnych.

Na przełomie lat 1908/09 Piłsudski ma duże kłopoty ze zdrowiem. Trochę desperuje. W rozmowach z austriackimi władzami udaje, że rozporządza licznymi siłami, które w każdej chwili może powiększyć. Bobrzyński, który ma własne źródła, udaje, że mu wierzy. Z jednej strony rozumie, że w oczach młodzieży konserwatyści przegrywają z socjalistami. Z drugiej strony taki Ignacy Daszyński to w istocie c.k. realista i pragmatyk. Jeden z tych socjalistów, którzy godzą Marksa z Franciszkiem Józefem.

Kto stanie na czele ruchu? Piłsudski nie jest wojskowym, nigdy nie dowodził nawet plutonem i „nie zdradza chęci nauceńia się tego”. Ma „królewskie” nawyki. I potężne ego. Przy jednym kawiarzianym stoliku jest bohaterem, przy innym bandytą. Ale Bobrzyńskiego mało to interesuje – dla niego jest on pożytecznym „fantastą”.

Dlaczego pożytecznym? Bobrzyński – podobnie jak cesarsko-królewski Sztab Generalny – chciałby, aby po wybuchu wojny z Rosją na tyłach carskiej armii zaczęło się polskie powstanie. Wszak regularne pułki austriackie, nawet te złożone z Polaków, nie robią w Kongresówce powstania. Dla Bobrzyńskiego takie powstanie to preludium do jego austro-polskich planów. Żadna lekkomyślność prowadząca do klęski, jak w 1863 r. Przeciwnie – to ma być przemyślana akcja konserwatystów z udziałem socjalistów.

Parasol ochronny

Ostatecznie namiestnik otworzy Galicję przed socjalistami tak szeroko, że przejdzie to w anegdotę.



Namiestnik i irredentysta

Ich wspólna historia zaczyna się w 1908 r. Bobrzyński zostaje wtedy namiestnikiem Galicji. Jest głową krakowskich konserwatystów i autorem „Dziejów Polski w zarysie” – najostrzejszej rozprawy z polskim romantyzmem. Przygotowuje kraj do wojny z Rosją i forsuje tzw. rozwiązanie austro-polskie: chce połączyć Galicję z Królestwem Kongresowym, zdobytych na Rosję, a następnie przeobrazić monarchię dualistyczną (Austro-Węgry) w tria-

⇒ Oto – powiada anegdota – staje przed nim socjalista z Królestwa, starający się o azyl w Galicji. „Powiedz pan, jak pan pojmujesz socjalizm” – pyta go namiestnik. „Jako stosunek kapitału do pracy” – odpowiada socjalista. „A to w takim razie możesz pan u nas zostać, bo ani kapitału, ani pracy tu nie ma, więc ze strony pana nic nam nie grozi”.

Mówiono o Bobrzyńskim: „ładny stańczyk, nigdy nie zrozumiał żadnego dowcipu!”. Nie znano jego raportów do Wiednia.

Sprawdźmy więc, co w nich pisze. Oto ambasadzie rosyjskiej, która skarży się, że w Galicji toleruje się antyrosyjskie przygotowania powstańcze, namiestnik odpowiada, że działalność na „niwie sportowej” prowadzą tu „ludzie umiarkowani”. Piłsudski zaś, z zawodu „pisarz”, „nie jest notowany niekorzystnie przez c.k. władze”, które „muszą ściśle przestrzegać obowiązujących w Austro-Węgrzech ustaw”, te zaś nie pozwalają „ścigać karnie poglądów ani dążeń politycznych, nawet bardzo skrajnych, jeśli ich zwolennicy nie próbują ich urzeczywistnić”. Daje wykładnię, czym jest prawo. I jak wygląda jego stosowanie.

Sam zainteresowany wie oczywiście, komu zawdzięcza ten parasol ochronny. Socjaliści deklarują więc, że „nie tkwi w ich interesie osłabianie namiestnika”. W wyborach do Sejmu Galicyjskiego w 1911 r. tworzą nawet „front wspólny przeciw Rosji”, co sprawia, że – mimo obustronnych wykrętów – nie daje się tego ukryć. Na Bobrzyńskiego syją się teraz gromy z własnego środowiska: że złamał tabu, naruszył konserwatywną normę, stanął po stronie Żydów, terrorystów i międzynarodowych socjalistów, zdradził religię, szlachtę, naród, a także uniwersytet, pryncypia, tradycję i rozum.

W rozmaitych diariuszach i listach wpływowych osób czytamy odtąd, że namiestnik był cynikiem i karierowiczem, „ludożercą zjadającym własne stronnictwo”, że socjalistom zapewniał azyl i „szyld”. Że odpowiada za „organizację tych kadrów powstańczych, szkodliwych narodowo i społecznie”, tego „łajdactwa” dokonywanego na spółkę z austriackim wywiadem wojskowym i ministrami. Endek Julian Zdanowski nazwie go „głównym inscenizatorem piłsudczyzny” i będzie zapewniać, że do jednej z socjalistycznych rezolucji Bobrzyński oso-



Józef Piłsudski jako brygadier, 1914 r.

biście wstawił „ustęp o radości z powodu upadku caratu”.

W ten sposób profesora UJ, stańczyka-konserwatystę, człowieka po sześćdziesiątce zaczęto podejrzewać o „krypto-socjalizm”.

U progu wojny

Do pierwszego zgrzytu między nim a Piłsudskim doszło w 1912 r., gdy w listopadzie utworzono – pod nosem władz austriackich – Komisję Tymczasową Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych [sojusz wszystkich polskich partii z Galicji i Kongresówki, opowiadających się za opcją austro-polską – red.]. Piłsudski śle memoriały do „sztabowców” i wymyka się spod kontroli. Bobrzyński obawia się, że wyjdzie z tego jakiś rząd obok rządu, a przecież rząd może być tylko jeden – legalny, namiestnikowski, austriacki.

Rok później namiestnik przegrywa reformę wyborczą do Sejmu Galicyjskiego i składa dymisję. Zaraz potem wyjeżdża do Włoch i zabiera się za pisanie pamiętników.

Piłsudski też pisze. Odpowiada na artykuł endeka Zygmunta Balickiego pt. „Dezorientacja austriacka” i ostro rozprawia się z zarzutem, że za ruchem strzeleckim stoi rosyjska agentura. Urządza też defilady strzelców, przyjmowane przez wielu „z niedowierzaniem i lękiem”. Z początkiem 1914 r. ląduje w Abacji (Opatija) nad Adriatykiem – stolicy austriackiej Riwiery. W lutym jest już w Paryżu, gdzie niczym stańczyk oświadcza, że „służyć Austrii to służyć Polsce”, i że wyrachowa-

nie i rozsądek wiodą do „rodzaju politycznej pokory”.

W lipcu 1914 r. Bobrzyński wyjeżdża na urlop do włoskiej miejscowości wypoczynkowej Viareggio nad Morzem Tyrreńskim.

Żaden z nich nie liczy się z bliskim wybuchem wojny. Piłsudski daje jej 35 proc.; Bobrzyński twierdzi, że gdyby była blisko, toby z namiestnikostwa nie ustąpił.

Czy można dać mu broń?

28 czerwca 1914 r. w Sarajewie od kul zamachowca ginie arcyksiążę Franciszek Ferdynand. Wkrótce wybucha wojna. Piłsudski ustala z austriackimi władzami wojskowymi termin mobilizacji i szczegóły dotyczące wkroczenia strzelców do Kongresówki. Spotyka się też z „panami krakowskimi”, którzy „nie będą strzelcom przeszkadzać, kto chce dawać na skarb strzelecki, niech daje, kto z młodych pójdzie do strzelców, niech idzie...”. Na razie mogą liczyć na przestarzałe jednostrzałowe karabiny z austriackich magazynów.

6 sierpnia 1914 r. pierwsza kadrowa wkracza do Królestwa. Piłsudski ogłasza zaraz, że w Warszawie powstał Rząd Narodowy, a rozmaite austriackie gazety trąbią już o tysiącu dzikich Kozaków zmuszonych do ucieczki przez dzielnych strzelców. W istocie obiecane powstanie antyrosyjskie nie wybucha, do wielkich starć nie dochodzi, a rzeczywistym problemem stają się strzeleckie rekwizycje dokonywane wśród miejscowej ludności. Austriacy obawiają się, że „zdepopularyzują” one monarchię.

Tracąc wiarę w polskie powstanie, c.k. sztabowcy wprowadzają nagłą korektę planów: strzelców należy zreorganizować wojskowo i ująć w karby. Na rozmowy do Wiednia jedzie prezydent Krakowa Juliusz Leo. Oraz wezwany z Włoch Bobrzyński. Franciszek Józef pyta go: czy można dać Piłsudskiemu broń? Broń – dodajmy – nowszego typu, ale już nie strzelcom, lecz polskim legionistom walczących u boku c.k. armii.

Nazwę (Legiony) wymyśla Leo. Komenda Legionów jest austriacka, ale złożona z oficerów-Polaków. 16 sierpnia powstaje Naczelny Komitet Narodowy (NKN), oparty na porozumieniu wszystkich sił stojących na gruncie rozwiązania austro-polskiego, z socjalistami włącznie. Na jego czele staje Leo. Departamentem wojskowym NKN kieruje Władysław Sikorski – do niedawna inżynier od melio-

racji u Bobrzyńskiego. Byli namiestnik nie wchodzi do NKN, „rezerwuje swoją osobę do innych celów”. Chce być wielkorządcą Galicji połączonej z Królestwem (tego trzeciego członu monarchii). I tak zresztą wszyscy go za NKN „czują”.

Piłsudski na te warunki się godzi. Alternatywą byłoby „pójść w lasy i prowadzić akcję powstańczą, jaka była prowadzona w 1863 roku”. Przelyka „landszturmową” przysięgę na wierność cesarzowi Austrii. Zostaje brygadierem.

Osobnymi drogami

Co by było, gdyby...? Gdyby Austria zajęła Królestwo już w 1914 r.? Gdyby za strzelcami do Warszawy wkroczyły pułki austriackie, a na czele 13. Pułk Piechoty, zwany „Krakowskimi Dziećmi”? Gdyby zrealizowano scenariusz przedstawiany już na alegorycznych obrazkach (z płonącym krzyżem, orłami zrywającymi się do lotu i Polonią w koronie witającą powstańców i c.k. żołnierzy)? Stało się inaczej. Do Warszawy wkroczyli Niemcy (latem 1915 r.), a Wiedeń nie kwapił się z realizacją opcji austro-polskiej.

Tymczasem Piłsudski stopniowo odrywa Legiony od Austrii i Niemiec. Rozwijają grę na niezależnienie, której istotnym czynnikiem staje się jego własna legenda. Buduje ją krok po kroku. Pogrzebom legionistów nadaje mistyczną niemal oprawę. Odbывают się o zmierzchu. Trumny są czarne. Gwoździe wbijają się głowniami szabel. Przed Bogiem meldują się kolejni ginący na polu chwały. Poradzi sobie nawet z pieniędzmi pochodzącymi z austriackiego Ministerstwa Obrony Krajowej. Rozlicza je związany z Bobrzyńskim Tadeusz Starzewski. Ale rodacy chętnie uwierzą, że za coraz lepszym uzbrojeniem i umundurowaniem legionistów stoją ofiarowane na ten cel ślubne obrączki.

W 1915 r. nakładem NKN ukazuje się książka Juliusza Kadana-Bandrowskiego „Piłsudczycy” – szczyt legionowego legendotwórstwa. „Szli drogą w szarem, chmurnem południu, cierpliwie jakby do spowiedzi, wojsko szare z białymi orłami na czapkach...”. Dalej: „Słomo, słomo rozdona, kochane zboże Ojczyzny”, na której to rodzona słomie śpią pokotem piechurzy. A zaczyna się wszystko od: „Orzeł – w lochu piwnicznym, na poddaszu i na ulicy. Ptak herbu świetnego – wyrzucony z tła pysznych amarantów na podwórze”. W tej książce Służba pisze się wielką li-



Michał Bobrzyński jako namiestnik Galicji

terą. Na pierwszej fotografii, tuż po stronie tytułowej – Brygadier.

W 1916 r. na cześć Brygadiera (także często pisanego z wielkiej litery), postaci niedawno niemal nieznaney, gra się w krakowskim teatrze miejskim „Noc listopadową” Stanisława Wyspiańskiego, wystawia „Kościuszkę pod Racławicami”, rzeźbi go Konstanty Laszczka, portretuje Jacek Malczewski. W Wiedniu zatrzymuje się w hotelu Regina. Uczestniczy w bankietach. Odwiedza różne polskie „winkły”. I to nie Legiony są teraz dla NKN, lecz NKN dla Legionów.

Tymczasem Bobrzyński w 1916 r. zostaje ministrem do spraw Galicji i gra pierwsze skrzypce w dwóch kolejnych austriackich gabinetach – ostatnim staroego i pierwszym nowego cesarza. Ma zaprojektować nowe poszerzone miejsce Galicji w Austrii i doprowadzić do unii personalnej Austrii z Królestwem. Z pozorów ma pozycję o wiele silniejszą niż Piłsudski. W istocie słabnie.

W 1916 r. obaj spotykają się w Krakowie u Bobrzyńskiego na ul. Krupniczej 9, w warunkach konspiracji, po oddaleniu służby. Brygadier usłyszy tam: „Niech się pan tak nie spieszy, pana czas jeszcze nadejdzie”. Bobrzyński wciąż wierzy w rozum i politykę na wysokościach. Piłsudski już wie, że to wcale nie na tym poziomie rozstrzygają się losy świata.

U progu niepodległości

W 1917 r. Piłsudski wie też, że Niemcy i Austro-Węgry wojny nie wygrają, wywołuje kryzys przysięgowy i trafia do Magdeburga. Bobrzyński zaś nadal

trzyma się Habsburgów, przestrzega przed nadciągającą rewolucją i chce ratować monarchię nawet przed nią samą, bo Polska położona między Rosją i Niemcami jako państwo niepodległe długo się nie utrzyma. Ufa, że Austria „jeszcze zmądrzeje”. Sądzi, że kalkuluje na zimno.

Historia zadrwi z naszego historyka okrutnie. Rozmyje się na jego oczach i rozplynie. Austrii już prawie nie ma, ale jeszcze jest. Polska już jest, ale nie wiadomo jeszcze, gdzie jest i jaka. Jesienią 1918 r. Bobrzyński tłumaczy, że niepodległość można rozumieć rozmaicie. Z oceną Polskiej Komisji Likwidacyjnej, która 31 października przejmuje władzę w Krakowie, ma wyraźny kłopot. Wincenty Witos i Ignacy Daszyński na jej czele? Ależ nie ma tam „nikogo poważnego”! Politycy warszawscy w poczekalni władzy? To dyletanci!

O czym myśli, gdy z auli Uniwersytetu Jagiellońskiego wynoszą portret Franciszka Józefa, którego był ostatnim ministrem, gdy z gmachów spadają austriackie orły, a c.k. pułki stają się teraz pułkami Wojska Polskiego? Gdy obserwuje przerażenie żony, kiedy w oknach jego domu wybijają szyby.

Jesienią 1918 r. Piłsudski zostaje Naczelnikiem odradzającego się państwa. Rok później witają go w Krakowie tak, jak niegdyś Franciszka Józefa. W Warszawie spotyka się z przedstawicielem nowej republikańskiej władzy w Austrii, opowiada o swej przyjaźni z c.k. oficerami i zapewnienia o „sympatii” dla niej. Austria i austriacka przeszłość dopadną go dopiero za kilka lat, gdy przeciwnicy wytkną mu współpracę z c.k. wywiadem. Bobrzyński od swojej przeszłości nie uwolni się nigdy. W 1920 r. spakuje manatki i z piętnem austriackiej eksceleencji zaszyje się na wielkopolskiej wsi pod Środą.

W 1933 r. Wincenty Witos, przebywający na emigracji w Czechosłowacji, odnotuje swój dziwny sen: śniło mu się, że umarł Piłsudski, a powiadomił go o tym „namiestnik Galicji dr Michał Bobrzyński”.

Obaj odejdą za niecałe dwa lata. Piłsudski na krótko przed śmiercią zauważy, że sprowadzili do niego jakąś lekarską „c.k. sławę”. Bobrzyński usłyszy, że leczący go medyk praktykował w Wiedniu.

Pierwszy ma dziś w Krakowie grobowiec na Wawelu i kopiec na Sowińcu. Drugi skromną tablicę na Krupniczej.

© WALDEMAR ŁAZUGA



CHRISTOPHE COURTEAU / GETTY IMAGES

Czyszczenie za jedzenie: karakara żółtogłowa zjada pasożyty kapibary

ŁAPA W ŁAPE

W przyrodzie występują nie tylko przemoc i konkurencja. Zwierzęta często też współpracują, i to z innymi gatunkami. Podczas polowań, podróży czy dla zachowania higieny.

JOANNA BAGNIEWSKA

TO BYŁ KADR NICZYM Z FILMU DISNEYA. Nagranie przyjaźni między kojotem i borsucznikiem amerykańskim, sfilmowanymi przez kalifornijską organizację przyrodniczą Peninsula Open Space Trust, stało się niedawno hitem mediów społecznościowych. Wyraźnie podekscytowany kojot zachęca na nim borsucznika do przejścia przez wybudowany pod jezdnią tunel dla zwierząt, po czym oba drapieżniki maszerują razem, łapa w łapę.

Przyjrzyjmy się pozytywnym zależnościom międzygatunkowym – jest ich całe spektrum. Po jednej stronie mamy „żyć bez ciebie nie mogę”, czyli mutualizm, zwany też symbiozą obligatoryjną. To bardzo ścisły związek, od którego zależy przetrwanie; jego przykładem mogą być przeżuwacze, takie jak krowy, i ich bakterie jelitowe pozwalające na trawienie celulozy. Po drugiej stronie



PENINSULA OPEN SPACE TRUST

Kadr jak z Disneya: kojot i borsucznik wyruszają na polowanie

jest „no co ci szkodzi”, czyli komensalizm (z łacińskiego *com* – razem i *mensa* – stół, czyli współbiesiadnictwo). Na tej relacji korzysta jedna ze stron, druga natomiast nie ponosi żadnych kosztów. Jej przykładem są pąkle – niewielkie skorupiaki – podróżujące na grzbietach

wielorybów. Pąkle prowadzą osiadły tryb życia, przyklejanie się zatem na stałe do walenia globtrotera jest szansą na dostęp do nowych pokarmów. Wieloryb nie traci na tej relacji, pąkle dużo zyskują.

Pomiędzy mutualizmem a komensalizmem jest protokooperacja – niezobowiązująca współpraca osobników różnych gatunków, korzystna dla obu stron. To rodzaj biologicznego handlu wymiennego.

Czyszciciele i higieniści

Wymieniać można zasoby lub usługi. Najczęściej dostarcza się usług w zamian za zasoby – klasycznym przykładem jest „wizyta u zwierzęcej kosmetyczki”: małe zwierzątka czyszczą skórę tych większych, pobierając opłatę w postaci paszy lub łuszczonego się naskórka. Na lądzie prym wiodą tu ptaki, takie jak krowiarki, karakary czy starzyki. Oczyszczają one duże ssaki kopytne, jak żyrafy,

antylopy, nosorożce lub bydlę. Żywią się kleszczami i owadami, ale nie pogardzą też łupieżem, strupem ani woskowiną uszną...

Spotkać można również inne pary: np. mangusty przeczesujące afrykańskie guzce; kraby, które iskają iguany morskie; kolcogony lawowe (małe jaszczurki z Galapagos) łapiące muchy na plażujących lwach morskich. Niektóre „kosmetyczki” – np. spokrewnione ze szpakami bąkajady – do usługi dermatologicznej dorzucają w gratisie alarm, krzykiem ostrzegając swoich klientów przed zbliżającym się drapieżnikiem.

W wodzie, zarówno słonej, jak i słodkiej, istnieją gabinety kosmetyczne, czyli tzw. stacje sanitarne. Na ogół umiejscowione są w pobliżu raf koralowych, w odmetach wodorostów lub w innych punktach zapewniających rybom czystościelkom i krewetkom higienistkom bezpieczne miejsce pracy. Do stacji przyplwają duże ryby, jak mureny czy manty, a także żółwie morskie lub hipopotamy. Klient otwarciem pyska lub ustawieniem ciała daje znać, że czeka na obsługę, a rybki czysciicielki, najczęściej te z rodziny wargaczowatych albo babkowatych, zabierają się do wyjadania pasożytów, obumarłej skóry czy resztek pokarmów spomiędzy zębów.

Czasami pojawiają się oszuści – np. pod pasożytożernego wargatka sanitarnika podszywa się czysciiciel rzekomy, który tylko czeka na okazję, żeby odgryźć klientowi kawałek skóry albo płetwy. Na takie chwytty dają się nabrać młode lub nieuważne osobniki. Te bardziej doświadczone odpędzają kanciarzy.

Tropiciele i buldożery

Ciekawsza i mniej oczywista wydaje się obopólna wymiana usług – tu obie strony wnoszą do partnerstwa nowe umiejętności. Przykładem tego typu protokooperacji jest ta między wspomnianymi na początku kojotem i borsucznikiem amerykańskim, które urządzają wspólne wyprawy łowieckie.

Oba gatunki polują na susły i inne małe zwierzątka, ale każdy z nich wypracował inną taktykę. Kojoty tropią ofiary, gonią je i łapią. Borsuczniki natomiast funkcjonują jak buldożery: rozgrzebuja tunele i nory i wyłapują znajdujące się w nich drobne gryzonie; mogą również polować całkowicie pod ziemią. Kojoty i borsuczniki, ze względu na wspólne

zainteresowania kulinarne, mogłyby ze sobą konkurować, bardziej jednak opłaca im się współpracować. Widząc kojota, susel chowa się pod ziemię, natomiast natykając się w norze na borsucznika – ucieka na powierzchnię. Polując razem, kojoty i borsuczniki naganiają sobie wzajemnie zwierzynę.

Wspomniane nagranie nie było bynajmniej pierwszym odnotowanym przykładem bliskiego związku tych gatunków – protokooperację kojotów i borsuczników opisał Samuel Aughey w piśmie „American Naturalist” w 1884 r. Zaobserwowano ją już jednak dużo wcześniej, w czasach prekolumbijskich.

Wspólne, międzygatunkowe polowania nie są wyłącznie domeną wyższych ssaków – protokooperację odnotowano nawet u pozornie prymitywnych kręgowców, jakimi są ryby. Redouan Bshary i współpracownicy w czasopiśmie „PLOS Biology” opisali ciekawe zachowanie ryb z Morza Czerwonego. Strzępiele z gatunku *Plectropomus pessuliferus* to ponad metrowe drapieżniki polujące w otwartych wodach. Ich głównym przysmakiem są ryby rafowe. Ryby te często salwują się ucieczką w zakamarki skał lub raf koralowych, skąd masywne strzępiele nie są w stanie ich wydostać. Jednak głodny strzępiel nie poddaje się łatwo – zamiast dać za wygraną, prosi o pomoc innego sprawnego drapieżcę: murenę olbrzymią, która poluje w szczelinach skalnych. Ryby, spłoszone przez murenę, uciekają w otwarte wody, gdzie oczywiście czeka już na nie strzępiel. Strategie myśliwskie obu drapieżników świetnie się zatem dopełniają. Dzięki współpracy obie strony łapią więcej ryb niż podczas samotnych polowań. Ponieważ mureny i strzępiele polują ofiary w całości, odpada też istotna kwestia wyklócania się o przynależną część łupów.

Wspólne łowy inicjują strzępiele: zapraszają murenę do współpracy, podplwając do nich i potrząsając głową na boki, trzy do sześciu razy na sekundę – to sygnał komunikacyjny. Potrafią także pokazać miejsce, w którym ukryły się zbiegłe ofiary – pływają nad nim głową w dół, dopóki murena nie zwróci uwagi na te akrobacje. Taki sygnał nazywa się gestem referencyjnym. Do niedawna sądzono, że tylko niektóre gatunki ssaków i ptaków potrafią wskazać coś interesującego dla drugiej strony. Jednak na gest referencyjny strzępieli reagują nie

tylko inne ryby. Alexander Vail opisał w 2013 r. w „Nature Communications” protokooperację strzępieli z mięczakami. Rybią gestykulację potrafi poprawnie zinterpretować ośmiornica czerwona, polująca w podobny sposób, co mureny.

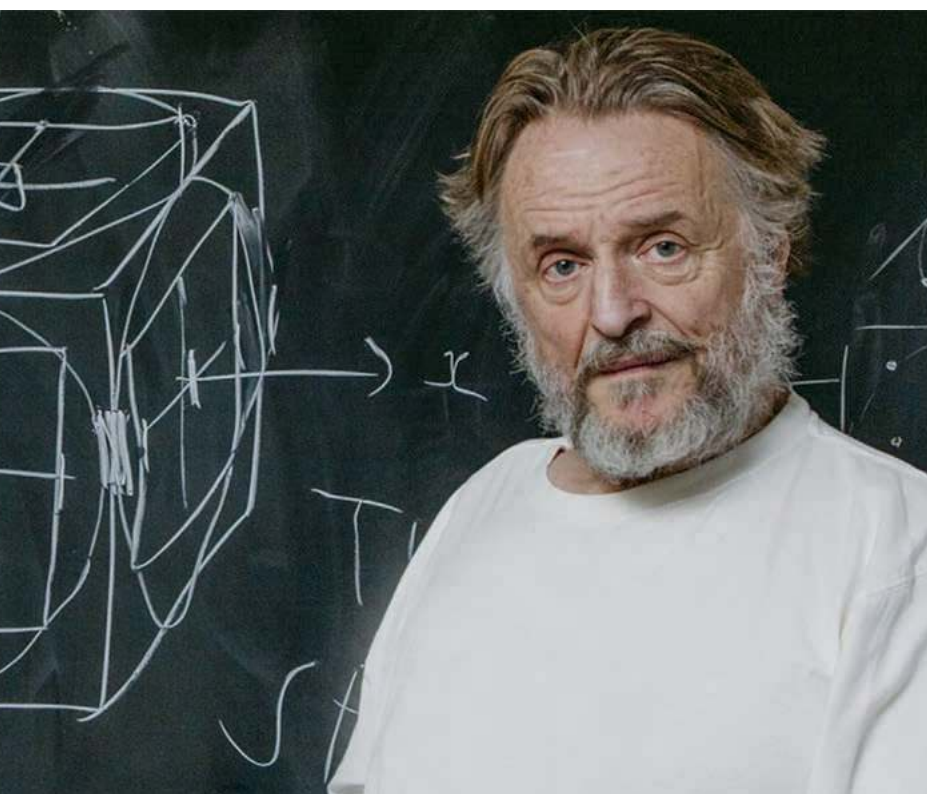
Ruchomy kamuflaż

Również nasi bliźsi, małpi krewni uprawiają protokooperację. Spójrzmy na to, co się dzieje w górach Etiopii, wśród dżelad brunatnych, kuzynek pawianów. Dżelady to jedyne ssaki naczelne żywiące się prawie wyłącznie trawą. Pasą się w olbrzymich stadach, liczących nawet 700 osobników. Stada te są często nawiedzone przez kabery, czyli wilki etiopskie – drapieżniki polujące na kręgowce, od myszy po młode antylopy. Wydawać by się mogło, że wilki chętnie uszczknęłyby po małpiątku – tak się jednak nie dzieje. Kabery chodzą wśród dżelad niezwykle wolno i spokojnie, wyraźnie dając im znać, że nie stwarzają dla nich zagrożenia. Małpy siedzą metr lub dwa obok wilków i nie zwracają na nie uwagi, mimo że zwykle wystarcza im widok zdziczałego psa na horyzoncie, żeby rzucić się do ucieczki.

Na czym polega ten pakt o nieagresji? Okazuje się, że gdy wilki polują na gryzonie w towarzystwie małp, aż dwie trzecie polowań kończy się sukcesem. Jeśli polują samotnie – tylko jedna czwarta łowów jest pomyślna. Skąd ta różnica? Vivek Venkataraman, który opisał to zjawisko w 2015 r. w „Journal of Mammalogy”, twierdzi, że dżelady podczas przeżysywania traw płoszą myszy i kreto-szczury, które stają się wówczas łatwym łupem dla wilków. Inna teoria, wysunięta przez Claudia Sillera z Uniwersytetu Oksfordzkiego, zakłada, że małe gryzonie czują się bezpiecznie wśród dżelad i nie zwracają uwagi na podobnie wyglądające (równie duże i brązowe!) kabery, przez co dają się łatwiej podejść. Dla wilków dżelady są zatem ruchomym kamuflażem.

Sillero twierdzi również, że w podobny sposób mogły przebiegać początki relacji ludzi i psów. Więż ludzi z psami prawdopodobnie też ewoluowała: od antagonizmu poprzez komensalizm aż po protokooperację. Psy udomowiono między 40 tys. a 11 tys. lat p.n.e., jednak dokładny przebieg tego procesu spowija tajemnica.

Być może obserwacje dżelad i wilków pozwolą uchylić jej rąbka. ©



DENISE APPLEWHITE / PRINCETON UNIVERSITY

Mistrz gry

TOMASZ MILLER

John Horton Conway był matematycznym alchemikiem. Z kilku prostych reguł potrafił wyczarować struktury tętniące życiem.

CHOĆ ŚWIATEK MATEMATYKÓW DZIELI się na dziesiątki wąskich, specjalistycznych dziedzin, trudno znaleźć w nim kogoś, kto nie słyszałby o Johnie Conwayu. Jego idee i wyniki wywarły znaczący wpływ na teorię liczb i teorię gier, na geometrię, analizę i algebrę, a nawet na fizykę kwantową i teorię strun.

Jednak dla szerszego grona matematycznych pasjonatów jego postać zawsze będzie kojarzyć się głównie z całym mnóstwem gier i zagadek logicznych, w których wymyślanie i analizowanie Conway wciągnął się już na początku studiów w Cambridge. To pozornie niegroźne hobby wkrótce zaczęło graniczyć z obsesją, która odciągała go od nauki i znacznie wydłużyła jego studia doktoranckie. Przez wiele lat martwił się, że słabość do

takich „niepoważnych” zagadnień ostatecznie zrujnuje mu karierę akademicką. Tymczasem właśnie ona zrodziła jego dwa największe odkrycia.

Pierwszym, z którego był najbardziej dumny, był nowy rodzaj liczb – tzw. liczby nadrzeczywiste (ang. *surreal numbers*). Z kolei największą sławę przyniosła mu „Gra w życie” („*Game of Life*”).

Arytmetyka nieskończoności

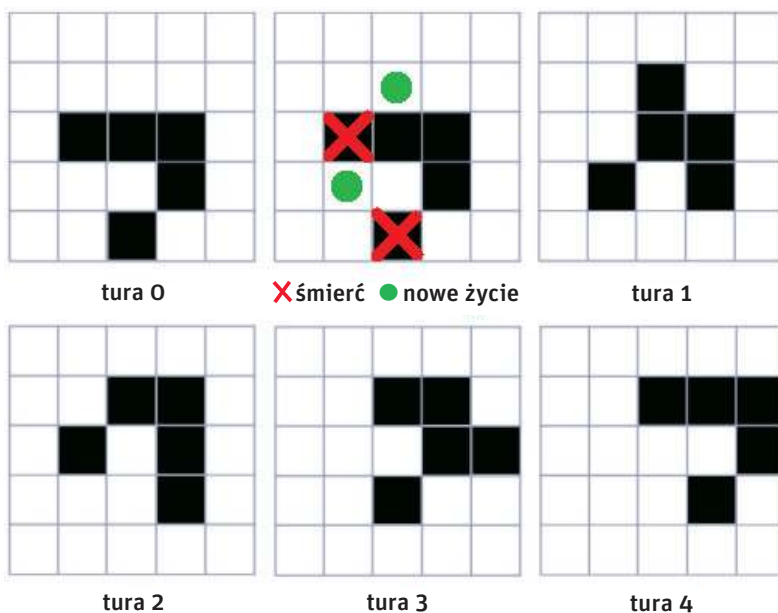
Współczesnych traktatów matematycznych raczej nie pisze się w formie dialogu. A jednak na taką właśnie formę zdecydował się informatyk Donald Knuth, pragnąc spopularyzować nowy system liczbowy opracowany przez Conwaya. Bohaterowie napisanej w tydzień i wydanej w 1974 r. powieści pod tytułem „Surreal

numbers. How two ex-students turned on to pure mathematics and found total happiness” („Liczby nadrzeczywiste. Jak dwoje eksstudentów zwróciło się ku czystej matematyce i odnalazło pełnię szczęścia”) natrafiają na wykuta w kamieniu starohebrajską inskrypcję zaczynającą się od słów: „Na początku wszystko było pustką, aż J.H.W.H. Conway ją stwarzać liczby”. Stylizowany na Księgę Rodzaju tekst najpierw opowiada, jak na bazie zbioru pustego zostało stworzone zero. Następnie zadaje regułę powstawania nowych liczb z tych skonstruowanych wcześniej, a także formułuje zrzęby arytmetyki („i widział, że były dobre”). Potem inskrypcja się urywa, a zaintrygowana para bohaterów przystępuje do samodzielnego dokończenia dzieła numerycznego stworzenia.

Początkowo wydaje się, że reguły Conwaya prowadzą po prostu do znanych ze szkoły liczb rzeczywistych. Oto w kolejnych krokach („dniach stworzenia”) stopniowo wyłaniają się liczby całkowite, a przestrzeń między nimi coraz gęściej wypełniają ułamki. Po nieskończonej liczbie kroków („w dniu omega”) bohaterowie potrafią już skonstruować każdą liczbę – zarówno wymierną, jak i niewymierną. Ze zdziwieniem odkrywają jednak, że w istocie otrzymali znacznie więcej, albowiem przepis Conwaya niejako mimochodem generuje także liczby „pozaskończone” oraz „infinitezymalne”, czyli odpowiednio większe i mniejsze od wszystkich dodatnich liczb rzeczywistych. Choć takie nieskończenie wielkie i nieskończenie małe obiekty były już wcześniej znane matematikom, to nie tworzyły tak wszechogarniającego, arytmetycznie spójnego systemu, w którym nieskończoności można nie tylko porównywać, dodawać i mnożyć (to potrafił już w XIX w. twórca teorii mnogości Georg Cantor), ale też odejmować i dzielić, a nawet pierwiastkować i logarytmować.

Mimo upływu niemal pół wieku o liczbach nadrzeczywistych wciąż wiemy stosunkowo niewiele. Sam Conway liczył, że okażą się przydatne w fizyce fundamentalnej, ale na razie ich zastosowanie właściwie nie wykracza poza tzw. kombinatoryczną teorię gier, w kontekście której zostały odkryte. Wszystko zaczęło się bowiem od tego, że pod koniec lat 60. Conway z ciekawości analizował... końcowe warianty partii go, czyli starochińskiej

Reguły życia i śmierci



- Żywa komórka (kolor czarny), która sąsiaduje z mniej niż dwoma żywymi komórkami, umiera z samotności.
- Żywa komórka, która sąsiaduje z więcej niż trzema żywymi komórkami, umiera z przeludnienia.
- Martwa komórka (kolor biały), która sąsiaduje z dokładnie trzema żywymi komórkami, ożywa.

„Sąsiaduje” oznacza „styka się bokiem lub wierzchołkiem”. W przypadkach nieuwzględnionych powyżej komórka nie zmienia swojego stanu. Ilustracja przedstawia tzw. *glider*, będący najprostszym układem przemieszczającym się. Co cztery tury powraca on do pierwotnej konfiguracji, tyle że przesuniętej do góry i w prawo.

gry planszowej porównywanej (niezbyt celnie) do szachów.

Życie na szachownicy

Mniej więcej w tym samym czasie Conway – również za pomocą planszy i kamieni do go – dokonał swojego drugiego największego odkrycia. Dotyczyło ono tzw. „automatów komórkowych”, wymyślonych kilkanaście lat wcześniej przez Johna von Neumanna i Stanisława Ulama.

Aby zrozumieć, czym jest automat komórkowy, wyobraźmy sobie świat jako wielką szachownicę. W świecie tym czas jest podzielony na tury. Każde kwadratowe pole – zwane „komórką” – może znajdować się w jednym z kilku stanów. Stan komórki może się zmieniać z tury na turę, przy czym to, czy tak się stanie, jest w całości zeterminowane przez stan ośmiu sąsiednich komórek, zgodnie z pewnymi przyjętymi na początku regułami. Właśnie dlatego mówimy o „auto-

macie” albo o „grze dla zera graczy”. Rola gracza ogranicza się bowiem wyłącznie do wyboru początkowego stanu poszczególnych komórek – potem gra toczy się już sama.

Von Neumann i Ulam badali automaty komórkowe, które miały zdolność samopowieliania lub symulowały pewne zjawiska fizyczne, takie jak ruch płynu. Conway był zainteresowany czymś innym – szukał możliwie najprostszych reguł, które prowadziłyby do zróżnicowanego, nieprzewidywalnego zachowania. Nie dysponując z początku maszyną liczącą, skupił się na komórkach o zaledwie dwóch możliwych stanach: „żywa” i „martwa”, umieszczając i zdejmując kamienie do go zgodnie z różnymi zestawami reguł. Po wielu miesiącach eksperymentów odkrył trzy zasady, które nie tylko zapewniały subtelna równowagę między życiem a śmiercią, ale także prowadziły do zaskakującego bogactwa form, przy-

wodzącego na myśl kolonie mikroorganizmów, które rosną, przemieszczają się, dzielą i umierają.

Tak narodziła się „Gra w życie”. Spopularyzowana w felietonie legendarnego Martina Gardniera na łamach „Scientific American”, natychmiast stała się przebojem. Nieliczni szczęśliwcy, którzy mieli dostęp do maszyn liczących, godzinami wpatrywali się w walkę o pikselowy byt. Jak głosi legenda, w latach 70. nawet jedna czwarta wszystkich komputerów świata (wliczając maszyny wojskowe), pokątnie grała w Conwayową „Grę” za sprawą urzęczonych nią programistów. Niczym egzotyczną faunę i florę, odkrywano i klasyfikowano coraz to nowe układy stabilne (*still life*), okresowe (*oscillators*), przemieszczające się (*spaceships*) albo zdolne wytwarzać inne układy (*guns*, *puffers*, *rakes*). W 1982 r. Conway udowodnił, że wewnątrz „Gry” teoretycznie możliwe jest skonstruowanie tzw. uniwersalnej maszyny Turinga, czyli komputera realizującego dowolny algorytm. W tego typu maszynie do przesyłania zero-jedynkowych sygnałów można wykorzystać tzw. *glidery* (zob. ramka), a w roli twardych dysków – proste układy stabilne. Komputer taki udało się zresztą skonstruować w 2000 r. i do dziś „inżynierowie życia” dokonują w nim kolejnych usprawnień.

„Gra w życie” wywarła głębokie wrażenie nie tylko na matematykach i informatykach. Ponieważ dostarcza uderzającego przykładu samoorganizacji i emergencji, bywa wykorzystywana przez fizyków, biologów, ekonomistów, a nawet badaczy umysłu jako ilustracja wyłaniania się złożonych zjawisk i zachowań z kilku prostych, niepozornych zasad.

Epilog

John Horton Conway zmarł nagle 11 kwietnia 2020 r. w wyniku komplikacji związanych z COVID-19, raptem trzy dni po pojawieniu się pierwszych objawów choroby. Miał 82 lata.

Randall Munroe, autor popularnego komiksu internetowego „xkcd”, stworzył krótką animację hołd dla genialnego matematyka. Widać na niej ludzką sylwetkę zbudowaną z 21 kwadratów, która nagle przeobraża się w pojedynczy *glider* ulatujący poza prawą górną krawędź planszy. Wszystko zgodnie z nieubłaganyymi regułami gry w życie. ©



Joanna Kulig na planie serialu „The Eddy”

SIEDEM MINUT NA ROWERZE

JOANNA KULIG, AKTORKA:

Musisz jedno stracić, by drugie zyskać.
Byłabym nieszczęśliwa, gdybym nie mogła grać,
ale pierwsze miejsce zajmuje dziś rola mamy.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jak to jest, wrócić do domu po pół roku w Paryżu?

JOANNA KULIG: Moja nieobecność w Polsce rozpoczęła się wcześniej: w zasadzie od festiwalu w Cannes w 2018 r., gdzie miała premierę „Zimna wojna”. Potem pół roku w Stanach, dalej trzy tygodnie w Warszawie, wreszcie – sześć miesięcy

w Paryżu. To była wielka przygoda, którą zawdzięçam właśnie „Zimnej wojnie”. Gdy leciałam z Warszawy do Nowego Jorku, miałam proroczy sen, że lecę w kosmos. I tam wylądowałam.

W serialu „The Eddy”, który właśnie ma premierę na Netflixie, grana przez Ciebie Maja, wokalistka

jazzowa, słyszy w jednej ze scen, że jest wyjątkową artystką.

Słyszy to od Elliota, szefa zespołu i jednocześnie mężczyzny, w którym jest zakochana.

Maja chce się jednak upewnić, czy to, co słyszy, jest prawdą. Znamienna scena, pokazująca chroniczną



LOU FAULON DLA NETFLIKSA

niepewność artysty. Ciekawi mnie, kiedy Ty po raz pierwszy usłyszałaś, że to, co robisz, jest wyjątkowe. Jeszcze w Twoich przedhollywoodzkich czasach?

Śpiewam od dziecka. I na ludziach zawsze to robiło wrażenie, podobało się, były brawa. Nie miałam kompleksu, że coś jest nie tak. Przeciwnie: widziałam, że dzielę się z innymi tym, co kocham, a oni przyjmują to z entuzjazmem.

Co śpiewałaś?

„Deszcz, jesienny deszcz” – to np. na akademii w szkole. Ale w domu nie śpiewałam partyzanckich pieśni, tylko próbowałam naśladować Whitney Houston czy Andrzeja Zauchę. Uwielbiałam „Czas nas uczy pogody” Grażyny Łobaszewskiej. Potem była moda na Kasię Kowalską, Edytę Bartosiewicz, Kasię Stankiewicz i jej „Orla cień”. No i Piasek, „Są ludzie, są serca”...

Ech...

A Marek, mój najstarszy brat, zaraził mnie Czesławem Niemenem. Uwielbiałam jego „Wspomnienie”: „Mimozami

jesień się zaczyna...”, ale też „Pod papugami”. „Dziwny jest ten świat” śpiewałam *a capella*.

To trudny utwór.

Bardzo trudny. A później, gdy zaczęłam edukować się muzycznie, przyszedł czas na świadomą pracę z głosem, by móc wykonać jeszcze bardziej skomplikowaną etiudę.

Szło mi to mozolnie, miewałam kryzysy, bałam się, że pewnych rzeczy nie uda mi się wyćwiczyć.

A szkoła aktorska?

Tu z wiarą w siebie było najciężej. W ogóle cała edukacja teatralna jest podróżą w głąb, emocjonalnym otwieraniem w sobie zarówno stron mocnych, jak i słabych. Poznawałam samą siebie, zderzałam się ze sferami psychologicznymi, do których nie miałam dostępu w codziennym życiu, człowiek zwykle przecież tak głęboko w sobie nie grzebie.

Żeby nie bolało?

Podam przykład: podczas zajęć trzeba na zawołanie zacząć płakać, bo tego wymaga scena. Jedna z moich koleżanek z roku powiedziała mi, że umiejscowiła sobie potrzebne dla tego stanu emocje w pewnej części brzucha, i kiedy tylko o tym pomyśli, łzy same napływają jej do oczu. A u mnie, niestety, takie patenty nigdy nie działały.

Z czasem nauczyłam się wywoływać emocje poprzez precyzyjną analizę psychologiczną postaci. Jeśli w tę postać uwierzę, to płaczę. Anna Polony, moja mentorka, powtarzała na studiach, że aktor to jest stworzenie, które powinno być szalenie empatyczne: ma umieć wyobrażać sobie czyjąś sytuację i odczuć ją na własnej skórze.

Czyli musi boleć.

Ze szkoły dobrze pamiętam zajęcia z Beatą Fudalej. To dopiero było łamanie kręgosłupa, ale jakże przydatne! Beata z jednej strony doceniała mój potencjał wokalny, ale aktorsko, interpretacyjnie, piłowała mnie do bólu, bo ciągle było coś nie tak... Gdy przygotowywałam repertuar Kabaretu Starszych Panów, to z każdej piosenki musiałam wyciągać głęboko ukryte sensory. To znacznie więcej niż w przypadku śpiewania w szkole muzycznej. Ale gdy wychodziłam na scenę z konkretnym tematem, zaczynało

się prawdziwe aktorstwo i muzyka nabierała nowego znaczenia. Potem, podczas jednego z egzaminów końcoworocznych, kiedy zaśpiewałam „S.O.S.” Przybory i Wasowskiego, każde słowo było przepełnione emocją. Pamiętam to do dziś, bo ta emocjonalność zadziałała nie tylko na publiczność, ale na mnie też.

Ten tekst jest wspaniały. Po raz pierwszy „S.O.S.” w połowie lat 60. wykonała Kalina Jędrusik: „Nasza miłość jest słaba i głodna / Nasza miłość ma lęk miłowania / Nasza miłość tak niegdyś dorodna / Gdy podniebny jej rydwan nas niósł / Ta orlica, ta lwica, ta łania / Niedościągła, zachłanna i lotna / Dziś gorącym uściskom się wzbrania / Pocałunki nie nęcą jej ust”.

A na trzecim roku studiów już grałam w Starym Teatrze, w spektaklach Mai Kleczewskiej, Mikołaja Grabowskiego, Jana Klaty. To było dla mnie wyróżnienie. Wiedziałam, że stojąc z moimi nauczycielami ze szkoły na scenie będę się uczyła wszystkiego, co w tym zawodzie najważniejsze.

Na czwartym roku zagrałam w filmie „Środa, czwartek rano”, więc bardzo szybko wskoczyłam też w maszynę filmową. Pozornie wszystko szło po mojej myśli, ale w głębi duszy czułam, że nie jestem przygotowana na tak wiele.

I w 2008 r. zrezygnowałaś z etatu w Starym. Przestałaś wierzyć w swoje możliwości?

To nie tyle był brak wiary w swoje możliwości, co raczej przeciążenie, kompletne zagubienie i niewiedza, w którym kierunku mam podążać. Intuicja podpowiadała mi, że to moment, kiedy powinnam się cofnąć, by złapać perspektywę: oderwać się, zobaczyć, co dalej i czego od siebie samej potrzebuję. Bo ja wtedy w aktorstwo rzucałam się nałogowo.

Nałogowo?

Bez granic, a to dla psychiki szalenie obciążające. Aktorstwo zaczęło mnie wykańczać.

Przed podjęciem decyzji o rezygnacji z etatu w Starym na kartce wypisałam plusy i minusy. Największym minusem było opuszczenie środowiska: ludzi, którzy byli dla mnie ważni, otoczyli mnie opieką. Ale z drugiej strony było wyciszenie, potrzebny oddech. Nie byłam jeszcze ➔

↳ gotowa na tak intensywną zawodową eksploatację.

A teraz, po nominacji do Oscara „Zimnej wojny” Pawlikowskiego z Tobą w roli głównej i po szeregu nagród, które odebrałaś, także dla najlepszej aktorki europejskiej?

Teraz płacę cenę za sukces. Pytasz jaką? Na pewno jest to totalna utrata anonimowości. Plus presja, pod której ciężarem musisz podejmować decyzje.

Presja?

O koszcie sukcesu trudno mówić, by to nie zabrzmiało: „O Boże, taka kariera, a ona jeszcze mówi o problemach”.

Tym bardziej powinnaś to wytłumaczyć.

To sytuacja, w której producenci, agenci oczekują, że pójdziesz za ciosem, że nie bacząc na zmęczenie, na fakt, iż dopiero co urodziłaś, oddasz się nie jednemu, ale dwóm, trzem projektom. To presja dziennikarzy, środowiska: czy jej się uda? To propozycje, na które trzeba momentalnie odpowiadać, i świadomość, że każde „nie” wiąże się z dalekosiężnym ryzykiem. I pewnie świetnie bym sobie z tym poradziła, ale to wszystko wydarzyło się w najszczególniejszym dla mnie momencie życia – kiedy na świat przyszło moje pierwsze dziecko.

Czy ryzyko polega na tym, że taka szansa może się nie powtórzyć?

Że musisz jedno stracić, by drugie zyskać. Wiem, że muszę słuchać swojej intuicji i nie gubić priorytetów. Teraz najważniejsze jest dla mnie macierzyństwo. Byłabym nieszczęśliwa, gdybym nie mogła pracować, ale to rola mamy zajmuje dziś pierwsze miejsce.

I da się to wszystko pogodzić?

Bywało ciężko, ale tak. Casting do „The Eddy” wygrałam 7 lutego – w dniu terminu porodu. Byłam wtedy w Stanach, promowałam „Zimną wojnę”. Rano 4 lutego umówiłam się z reżyserem, Damienem Chazelle’em. Damien był pod wrażeniem „Zimnej wojny”, to tam mnie po raz pierwszy zobaczył i pomyślał o mnie w kontekście obsady swojego nowego projektu.

Damien Chazelle to cudowne dziecko kina. Każdy jego film jest artystycz-

nym wydarzeniem – i „Pierwszy człowiek”, i „Whiplash”, i „La land”, musical, za który dostał sześć Oscarów.

Akcja „The Eddy” toczy się w środowisku jazzowym w Paryżu, a sam serial też ma dryg musicalowy. Dlatego warunkiem obsadowym była muzykalność aktorów. Każdy musiał na czymś świetnie grać lub śpiewać. Więc zaraz po spotkaniu z Damienem zostałam poproszona o przygotowanie dwóch utworów i nagranie *self-tape*. Chciano mnie sprawdzić w nowoczesnym jazzowym brzmieniu. Pracowałam nad tym dwa dni, jednocześnie będąc gotową na to, że w każdej chwili mogę urodzić. Jednak intuicja podpowiadała mi, że może zamiast się nagrywać, lepiej byłoby pokazać się na żywo? I tak miało dojść do przesłuchania, które wyznaczono na planowany dzień porodu. Powiedziałam, że jeśli mały człowiek w brzuchu nie będzie się spieszył, przyjadę.

Na wszelki wypadek spakowaliśmy z mężem do samochodu walizkę „porodową” i ruszyliśmy do studia w Hollywood. A do tego studia prowadzi akurat Aleja Gwiazd. Kroczyłam nią i myślałam sobie: „Ho ho ho, idę na casting Aleja Gwiazd!”. Potem ekipa opowiadała, jakie wrażenie zrobiło na nich wejście z impetem kobiety w zaawansowanej ciąży z ustami pomalowanymi na czerwono (*śmiech*). Na pięterku stał fortepian, zaczęliśmy grać, ucieszyli się, że płynnie czytamy nuty. Był czas na to, by poprobować rozmaite kawałki, zaśpiewałam też po polsku – oczywiście „Dwa serduszka”. Glen Ballard, kompozytor muzyki do serialu i jego pomysłodawca, sześciokrotny laureat Grammy zapytał: „Czy ty jesteś w stanie przygotować czternaście utworów po angielsku na za dwa miesiące?”. Ja: „No jasne, że tak”. A kilka dni później urodziłam Jasia.

Chwilę po porodzie odpoczywałam, potem było rozdanie Oscarów. Minęło ledwie 10 dni i dzwoni telefon, że koniec odpoczynku i czas zacząć przygotowywać utwory. Po godzinie zainstalowano mi w domu keyboard i kolumny, a po dwóch przyjechał Glen ze swoim pianistą Dannym i zaczęliśmy tę niespodziewaną przygodę... z dzieckiem przy piersi.

I?

Kiedy Jaś miał pięć tygodni, produkcja zarządziła przerzut do Paryża, gdzie

mieliśmy kontynuować przygotowania. Jednak po ponad półrocznym pobycie w USA musiałam choć na chwilę wrócić do Polski. Tęskniłam za rodziną, przyjaciółmi, za swoim mieszkaniem. Poza tym trzeba było Jaska wszystkim przedstawić. Zaproponowałam więc produkcji, żeby dali mi dwa tygodnie, ale jednocześnie, żeby mój muzyczny *coach* mógł polecić ze mną. Wszystko, aby nie tracić tej i tak małej ilości czasu. Miałam dobrą intuicję, bo to mnie uratowało.

Jak?

Danny zamieszkał w Warszawie w hotelu, gdzie została zaaranżowana sala prób – keyboard i mikrofon. Całą strategię miałam perfekcyjnie opracowaną: próby trwały od dziesiątej do czternaście, czasami na moment wracałam na nie wieczorem. Moim środkiem transportu był rower. Miałam obliczony czas dojazdu: dokładnie siedem minut. Wychodziłam z domu, gdy Jaś spał, a gdy był głodny, to teściowa albo moja mama dawały mi znać: ja na rower, siedem minut i byłam w domu. Karmiłam go i wracałam na próbę.

Do czegoś takiego zdolna jest tylko kobieta.

Przez te dwa tygodnie opracowałam siedem utworów. A jak Jaś miał dwa miesiące, poleciliśmy do Paryża. Tu było ciężiej: dojazd na próby zajmował co najmniej godzinę, do tego przymiarki, próby aktorskie, nauka tekstu. Nauczenie się skomplikowanej logistyki, łączącej pracę na wysokich obrotach z opieką nad małym dzieckiem, zajęło mi trochę czasu.

Chodziło o to, by było w miarę spokojnie. I to mi się udało, z tego jestem dumna. Kiedy zaczęły się zdjęcia, ten rytm mocno już się utrwalił. Przeważnie około drugiej po południu jechałam na plan, kończyłam o drugiej w nocy, wracałam, dosypiałam do dziewiątej, rano Jaś był z moją mamą lub teściową, potem ja się nim zajmowałam. Mogłabym mieć dziecko na planie, ale wolałam to oddzielać: skupić się wyłącznie na pracy i wyłącznie na dziecku, nie mieszać tych sfer.

Ale mówiąc szczerze: jakby mi ktoś drugi raz kazał to zrobić, w życiu bym się nie zgodziła.

Kiedy Patricia Arquette odbierała Oscara za rolę kobiecą w „Boyhood”,

zwróciła się do każdej kobiety, która urodziła dziecko, by w branży filmowej powalczyć o równe zarobki z mężczyznami. W tej sferze są ogromne dysproporcje.

Ważna też była akcja #MeToo – poprzez uwrażliwienie na przemocowość zwiększyło się bezpieczeństwo w Los Angeles. Widziałam ostatnio świetny serial „The Morning Show”, opowiadający właśnie o nadużyciach seksualnych. Ten problem pokazany jest tam z różnych perspektyw, także z tej, kiedy #MeToo wykorzystuje się do załatwiania prywatnych interesów. Co jest o tyle szkodliwe, że cierpią na tym głównie prawdziwe ofiary.

Przekraczanie granic zawsze będzie ródzić problemy, zwłaszcza w branży filmowej, gdzie z jednej strony reżyser jest dla aktora szefem, mówiącym, co ma zrobić, a z drugiej strony wchodzi z nim w intymną relację psychologiczną. Dlatego tak ważne są klarownie wyznaczone zasady pracy aktora i reżysera, których przestrzeganie gwarantuje zachowanie równowagi.

To jeszcze zapytam o emocje. Jak to jest: wyrażać je grając w języku angielskim i francuskim? Bo po polsku w „The Eddy” Maja wyraża wyłącznie gniew.

Spontaniczne, improwizowane wyrażanie emocji w obcych językach nie należy do rzeczy naturalnych. A gra w tym serialu była mocno oparta na improwizacji. Musiałam więc przekroczyć kolejny aktorski próg. Pomagała mi w tym znakomita francuska *coach* aktorska – Dany Héricourt. Oprócz tego, że pracowała z aktorami nad rolą, była też w ścisłym kontakcie ze scenarzystą i reżyserem. Dbała o spójność scen – zmieniała dialogi, aby brzmiały naturalnie, kiedy np. Elliot grany przez André Hollanda przechodził z angielskiego na francuski, a ktoś inny z francuskiego na arabski. Czuwała nad tym, by nie stworzyć wielokulturowego węzła gordyjskiego, językowego bałaganu. Gdy ćwiczyliśmy dialogi, to np. często biegałam lub rzucałam piłką. Chodziło o to, żebym była w jakimś ruchu, by mówienie było organiczne, naturalnie ze mnie płynęło, a nie sprowadzało się do poprawnie wyuczonej melodii, dobrze postawionego akcentu i intonacji.

A co z polskimi przekleństwami?



LOU FAULON DLA NETFLIKSA

Przesłuchanie wyznaczono mi na planowany dzień porodu.

Odpowiedziałam,
że przyjadę, jeśli mały
człowiek w brzuchu
nie będzie się spieszył.

Uznaliśmy, że najbardziej autentyczne będzie, jeśli Maja wpadając w furję znacznie rzucić mięsem w swoim rodzimym języku. W parach, w których kobieta pochodzi z innego kraju niż jej partner, w skrajnych nerwach zazwyczaj przechodzi ona na język ojczysty.

Zdecydowana część obsady „The Eddy” to naturszczycy.

Zawodowi muzycy. Damien Chazelle miał pomysł, by tę fabułę kręcić metodą dokumentalną: zespół grał na żywo, pracowały trzy kamery, nie było potrzeby, by sekwencję powtarzać wielokrotnie. To bardzo pomagało w pracy. A wspomniana Dany też świetnie ich prowadziła, miała w sobie delikatność, która ich nie zamykała. Muzycy jazzowi poprzez otwartość na improwizację byli też gotowi przyjąć uwagi aktorskie.

Byłam pod wrażeniem, jak oni je realizują. Nie jestem pewna, czy to by działało w drugą stronę: gdyby aktor bojący się śpiewać miał do wykonania kilkanaście piosenek.

Opisz na koniec to uczucie, kiedy po porodzie położna kładzie dziecko na brzuchu matki.

Niedowierzanie i radość jeszcze nieświadomiana, bo byłam mocno znieczulona. Wstrząs i szal wszystkich emocji naraz. A z czasem ta emocjonalna bomba rozkłada się na atomy i pojedynczo zaczyna do ciebie docierać, że masz dziecko i jesteś mamą. Pytasz, kiedy do mnie dotarło? Zabrzmi to paradoksalnie, lecz dopiero teraz, w trakcie pandemii, mam prawdziwy urlop macierzyński. Jestem z Jankiem dzień w dzień już siódmy tydzień, nikt nic ode mnie nie chce, nikt nie dzwoni.

Ksiądz Wojtek Drozdowicz z warszawskiej parafii na Bielanych powiedział, że mamy teraz przymusowe rekolekcje. Rzeczywiście, bez naszej woli musieliśmy zwolnić i zsynchronizować się z rytmem natury. Zdaliśmy sobie sprawę, jak bezkarnie wyeksploatowaliśmy naszą planetę. Nagle fakt, że człowiek ma kawałek ogródka koło domu, okazuje się największym przywilejem i szczęściem: widzi zieleń, drzewa, kwiaty... Prawdziwie koi go przyroda.

Po tym wszystkim podzielimy nasze życie na przedpandemiczne i popandemiczne. Ostatnio wyjęłam kalendarz, w którym jeszcze przed ogłoszeniem pandemii zapisałam swoje plany na tę wiosnę. Te zapiski czytałam wczoraj mężowi, i tylko śmialiśmy się pod nosem. Możemy sobie planować...

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

JOANNA KULIG (ur. 1982 w Muszynie) jest aktorką. Po nieudanych egzaminach do Instytutu Jazzu w Katowicach dostała się za drugim razem na Wydział Wokalno-Aktorski w krakowskiej PWST. W teatrze debiutowała w „Śnie nocy letniej” w reżyserii Mai Kleczewskiej. W filmie zagrała m.in. w „Sponsoringu” Małgorzaty Szumowskiej, „Klerze” Wojciecha Smarzowskiego, „7 uczuciach” Marka Koterskiego. Za rolę w „Zimnej wojnie” w reżyserii Pawła Pawlikowskiego otrzymała Europejską Nagrodę Filmową dla najlepszej aktorki. 8 maja na Netflixie, internetowej platformie filmowej, odbędzie się premiera serialu „The Eddy” z jej udziałem.

Dom i świat

MICHAŁ SOWIŃSKI

Nie trzeba jechać daleko – lokalność jest w cenie, a w najbliższych miesiącach i latach jej wartość z pewnością jeszcze podskoczy.

TO NIE JEST DOBRY CZAS, ABY WŁÓCZYĆ się bez celu. Skupieni na swoich zadaniach, niepewni o przyszłość, dobrowolnie zrzekamy się tej fundamentalnej przyjemności. Jej skala nie ma tu znaczenia: może chodzić o kilkanaście przecznic wyznaczających granice dzielnicy albo o odległe zakątki naszego kraju, a nawet drugi koniec świata. Zasada jest ta sama – udać się gdzieś (albo po prostu iść przed siebie) bez konieczności tłumaczenia się przed kimkolwiek – ani przed policjantem, ani przed samym sobą.

Jeszcze się powłóczymy. Może nie tej wiosny, może w ogóle nie w tym roku, ale kiedyś na pewno. Aby się do tego przygotować, warto sięgnąć po książki, które z miłości do włóczęgi powstały. Pisarzy i pisarki można z grubsza podzielić na dwie kategorie – jedni uciekają przed światem, drugim rzeczywistości zawsze jest za mało. Ci pierwsi zamykają się szczególnie w czterech ścianach, odcinają sobie internet i na maszynach do pisania, z głębi tej ascezy, snują plastyczne i zmysłowe opowieści. Dla drugich, którzy nie potrafią usiedzieć na miejscu, nie ma pisania bez ruchu i na odwrót. Obie czynności są u nich wypełnione w sprzężeniu zwrotnym. To literackie *perpetuum mobile* działa najlepiej pozostawione same sobie. Prawdziwa włóczęga musi być bowiem pozbawiona konkretnego celu, co oczywiście nie oznacza, że pozbawiona jest również sensu. Po kogo więc sięgnąć?

Można tylko wracać

„Bo jechać to jest nic. Najważniejsze zaczyna się potem, właśnie teraz, gdy wszystko już znieruchomiało, struchlało i powoli obraca się w nicość” – pisze Andrzej Stasiuk w „Fado”, być może najbardziej melancholijnej ze swoich książek, będącej jednocześnie wielką pochwałą piarskiej włóczęgi. U Stasiuka świata doświadcza się zawsze dwa razy – pierwszy, bezpośredni kontakt to za mało (albo też za dużo), dlatego potrzebny jest drugi, już *ex post*, zapośredniczony w słowach. Pisanie ożywia wspomnienie, ale jednocześnie formatuje je w gotową historię, którą można już tylko przekazywać dalej.

W ten sposób następuje zużycie pamięci: słowa wypierają to, co niepowtarzalne i zmysłowe. Jednak tak już musi być, pisze się bowiem tak długo, aż „myśl i złudzenie ostatecznie nie przykryją rzeczywistości, nie zmyją, nie wytrą tych wszystkich nazw i krajobrazów, tych zdarzeń, bez których można by się obejść, i tych przygód, które równie dobrze mogłyby się przydarzyć komu innemu...”. Gdy proces się dopełni, a koło zamknie, znów znajdujemy się w punkcie wyjścia, znów nienasyceni światem, głodni kolejnych miejsc, widoków i zapachów. Oblędne koło zachwyty i rozczarowania.

Dla jednych to zarzut, dla innych wprost przeciwnie – Stasiuk od lat pisze wciąż na nowo tę samą książkę. To nie bedeker, z którego można by zaczerpnąć praktyczne informacje o świecie, lecz raczej subiektywny przewodnik po własnych olśnieniach, ale też katalog prywatnych obsesji, dziennik powstającej na bieżąco mitologii. Opisuje świat, w którym granice państw liczą się mniej niż wododziały rzek (te słowackie, choć tak bliskie, wpadają przecież do innego morza), a odległości bywają kwestionowane, gdy galicyjskie krajobrazy tasują się ze swoimi środkowoeuropejskimi sobowtórami. Te podróżo-opowieści dostarczają nam przede

wszystkim pożywki dla wyobraźni, pozwalają smakować rzeczywistość cudzym podniebieniem. Bo inaczej jak moglibyśmy dotrzeć do tych wszystkich miejsc?

Zamrożony absolut

Jeśli już jesteśmy przy geografii nicości, warto sięgnąć po książkę Michała Milczarka „Donikąd”. Bardziej niż prozę podróżniczą przypomina ona reportaż z poszukiwania granic rzeczywistości. Zaczyna się od map i atlasów, które wraz z rosnącymi równoleżnikami wypełniają się białymi i zniekształconymi plamami. Milczarka interesują miejsca odległe, im dalej na północ, tym lepiej. Tam właśnie, w okolicach koła podbiegunowego, gdzie wszystko zasypane jest śniegiem i skute lodem, rzeczywistość ulega stopniowej anihilacji. Pojawia się niepowtarzalna możliwość, by spojrzeć na absolut w stanie czystym.

Brzmi groźnie, ale włóczęga bywa przecież zajęciem bardzo poważnym. Obszar swoich poszukiwań (przynajmniej w tej książce) Milczarek zawężył do północnych rubieży Rosji. Odwiedza miejsca zupełnie nieprawdopodobne, osady oddzielone od reszty cywilizacji setkami kilometrów tajgi albo dzikich pustkowi. Miejsca, w których tak bardzo nic nie ma, że aż przepełnione są nicością. Najczęściej to pozostałości dawnego imperium, dziś już niepotrzebne, ale trwające siłą inercji na przekór wszystkiemu.

Nie jest łatwo się tam dostać – i nie chodzi wyłącznie o skomplikowaną logistykę (bez doświadczenia i samozaparcia autora trudno byłoby powtórzyć jego wyczyny), ale o niebezpieczeństwo, nazwijmy je, egzystencjalne. Wiemy przecież, że otchłań, gdy patrzymy w nią wystarczająco długo, odpowiada spojrzeniem. Relacje Milczarka pozbawione są fabularnych fajerwerków – sporadycznie jedynie pojawiają się ciekawostki i scenki rodzajowe z życia rosyjskiej prowincji. Ale lektura jego prozy przyprawia o dreszcze i zawrót głowy. Zupełnie jakby słuchało się opowieści z innej planety, niepokojąco podobnej do naszej. Czuć tu i oddech autora, i niekończącą się przestrzeń, której nie sposób objąć myślą. Genialne, choć czasem ryzykowne ćwiczenie z rozciągłości wyobraźni.

Turysta polski

Po widmowym cieple dawnego imperium sowieckiego uwielbia się włóczyć



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



PIOTR SPIGIEL

Agnieszka Pajęzkowska ze swoim wędrownym zakładem fotograficznym, sierpień 2019 r.

również Juliusz Strachota. Zarówno „Turysta polski w ZSRR”, jak i właśnie wydana jego kontynuacja, czyli „Krótka wycieczka na tamten świat”, to wielka pochwała ruchu – potrzeby szwendactwa, która, niczym para w kotle, musi znaleźć ujście, bo inaczej doprowadzi do eksplozji.

W tym konkretnym przypadku zba-wiennym pretekstem okazuje się przypadkiem znaleziony stary przewodnik po Związku Radzieckim. A w nim miejsca, którym nie sposób się oprzeć: Alma Ata, Erewań, Samarkanda, Jałta, Leninabad, Duszanbe, Nowy Aton i wiele innych, poruszających wszystkie struny wygłodnia-łej wyobraźni.

U Strachoty samo brzmienie obcych nazw może wywołać trudną do opisa-nia rozkosz. W tej dziwnej epopei o po-szukiwaniu utraconego czasu i pamięci (bo to również zapis wychodzenia z wie-loletnich nałogów) przestrzeń rzeczywi-sta splątała się już ostatecznie z symbo-liczną, więc każda podróż siłą rzeczy za-mienia się w metaforę – choć jej znacze-nie, podobnie jak cel wędrowki, zawsze pozostaje niepewne. Postradzieckie re-publiki Kaukazu i Azji Środkowej kuszą egzotyką, podszytą w dodatku imperial-

nym, siermiężnym modernizmem, po-woli kruszejącym i ustępującym miejsca fantazyjnym wykwitom późnego kapi-talizmu. Miejsca dziwnie eklektyczne, a przez to stawiające opór łatwym opisom czy syntezom.

Pretekstów do dziwnych i dalekich podróży nie brakuje (w najnowszej po-wieści to tajemnicza przeszłość dziadka-bigamisty i jego radzieckiej rodziny, którą porzucił dla armii Berlinga). Ze Strachotą dobrze jest się powłóczyć, bo to antypody rutyniarstwa zawodowych ple-cakowców, uprawiających „kolonializm contentowy”, w którym „ziemia jest źró-dłem pozyskiwania treści na Instagram”. Warto spojrzeć na świat jego oczami i za-chwycić się detalami na pozór nieistot-nymi: kształtem codziennych przedmio-tów, kątem padania światła, nasyceniem kolorów czy dziwnymi relacjami prze-strzennymi między budynkami.

Czasem ta spokojna włóczęga zamienia się w gorączkową gonitwę, z której wy-laniają się konstelacje prywatnych sen-sów i znaczeń. Nie zawsze za tym nadą-żamy, ale też nie musimy. Możemy sta-nąć obok i cieszyć się ciepłym słońcem, które nieśmiało przebija zza kolejnych szaleńczych rozdziałów.

Znawca kraju

Mongolia, Kazachstan czy Kamczatka – czasem to trochę za dużo (a przy oka-zji – orientalne ciagoty naszych rodzi-myh podróżników to temat na osobne rozważania). Niekiedy chcemy powłó-czyć się po krajobrazie bliższym, bardziej swojskim, co nie znaczy, że oswojonym. W tym celu wystarczy otworzyć dowolny tekst Adama Robińskiego.

Zarówno w debiutanckich „Hajstrach”, jak i w wydanych parę miesięcy temu „Kiczerach” kreśli on nieoczywisty por-tret Polski spoza turystycznych szlaków i kurortów. Nie trzeba jechać daleko – lo-kalność jest w cenie już od jakiegoś czasu, a w najbliższych miesiącach (może i la-tach) jej wartość z pewnością jeszcze pod-skoczy. Dlatego warto rozejrzeć się po naj-bliższej okolicy, trochę pogrzebać, doczy-tać – prawdziwe cuda tylko czekają na od-krycie.

Bierzmy przykład z Robińskiego, któ-rego metoda zasadza się na uważności. Porzućmy zachłanność i pośpiech – grze-chy główne prawdziwego krajoznawcy (przywróćmy dawny blask tej profesji!). Nie chodzi tu przecież o zdobywanie ko-lejnych wrażeń, którymi można han-dlować w mediach społecznościowych. ➔

→ Nie oczekujmy też, że każde odkrycie będzie zapierać nam dech – takie piękno szybko się zużywa, bo jest łatwe i oczywiste. Tu chodzi o włóczęgę powolną, taką, która koi i daje nadzieję.

Portrety prowincji

Czasem jednak puste Bieszczady i zapomniane kanały rzeczne to za mało – potrzebni są jeszcze ludzie: ze swoimi problemami, żałami, ale też nadziejami i namiętnościami. Ich galerię znajdziemy w „Wędrownym zakładzie fotograficznym” Agnieszki Pajączkowskiej.

Pomysł był prosty – ruszyć w trasę wzdłuż wschodnich granic Polski, odwiedzić zapomniane przez wszystkich wsie i robić portretowe fotografie ich mieszkańcom. Ot tak, za darmo, ewentualnie za talerz zupy albo koszyk jajek. W epoce cyfrowej papierowe zdjęcie to niemalże eksces, zwłaszcza że większość bohaterów i bohaterek książki Pajączkowskiej ostatni raz stała przed obiektywem z okazji ślubu, dobre pół wieku temu. Dlatego ta podarowana fotografia zyskuje szczególną wartość, bo pozwala ludziom samotnym i żyjącym – dosłownie i w przenośni – na uboczu społeczeństwa poczuć się w końcu dostrzeżonymi przez kogoś.

„To nie fotografia była celem, ale bycie w drodze” – pisze jednak autorka i trudno się jej dziwić. Opis jej włóczęgi po najdalszych zakamarkach naszego kraju może pobudzić serca nawet najzawziętějších domatorów. Dojrzałe lato – wszystko tonie w zieleni, drzewa uginają się od owoców, pachną zioła i koszone siano. Po wielu tygodniach zamknięcia same opisy mogą przyprawić o zawrót głowy. Pajączkowska jednak nie jest naiwną mieszczką spragnioną mitycznej sielskości wsi spokojnej i wesołej.

Porzućmy zachłanność
i pośpiech – grzechy główne
prawdziwego krajoznawcy.

Nie oczekujmy też,
że każde odkrycie
będzie zapierać nam dech.

**Tu chodzi o włóczęgę
powolną, która koi
i daje nadzieję.**

Zachwyt nie przesłania ciemnych stron polskiej prowincji, która w tej książce zyskuje bardzo ciekawy i wielowymiarowy portret. Wszechobecny jest seksizm i patriachat (młoda kobieta sama w furgonetce...), ksenofobia i antysemityzm. Ale też empatia, kojący spokój i trwanie na przekór walcowi kapitalistycznej logiki.

Polska prowincja, która w zastraszającym tempie starzeje się i wyludnia, to przestrzeń skomplikowana – zachwycająca i odpychająca. Być może to właśnie ta niepowtarzalna mieszanka piękna i goryczy sprawia, że włóczenie się po niej z Pajączkowską ma tak niepowtarzalny smak.

On the road

Albo można jeszcze inaczej – prościej i bez żadnych zobowiązań. Po prostu ruszyć w drogę i patrzeć, jak krajobraz leniwie przewija się za oknami. Taką niespieszną przejażdżkę (niespełna 5 tys. km w dwa tygodnie) bez celu, szosami powiatowymi i gminnymi, proponuje Piotr Marecki w swojej właśnie wydanej „Polsce przydrożnej”. W pewnym sensie to lite-

racki eksperyment (nie pierwszy i nie ostatni tego autora) – proza podróżnicza doprowadzona do ekstremum, zredukowana do suchego i automatycznego zapisu wrażeń oraz zasłyszanych rozmów. Taki widok z Google Maps, tyle że z opcją audio.

Marecki rejestruje rzeczywistość, ale jej nie komentuje. Pojawiają się tu obskurne bary i moteliki, a obok nich cuda architektoniczne i przyrodnicze. Ludzie opowiadają swoje historie – często zwykłe i codzienne, czasem smutne, kiedy indziej zupełnie nieprawdopodobne. Przewijają się litanie nazw wsi, które działają na onomastyczną wyobraźnię nie gorzej niż ich tadzyckie odpowiedniki. Zdarzają się też zabawne zderzenia perspektywy lewicującego wielkomiejskiego inteligenta i tradycyjnych form polskiego życia. Co ciekawe – nie czuć tu wyższościowego zgrzytu. Być może dlatego, że obie strony obśmiewają się po równo. A wszystko to zatopione w dusznym czerwcowym upale, którego z utęsknieniem wyglądamy.

Przyszłość, nawet ta najbliższa, wciąż jest niepewna. Nie wiadomo kiedy i czy w ogóle wrócimy do świata sprzed pandemii. Z pewnością przemysł turystyczny – ze swoją masowością i produkowanymi na fabryczną skalę wrażeniami – będzie długo podnosił się z kryzysu. A my się wreszcie przekonamy, że krótka włóczęga po okolicy może być ciekawsza niż odhaczanie kolejnych turystycznych atrakcji.

Głód świata, który odczuwamy teraz tak intensywnie, da się bowiem zaspokoić na wiele sposobów. Intensywność doświadczeń zależy przede wszystkim od naszej wyobraźni. Ćwiczmy ją, bo wkrótce znów ruszymy w drogę.

© P MICHAŁ SOWIŃSKI

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie (sygn. akt I Ns 48/19) z wniosku Wiesława Oleksiejuka o stwierdzenie nabycia spadku po Irminie Podkowie, ostatnio zamieszkałej w Chełmie, zm. 17 grudnia 2018 roku w Chełmie. W skład spadku po Irminie Podkowie wchodził udział 1/6 w prawie własności nieruchomości położonej w Chełmie przy ul. Reformackiej, stanowiącej działkę gruntu nr 668, o powierzchni 0,0145 ha.

Wzywa się spadkobierców Irminy Podkowie, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydziale Cywilnym, w sprawie I Ns 673/19 z wniosku Zofii Gaik toczy się postępowanie o stwierdzenie, że Zofia Gaik z dniem 1 stycznia 2019 roku nabyła przez zasiedzenie nieruchomość nr 518 położoną w miejscowości Świerże, gmina Dorohusk, powiat chełmski, o powierzchni 0,11 ha, dla której nie ma urzędzonej księgi wieczystej.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili się w tutęjszym Sądzie i udowodnili swoje prawo do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o zasiedzenie.

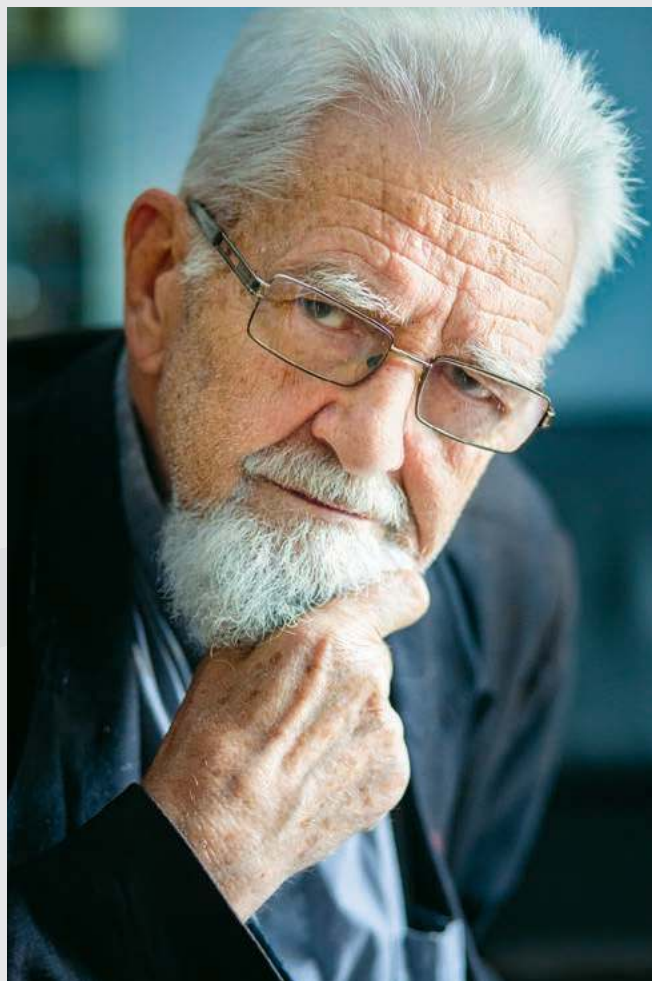
Przyjaciele!

Bez Was i Waszego wsparcia nie
moglibyśmy robić takiego pisma,
jakie byśmy chcieli Wam dać
i jakiego oczekujecie.

Szczególnie w tym roku, naszego
75-lecia, prosimy o przekazanie nam
1% w rozliczeniu rocznym, a także
o darowizny – aby „Tygodnik” mógł
trwać kolejne 75 lat, tak jak do tej
pory, niezależnie od okoliczności.

ks. Adam Boniecki

ks. Adam Boniecki



FOT. GRAŻYNA MAKARA

Przełącz 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

a w rubryce **Cel szczegółowy 1%: TP75**

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar





Wkrótce będzie nowocześnie

OLGA DRENDĄ

Architektura przełomu wieków świadczy o wielkim optymizmie tamtych lat. Nawet jeśli wydaje się nam dziś dziwaczna i pokraczna.

NIEDAWNO OGŁOSZONO PROJEKT PRZEBUDOWY częstochowskiego dworca kolejowego. Schludna, oszczędna i neutralna raczej konstrukcja zastąpi lśniący od lustrzanych szyb przestrzenny rebus, jakim jest obecny budynek Częstochowy Głównej.

To dworzec zbyt duży jak na potrzeby miasta, mało ergonomiczny, trudny do urzędzenia, zmuszający pasażerów do błądzenia po labiryntach – a jednak szkoda będzie optycznych zabaw, imponującej przestrzeni, choć pustej hali, strażackoczerwonego konturu całości. W swoim krótkim życiu (trwającym od 1996 r., co pamiętam ze względów osobistych: wkrótce po otwarciu zakupiłam w podziemnym pasażu kasety „Brit Awards 96”) Częstochowa Główna stała

się pomnikiem przyszłości, która jednak nie nadeszła, dlatego warto go zapamiętać właśnie w taki sposób: jako świadectwo optymizmu przełomu wieków.

Takich śladów milenijnego entuzjazmu, który kazał projektantom dworca, być może wiedzionym wizją wciąż rosnącego tłumu pątników wylewającego się na perony, iść w rozmach, znajdziemy w polskich miastach więcej.

Dziś, starzejąc się i odstając od otoczenia – od mniej fantazyjnej, bardziej ustandaryzowanej architektury – zaczynają wystawać nieco z przestrzeni, budząc konsternację. Jawią się jak statki kosmiczne, które przypadkiem wylądowały w niezbyt futurystycznych miejscach, powiedzmy w Kaliszu albo Włocławku, i już tam zostały.

Architektura pokrzykuje

To domy handlowe pierwszej połowy lat 90., które łączyły starą formułę domu towarowego czy pawilonu handlowo-usługowego z fantazyjną przeszkloną bryłą (wrocławski Solpol, gdański Jantar, tyski Senator, Saspol w Łodzi), i które zostały w końcu pokonane przez galerie handlowe. To dworce, których forma przerosła funkcję, jak wspomniany częstochowski czy Łódź Kaliska; wreszcie obfitujące w refleksyjne szkło siedziby ZUS, często krytykowane za przepych.

Estetyka postmodernizmu zawitała w Polsce ze zrozumiałym opóźnieniem, jednak kiedy została już zaadaptowana, to z rozmachem. Oprócz ikonicznych, słynnych realizacji objawiała się w postaci gmachów mniej prestiżowych, za to budzących fascynację, zdumienie, a dziś również rodzaj nostalgii za niespełnioną utopią nowoczesności.

Artysta wizualny Tymek Bryndał kataloguje architekturę okółomilenijną na instagramowym profilu Polska2000elo. Jest tam, by posłużyć się terminologią Grzegorza Pajaka i Jarosława Trybusia, raczej „mięso” niż „lukier”, czyli projekty, z którymi obcujemy na co dzień, a nie architektura nagradzana i ikoniczna. Co skłoniło Bryndała do tego, by ją fotografować i katalogować?



PRZYKUTA / CREATIVE COMMONS

– Estetykę Polski2000o tłumacząc sobie milenijną fantazją oraz dzikim hedonizmem, twórczą beztroską tamtego okresu. Projekty z przełomu tysiącleci nawiązują do tradycji architektury, a z drugiej strony są jej radosnym przetworzeniem, postmodernistycznym remiksem. Poprzez wprowadzenie nowych materiałów, krzykliwych kolorów, efekciarskich detali, łączą sprzeczne stylistycznie elementy – wyjaśnia.

– Czasem mam wrażenie, że Polska2000o to nie tylko zachwyt nową jakością, ale próba zerwania z tym, co było. Nowe inwestycje miały krzyczeć i blysz-

czeć, a nie wpisywać się w lokalny kontekst. Bardzo ważne w tym stylu jest pewne rozpasanie. Wynikało ono z dużych pieniędzy, kalibru interesów, jakie kwitły w latach 90., a także ze słabej kontroli administracyjnej nad powstającymi obiektami. To jest architektura, która się odznacza na swoim tle, pokrzykuje, zwraca na siebie uwagę z daleka – dodaje.

Chyba najbardziej rozpoznawalnym przykładem tej estetyki jest wrocławski Solpol, inwestycja Zygmunta Solorza z początku lat 90. Otwarty w 1993 r. dom handlowy z ruchomymi schodami (wówczas była to niemała atrakcja) i feerią im-

Obok: Dworzec Częstochowa Główna. Poniżej: wizualizacja jego przebudowy. Koncepcja pracowni TOPROJEKT (Rybnik), AND STUDIO (Paryż) oraz STUDIO ANTONINI (Paryż).

portowanych dóbr w środku. Był opisywany z entuzjazmem przez ówczesną prasę, która widziała w budynku sygnał, że do Polski dociera nowoczesna europejska estetyka, czyli tak wówczas pożądana „normalność”.

Dziś Solpol ma szansę zostać jednym z najmłodszych polskich zabytków. Jego status wciąż jest przedmiotem negocjacji, choć wydaje się, że ten nieczynny już obiekt, kojarzący się nieco z wielkim deserem o smaku jagodowo-pistacjowym, został częściowo oswojony i zyskuje sobie nowych sympatyków. Wojciech Jarząbek, architekt, który wraz z zespołem studia Ar-5 stworzył projekt tej budzącej ogromne emocje ikony Wrocławia (oraz szereg równie wyrazistych projektów, jak plomba na Wybrzeżu Wyspiańskiego, która spokojnie może konkurować z psychodelicznymi budowlami Boliwijczyka Freddy'ego Mamaniego), przyznał kiedyś, że inspiracją dla koktajlowej kolorystyki i ornamentu Solpolu była ówczesna grafika – wyraz ducha czasu.



POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE S.A. / MATERIAŁY PRASOWE

Aura i fakty

→ Duch czasu – to pojęcie jest kluczowe. Pamięć zapisana w obrazach, przelotnych migawkach, skrawkach kultury popularnej, wycinkach publicznej przestrzeni, reklamie, czołówkach programów telewizyjnych, teledyskach – wszystko to tworzy aurę, która bywa zdumiewająco rozbieżna z twardymi faktami. Być może pamięć ikonosfery i to, co sobie z niej współcześnie wyczytujemy, jest w istocie pamięcią stanu ducha, pragnień i marzeń, sferą, która wyprzedzała realia o kilka kroków. Tak jakbyśmy stali na ziemi, ale nasze głowy były już gdzieś indziej.

„Chcemy być nowoczesni”, głosił tytuł słynnej wystawy w warszawskim Muzeum Narodowym, poświęconej dizajnowi po odwilży 1956 r. Na przełomie tysiącleci Polska może nie tyle już czuła się nowoczesna, ile nie mogła się doczekać tego stanu. „Wybermy przyszłość” – głosiło hasło wyborcze Aleksandra Kwaśniewskiego w kampanii prezydenckiej 1995 r. („oraz styl”, jak dopowiedziałby zespół Top One w kampanijnej piosence). Na billboardach późniejsza głowa państwa pozowała na tle nieba i przeszklonych biurowców, symbolu nowej Polski. Szlagwortem było hasło o „powrocie do Europy” (w 1997 zespół T.Love ironizował na temat realizacji tych ambicji w piosence „Jest super”, gdzie „ekstra rząd i super prezydent” mieli „za rękę poprowadzić mnie do Europy”).

Przełom XX i XXI wieku to mały szoma, pierwsze *reality shows*, blogi i „S@motność w sieci”, barokowy *image* Ich Trojga i wielkie odliczanie do referendum europejskiego: z tego skleamy pamięć ducha czasów. A przecież z politycznego i ekonomicznego punktu widzenia ten sam okres jawi się jako dramatyczny *rollercoaster*. Przewijają się w nim rozczarowania kolejnymi rządami i pragmatyczne nadzieje lokowane w kandydatach opozycyjnych, z krótkimi przerwami na oddech – szokowa prywatyzacja wczesnych lat 90., a później jej dalsze echa w postaci masowych zwolnień i likwidacji zakładów pracy.

To wtedy Tomasz Rakowski prowadził wstrząsającą obserwację uczestniczącą, opisaną później w „Łowcach, zbieraczach, praktykach niemocy” (Nagroda im. Józefa Tischnera w 2010 r.), schodząc z bezrobotnymi wałbrzyskimi górnikami do biedaszybów, w tym samym czasie, gdy telewizjowi śledzili kolejne odcinki „Idola”

Na przełomie tysiącleci
**Polska nie czuła się
 nowoczesna,**
 ale nie mogła się już doczekać
 tego stanu.

czy „Kasi i Tomka”; i obie opowieści, choć z drastycznie różnych porządków, są równie prawdziwe. Wybierając jedną z nich, mówimy tylko część prawdy.

Kursywą w przyszłość

W katalogu obiektów fotografowanych przez Tymka Bryndala znajdują się nie tylko budynki tak mocno rzucające się w oczy jak Solpol – są też małe, pałacikowate domy handlowe i boczki, siedziby ZUS czy urzędy pocztowe. Pozornie pochodzą z różnych bajek, ale ich „milenijność” można rozpoznać intuicyjnie.

– Staralem się określić elementy, które się składają na ten styl. Jak na razie istotne wydają mi się takie cechy, jak: lustrzane szyby, pastelowe kolory, krągłości kontrastujące z ostrymi krawędziami, połyskliwe powierzchnie, elementy metalowe, jakieś rurki, balustrady, postmodernistyczne gry z tradycją, falujące fasady, ozdobne fontanny w holach. Ten styl w zasadzie nie potrzebuje charakterystyki, aby być rozpoznawalnym. Mimo upływu lat nadal błyszczący, czyli w sumie działa według swoich założeń – opowiada Bryndal.

Jego poszukiwania ducha roku 2000 przywodzą na myśl to, co obecnie robią internetowe muzea, takie jak The Institute for Y2K Aesthetics, strona założona przez architekta Evana Collinsa. Ich strategię polegają na chwytaniu zeitgeistu w przedmiocie, kolorze, fakturze. Craig Schuftan, australijski pisarz i badacz kultury, wspominał o czasie, w którym wszystko było optymistyczne, dynamiczne i pełne nadziei – nawet modne kroje pisma, czyli futurystyczne kursywy, pochylone w przód, mknące w stronę przyszłości.

I taki jest również klimat Y2K Aesthetics: pływające kształty, obłoki, fluorescencyjne barwy albo sterylne srebro i biel, próby wyobrażenia sobie transhumanizmu, wiara w internetowe utopie, jeszcze nieopierzona do końca gra

fika komputerowa, holograficzna migotliwość. To próba uchwycenia klimatu pędu i entuzjazmu, nieustannego wzrostu, który ucięły nagle ataki na World Trade Center.

Internet i kuratorska swoboda kompilowania archiwalnych zasobów sprzyjają nowym sposobom traktowania pamięci i rodzą nowe odmiany nostalgii. Simon Reynolds już w 2012 r. wydał głośną książkę „Retromania”, poświęconą nieustannemu recyklingowi przeszłości w popkulturze, jednak specyficznie internetowe nurty estetyczne wypracowały sobie pewną specjalizację – retrofuturizm, nostalgię za niespełnionymi zapowiedziami przeszłości. Zanim zaczęto eksplorować estetykę okółmilenijną, przez sieć przetoczyła się fala mody na *vaporwave*, czyli świat jak z umownego Neo-Tokio połączonego z warszawskim centrum handlowym Panorama: neonowa kolorystyka, estetyka usterki, muzyka ambient i new age, ale też marmurowe faktury i motywy antyczne. *Vaporwave* było wizualizacją marzenia o niekończącym się, spełnionym kapitalistycznym raj, nakręcanym przez nowe technologie oraz wszechstronną optymalizację życia.

Zadziobana utopia

Na fali tego trendu krakowski kolektyw netartowo-poetycki Rozdzielczość Chleba stworzył specyficznie polską wersję, ZUSWave, inspirowany monumentalnymi „pałacami ZUS-u”, ucyfrowieniem urzędów i rozmaitymi kłopotami techniczno-biurokratycznymi, z jakimi kojarzyła się ta instytucja. Ich kompozycje wizualne mają wiele wspólnego z właściwościami, które można zauważyć w budynkach spod znaku Polska2000: połączenie fantazyjności i wizualnej wyłowności z techniczną niedoskonałością i czasami – niedopasowaniem do kontekstu.

Efekt jest wrażenie cudownego absurdu, który być może w największym stężeniu występuje właśnie w naszym kraju. Puentą może być fakt, że dach kołobrzeskiej Hali Milenium, zbudowanej w opisywanym tu stylu, wymaga regularnej renowacji z winy miejscowych mew, którym smakuje pianka poliuretanowa. To bardzo swojskie uczucie polskiej osobliwości, gdy utopie nowego stulecia rozbijają się o zwykły dzień.

© OLGA DRENDIA



Augustów



Wrocław



Warszawa



Sosnowiec



Gdańsk



Katowice

Tylko kotów żal

ANITA PIOTROWSKA

Jeśli ktoś tęskni za światem sprzed pandemii, to za sprawą „Króla tygrysów” może poczuć wątpliwości, czy jest za czym.

TEN SERIAL JEST JAK JARMARCZNY GABINET luster, w którym odbijają się najpaskudniejsze choroby tzw. starych dobrych czasów. Ameryka i główny bohater, a jest nim charyzmatyczny hodowca wielkich kotów, odsiadujący właśnie wyrok za zlecenie zabójstwa i znęcanie się nad zwierzętami, stanowią tu jedynie soczewkę skupiającą. Sama zaś produkcja Netfliksa, obwołana „najpopularniejszym serialem dokumentalnym w historii ludzkości”, doskonale wpisuje się w to, co krytykuje, czyli dzisiejszą kulturę spektaklu. Bądź co bądź my też jesteśmy jego częścią. Bo czy coś sprzedaje się w mediach lepiej niż seks, przemoc i kotki?

Gdyby najpierw nakręcono serial fabularny o człowieku przedstawiającym się jako Joe Exotic, mało kto by w tę historię do końca uwierzył, nawet jeśli śledził na bieżąco internetowe *reality show* z jego udziałem. Również charakterystycznym i odtwórcy głównej roli zarzucałibyśmy przerysowanie. Podstarzały gej z bujnym wąsem i blond pleręzą, ogorzały kowboj z Oklahomy, wielbiciel broni palnej, wy-

tatuowany *showman*, poligamista i rzutki właściciel ogrodu zoologicznego z prawie dwiema setkami tygrysów i panter – toż to postać dużo większa niż życie.

Naprzeciw niego staje Carole Baskin – nawiedzona i wspierana przez PETA obrończyni praw zwierząt, o której mówi się, że zamordowała męża milionera, a następnie nakarmiła nim swych pręgowanych pupili. Drugi plan stanowi nie mniej osobliwa ludzka menażeria: szemrani współpracownicy, wrogowie i kochankowie Joego, trwale okaleczeni pracownicy zoo, wyliniali bogacze wabiący dziewczyny do hotelu za pomocą słodkich tygrysiątek... Nawet kiedy w kadrze pojawia się osoba spoza tego kręgu – szacowna pani prokurator, dziennikarz czy funkcjonariusz FBI – wygląda niczym przebieganiec. Czy ktoś tu w ogóle jest prawdziwy?

Wszecobecność kamer, tych przemysłowych i tych „rozrywkowych”, które w mediach społecznościowych nakręcały zainteresowanie egzotycznym parkiem, zapewnia twórcom serialu materiał dowodowy, choć co i raz każe kwestionować jego wiarygodność. Zwłaszcza



że główne postacie są obecnie gwiazdami internetu i generatorami memów, czym przechwalają się w odcinku specjalnym, dokręconym zdalnie już w trakcie pandemii. Wszyscy też w jakimś stopniu zawdzięczają swoją sławę Exoticowi – jednemu, jak na ironię, który nie może dziś w pełni spieniężyć swej popularności.

„Nikt na tym nie skorzystał, a najwięcej straciły zwierzęta” – wzdychają rozmówcy komentując główny konflikt, czyli morderczą batalię sądową o przejęcie prywatnego zoo. Trudno oprzeć się wrażeniu, że lwia ich część wylewa przed kamerą krokodyle łzy. Oglądając „Króla

Domowe lekcje czytania

Literatura jest niezbędnym elementem dobrego życia.
Jak czytać, żeby lepiej myśleć i działać?

W każdą **środę o godzinie 12.00** na facebookowym profilu „Lekcji czytania” dyrektor programowy Festiwalu Conrada **Grzegorz Jankowicz** analizuje wybrany tekst i odpowiada na Wasze pytania.

W **środę 6 maja** czytamy i rozmawiamy o opowiadaniu **Josefa Škvoreckýego** pod tytułem „**Historia Kukułki**” z tomu „**Gorzki świat**”, opublikowanego przez Wydawnictwo Czarne. Zapraszamy!





Kadr z serialu „Król tygrysów”

tygrysów” ma się wrażenie uczestnictwa w starożytnych igrzyskach, tyle że kciuk w górę lub w dół zastąpił wirtualny przycisk „lubię to”/„nie lubię”. A prawdziwymi drapieżnikami nie są zamknięci w klatkach smutni kuzyni naszych domowych futrzaków, lecz przedstawiciele naszego gatunku.

Nie tylko bowiem Joe Exotic odkrył, że wszystko – i ekologiczną świadomość, i miłość do czworonogów – można łatwo przeliczyć: na slipy w cętki lub prążki sprzedawane w sklepie z pamiątkami, na pizzę z widokiem na klatkę albo tygrysi *show* w centrum handlowym. Wykorzystywanie zwierząt, kiedy są małe i rozkoszne, oraz pozbywanie się ich, kiedy stają się duże i groźne, po ciachu urasta do wymiaru symbolicznego. Ukazuje w całej jaskrawości nasze podejście nie tylko do braci mniejszych. Gdyby chcieć oznaczyć tę opowieść jednym hasztagiem, byłoby to #użycie.

W amerykańskim dokumencie dominuje perspektywa antropocentryczna. Jeden z odcinków stanowi istny magiel erotyczny z udziałem Joego i jego partnerów, kolejny wypełnia kryminalna afery wokół zamachu na wspomnianą już Baskin – aktywistkę zwalczającą handel egzotycznymi kotami i zarazem biznesową konkurentkę, która przyczyniła się do finansowego upadku „króla tygrysów”. Jeśli mowa o eksploatacji, jakiej dopuszczał

się tytułowy bohater czy jemu podobni, dotyczy ona również pracujących z nimi ludzi, poddawanych praniu mózgowi, częstowanych narkotykami, oszukiwanych w imię szlachetnej misji ratowania ginących gatunków.

Największy cyrk, ale jakby znany już skądinąd, rozpoczyna się wtedy, gdy Joe Exotic, widząc swoją przeciwniczkę śmiało lobbującą w Kongresie, decyduje się sam wstąpić do polityki – najpierw jako kandydat na prezydenta, później na gubernatora Oklahomy. Lecz choć konserwatywny elektorat posiada dziwną skłonność do głosowania na niewiarygodnych i nieodpowiedzialnych klawonów, tym razem się nie udało. Dziś, po sukcesie serialu, szanse Joego byłyby znacznie większe.

I tylko kotów żal – chciałoby się skonstatować podczas tych filmowo ekscytujących, acz w gruncie rzeczy żalonych zapasów. Trudno też o satysfakcję, gdy ogląda się upadek „króla”, który resztę życia spędził za kratkami, czyli z grubszą tam, gdzie trzymał przez lata swych rzekomo najlepszych przyjaciół. Serial o hodowcy tygrysów, który stał się celebrytą, pokazuje jednak wierzchołek góry lodowej. Jak się dowiadujemy z napisów końcowych, w USA w prywatnych rękach może przebywać do dziesięciu tysięcy wielkich kotów. Czy oglądany masowo dokument Netfliksa jest w stanie uświadomić na przedstawione w nim problemy? Opowieść o Josephie Allenie Maldonado-Passage'u, bo tak brzmi prawdziwe nazwisko kontrowersyjnego biznesmena, bardziej sprowadza się do sensacyjnego dylematu „winny czy wroby” niż do refleksji nad naszym stosunkiem do natury.

Ktoś powie: nie czas żałować tygrysów, kiedy umierają ludzie. Ale gdy wpatrzeć się głębiej w serialowe atrakcje, wyłania się spod nich karykaturalnie narcystyczna twarz współczesnego *homo sapiens*. Jeszcze niedawno uważał się za koronę stworzenia, podporządkowując wszystko i wszystkich łatwemu zyskowi, świętemu prawu własności czy medialnej wrzawie. Dzisiaj siedzi w klatce, a korona trochę mu się przeżywiła. ©

KRÓL TYGRYSÓW (*Tiger King: Murder, Mayhem and Madness*) – reż. Rebecca Chaiklin, Eric Goode. Prod. USA 2020. Dostępny na Netflixie.

WARTO ZOBACZYĆ W TV

1. Mrs. America



Miniserial, reż. Dahvi Waller, USA 2020, HBO GO, HBO, odc. 1. i V, 21.10, kolejne odcinki co piątek

Była matką szóstki dzieci, perfekcyjną panią domu i działaczką walczącą w latach 70. przeciwko równouprawnieniu kobiet. Autentyczna historia Phyllis Schlafly, mimo upływu lat i wielu zmian, dziś brzmi niepokojąco aktualnie. Największym atutem serialu jest posagowa Cate Blanchett i odтворzony na ekranie klimat tej burzliwej epoki.

2. Pink Floyd: Delicate Sound of Thunder



Koncert, reż. Wayne Isham, Wielka Brytania 2019, Canal+ 4K Ultra HD, I V, 17.35, Canal+, 4 V, 12.25, Canal+ 1, 4 V, 13.25

W 1988 r. brytyjski zespół ruszył w trasę koncertową promującą legendarny album „A Momentary Lapse of Reason”. Przed nami zremiksowana i zremasterowana po 30 latach wersja nagrania, zawierająca także utwory pominięte w wersji pierwotnej.

3. Niedokończony film



Dokumentalny, reż. Yael Hersonski, Niemcy/Izrael 2010, Ninateka

Czym jest propaganda w swej najbardziej cynicznej postaci, przypominając fragmenty nazistowskiego łże-dokumentu, nakręconego w 1942 r. na terenie warszawskiego getta. Izraelska reżyserka zmontowała je po latach z autentycznymi wspomnieniami ocalałych, obnażając mechanizm zakłamywania filmowego obrazu.

4. Shadów



Dramat, reż. Zhang Yimou, Chiny 2018, VOD

Kolejny w ostatnim czasie dobry film z Państwa Środka – tym razem nakreślony przez przedstawiciela starszej generacji, autora m.in. „Zawieście czerwone latarnie” i „Hero”. Wieloznaczny motyw sobowtóra (czy tytułowego cienia) wpisany zostaje w widowiskową opowieść o mistyfikacji i władzy, okraszona scenami wschodnich sztuk walki.

JAN

Klata:

Przewrót, zamach, wymach



DOBRE, ŻE BYŁ DŁUGI WEEKEND, MOŻNA było odpocząć od codziennej bieganiny, nabrać dystansu, posiedzieć w domu z coraz bliższymi bliskimi, zaczerpnąć oddechu i przeprać maseczki. Krzywa się wypląszcza jak ta lala, władcy na gwałt luzują reżim, galerie otwarte. Kwiecień był plecień, ale maj to zupełnie inna para kaloszy, nie będzie wciskania kitu: jeszcze tylko TVP przeprowadzi transmisję z uroczystego zwrotu trefnych maseczek bez atestu na pokład przepełconego antonowa i rząd będzie kwita z wirusem.

Ruszy nowa normalność: wreszcie dostaniemy stan wyjątkowy i pocujemy się bezpieczniej, zrobi się znajomo, swoj-

sko, ujutnie, maj, och, maj. Jako że ciągle nie można do fryzjera, więc naczelnik zapuści wąsy – wiadomo, sytuacja bez wyjścia. Teatry zamknięte, ale i tak tragedia może powtórzyć się jako farsa, śmiech to zdrowie, a zdrowie jest najważniejsze, nikt się nie dowie, jako smakuje, aż się zepsuje.

Zbawca narodu przed przejściem w stan spoczynku musi najpierw zostać zbawcą, inaczej co z niego za emeryt. Będzie wesoło, choć poczucie humoru nader specyficzne, z gatunku oldskulowego, à la Ryszard Terlecki. Jak dobrze, żeśmy wytrąceni z naszego komfortu bytowania swobodnego, z naszego martwienia się wirusem, jak bezbrzeżnie cudnie, że ciągle musimy uważać, żeby nasz naczelnik nie wystawił Polski do wiatru na amen, jak wspaniale, że inteligencja polska ćwiczy umysły szaradami szarego szeregowego posła. Co też jeszcze wrzuci o drugiej nad ranem? Trudno się z nim nudzić, nawet przez sen, nieprawdaż? Autentyczny filut, a taki na pozór niewyględny, do Orbána mu daleko. Orbán gładydz, a nasz naczelnik taki bardziej dla smakosza typ. Smakosza z poczuciem humoru.

Jak mawiają właściciele zamkniętych solariów: *nihil novi sub sole*. Władza lubi władać coraz bardziej, po co się ograniczać, władca tak łatwo się od siebie nie odzwyczai. Zgnusniali dworzanie będą kalkulować na boku, problem w tym, że to nie poker... to bierki. Bierki, Polcy i Polaki!

Ten maj może potrwać.

©

Lektor:

Teologia i kryminał



■ Maciej Miłkowski
SYSTEM SULTA
Wydawnictwo Nisza,
Warszawa 2020, ss. 478.

MICHAŁ SULT TO TRZYDZIESTO-ośmioletni profesor filozofii o IQ przekraczającym granice prawdopodobieństwa. Zdystansowany wobec świata i uprawianej przez siebie dyscypliny, co łączy ze zrozumiałym poczuciem wyższości i nutą cynizmu; budzi raczej sympatię. Jesteśmy w Krakowie w nieodległej przyszłości, władzę w Polsce sprawuje umiarkowana prawica. Jej poprzednicę, przeciw której także i Sult protestował na ulicy,

szczęśliwie odeszli. I nagle z Warszawy przychodzi niespodziewana propozycja: Sult miałby wystąpić jako biegły sądowy w nietypowym procesie, za którym stoi pewien hochsztapler. Potrzebna jest ekspertyza dotycząca... istnienia Boga, a stawką w grze są kolejne procesy o ogromne odszkodowania. Sult – niewierzący i Kościołowi, łagodnie mówiąc, niechętny – propozycję przyjmuje. Za poradą swego mistrza profesora Winklera

stawia jednak warunek: powoła komisję, w skład której wejdą ludzie różnych poglądów i z różnych środowisk. Żona Sulta, badaczka psychoanalitycznych aspektów wywiadu prasowego, pomaga wyszukać odpowiednich kandydatów (piękne są te rzekome wywiady!). Komisja, w skład której prócz Sulta wchodzi książd-fizyk, młoda reżyserka teatralna, szlachetna (i niewierząca) lekarka z hospicjum, psycholog religii, skandalizujący pisarz, wreszcie zwycięzca telewizyjnego programu, w którym wybierano człowieka przeciętnego, zaczyna obrady – i zaczyna się brawurowa jazda pełna niespodziewanych zwrotów, od filozoficzno-teologicznych dysput przechodzimy do kryminału, sam Sult zaś dowie się nowych rzeczy i o sobie, i o ludziach mu bliskich. Jest w tej powieści coś z oświeceniowej powiastki

filozoficznej, jest cienki humor i efektowna narracja – w mojej ulubionej scenie Sult układa w myśli intelektualne starcie z księdzem Konarskim, równocześnie robiąc zakupy, a następnie przygotowując kolację (cannelloni pod beszamelem faszerowane szpinakiem i serem ricotta). Jest też, co tu dużo mówić, opowieść o miłości, i to małżeńskiej. Maciej Miłkowski wydał dotąd dwa zbiory opowiadań, „System Sulta” to jego debiut powieściowy. Eliza Kącka zauważyła w „dwutygodniku”, że Miłkowski pisze książki „dla czytelnika, który jest już, zdaje się, na wymarciu: inteligenta starej daty, zdolnego docenić ironicznie odmalowane charaktery, paradoksy sprzecznych idei, wyrafinowanie konceptów, czystość rysunku fabuły”. Może jednak ten zbiór czytelnicy okaże się odnawialny? ©©

PAWEŁ

Bravo:

Obecna sytuacja



O POŁOWĘ. TYLE MNIEJ BĘDĄ SIĘ MODLIĆ niemieccy wierni, jeśli w trakcie negocjacji nad otwarciem kościołów pozostanie w mocy postawiony przez urzędników wymóg, by pod żadnym pozorem nie śpiewać. Czynność ta bowiem jest kropel-

kowym pandemonium. W Niemczech, zwłaszcza we wspólnotach protestanckich, na serio biorą zasadę sformułowaną już przez św. Augustyna, że kto śpiewa, po dwakroć się modli. Kiedy w kąt pójda śpiewniki, modlitwa wyszeptana ostrożnym głosem przebieje się wprawdzie przez sklepienie, ale o połowę słabiej. W wyrывkowej kronice „obecnej sytuacji” (taki eufemizm widuję wypisany na drzwiach sklepów, żeby unikać słów kojarzących się z chorobą i strachem), jaką zapisuję, wytarłszy dłonie po ostatnim wieczornym zmywaniu, ta wiadomość jest na pewno najciekawsza z całego tygodnia.

No cóż, lepiej będzie słyszeć ptaki w przykościelnych parkach. One też nie przesadzają, jeśli chodzi o dźwięki, wszystko w przyrodzie wciąż przyczajone. Zimy, co prawda, nie było – z konsekwencjami dla stanu wód, o których czytamy i które obserwowaliśmy w strasznych relacjach znad Biebrzy – i rośliny obudziły się wcześniej, ale to nie znaczy, że wszystko przyspieszyło. Wiosna jest zimna, idzie w tempie adagio, po wie wam to każdy ogrodnik. Nic nie chce porządnie rosnąć. Moi ulubieni plantatorzy szparagów z obrzeży Warszawy mają ich ledwo ledwo, ostrzegają na swojej stronie, że towaru starczy dla rannych ptaszków. A majowe święta spędzane w mieście zawsze kojarzyły mi się właśnie z ich gospodarstwem wśród zagonów na Żeraniu, gdzie łapczywie ładowałem garściami do torby naręcza szparagów. W sobotę udało mi się wstać wcześniej, podjechałem, ale zamiast zwyczajowego tłumku w prostym, niewielkim sklepiku zobaczyłem rozstawionych w przepiślowym dystansie na całą długość parkingi parudziesięciu ludzi bez połowy twarzy, czekających w pełnej skrzepowienia ciszy, aż będą mogli podejść do małego okienka, wsunąć kartę płatniczą i przejść do drugiej dziury w ścianie, przez którą anonimowe ręce wydadzą im zielony towar.

Jest kilka rzeczy, z którymi się w „obecnej sytuacji” nie pogodzę. Pierwsza to brak bliźnich przy stole – picie wina do kamerki w laptopie jest nawet zabawne parę razy, ale potem staje się żalosnym wygłupem. Zaraz na drugim miej-

scu plasuje się brak gwaru i obijania się o cudze boki przy straganie i w sklepach z warzywami czy innym dobrym jedzeniem.

Kasztanowce również wyglądają, jakby chciały zaczekać z porządnym kwitnieniem na zawieszonych w beczasie maturzystów. Ale nawet w dobrych latach, kiedy kwitły na całego, jeśli chciałem solidnie poczuć maj w trzewiach, jechałem dokądkolwiek, gdzie rośnie rzepak. Ma tę miłą dla miłośników mocnych doznań cechę, że jako roślina typowa dla rolnictwa wysokotowarowego tworzy wielohektarowe pola- cie żółtych dywanów. Różne znam kwietne odcienie żółtego: pierwszy idzie radosny mniszek, który miętosyły koleżanki z podwórka plotąc sobie wianki. Dalej złamany niezdrową zielenią, skory do wzięcia kaczeniec. No i potem słonecznik, którego porównanie do twarzy hiszpańskiej kobiety nie jest dla mnie pretensjonalne. Te jednak są ciepłe, organiczne, rozgrzewające, a kolor rozkwitłego rzepaku jest zimny, trochę elektryczny, a trochę siarkowy. Za to zapach jest nieprzystojnie słodki, łaskocze w podniebienie prawie jak miód, łatwy w przyswojeniu, tandetny jak kiepskie perfumy – trudno się odwrócić na pięcie i odejść. Stałem tak upojony, gdzieś na granicy Mazowsza i Warmii, po czym na chwilę wyjąłem telefon, chcąc się tylko upewnić, kiedy się sieje rzepak. Usłużny Google wyświetlił mi stronę reklamową dystrybutora nawozów i pestycydów, który szczegółowo wyliczał skład sześciu oprysków koniecznych, żeby rzepakowi w ogóle chciało się zakiełkować, wzrosnąć i zaowocować. Spośród wszystkich nazw produktów szczególnie utkwiła mi w pamięci nazwa

Full Terminator. Gdyby nie te zabiegi, wyrosłoby rzepaku o połowę mniej. I dusza moja nie mogłaby śpiewać. © P



Na szczęście mam paru bliźnich, którzy wciąż siadają ze mną przy stole, ale na część tych wszystkich, do których mogę najwyżej zadzwonić, robię czasami ciastka mające w sobie coś... międzyludzkiego. Są złożone z dwóch połówek, które jakby podają sobie ręce. Zwą się z włoska abbracci, czyli „objęcia”, niektórzy z was kojarzą je ze sklepowych półek. 200 g miękkiego **masła** ucieramy ze 150 g **cukru pudru**.

Wkręcamy 1 **jajko**. Dodajemy: 0,5 kg

białej mąki, 50 g **mąki ziemniaczanej**,

16 g **proszku do pieczenia**, szczyptę **sol**, ty-

żeczkę **cukru waniliowego**. Wyrabiamy wszystko

przez chwilę ręką, dodajemy 6 łyżek **tłustej śmietany** i dalej wyrabiamy, aż uzyskamy zwarte ciasto. Dzielimy je na pół.

Do jednej połowy dodajemy 3 łyżki **kakao** i 1 łyżkę **śmietany**, wyrabiamy, aż uzyskamy jednolicie brązowe ciasto. Każdą z połówek dzielimy na 5 części, a każdą z nich na 10 kawałków wielkości kopytka. Każde takie „kopytko” rolujemy na białce, aby uzyskać mały wałeczek, który potem łączymy, tworząc kółko, z analogicznym drugiego koloru. Pieczemy w 175 st. C przez 15 minut. Potem trzeba je odłożyć na parę dni do szczelnej puszk.



HISTORIA PRZYJEMNOŚCI

Zostaliśmy ukształtowani tak, by poszukiwać soli, tłuszczu i cukru.
Cóż jednak począć, kiedy tłuszcz, cukier i sól otaczają nas w nadmiarze?

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

NIE WIEM, JAKIM CUDEM UDAŁO MI SIĘ SKOŃCZYĆ SZKOŁĘ muzyczną. Byłem permanentnie nieprzygotowany do lekcji i egzaminów. Regularne powtarzanie gam i pasaży było dla mnie torturą. Tym większym podziwem darzyłem koleżankę, która każdego dnia ćwiczyła na fortepianie przez trzy-cztery godziny. Nie mogłem pojąć, jakim cudem zmusza się do tego. Myśląc o własnych trzydziestominutowych cierpieniach przy wiolonczeli, nie byłem sobie nawet w stanie wyobrazić, jak tytanicznego wysiłku woli wymagało od nastoletniej dziewczyny bębienie w klawiaturę sześć czy osiem razy dłużej.

Dopiero po latach uświadomiłem sobie, że nie oszukiwałem. Ona do niczego nie musiała się zmuszać. Po prostu lubiła ćwiczyć na fortepianie. Sprawiało jej to przyjemność.

Pamiętam doskonale moment, w którym przejrzałem jej tajemnicę. Personel biblioteki właśnie po raz kolejny wyrzucił mnie spośród regałów, zamykając przybytek na noc. W szatni spotkałem kolegę z roku, który – szukając porozumienia – uskarżał się, jak nudne były teksty filozoficzne, które mieliśmy przeczytać na kolejne zajęcia. To były te same teksty, które mógłbym wertować z przyjemnością godzinami, gdyby tylko nikt mi nie przeszkadzał.

NIEOCZYWISTY ZWIĄZEK PRZYJEMNOŚCI Z NAWYKIEM opisuje Arystoteles w „Etyce nikomachejskiej”. Robimy chętnie to, co sprawia nam przyjemność. To, co robimy często, kształtuje nasze nawyki. Nawyki zaś decydują o tym, co dostarcza nam rozkoszy. Bycie w czymś dobrym przynosi dużo satysfakcji. Koło się zamyka.

Każdemu „sprawia przyjemność to, czego jest miłośnikiem, jak np. koń miłośnikowi koni, widowisko zaś miłośnikowi widowisk; tak samo też to, co sprawiedliwe, miłośnikowi sprawiedliwości”. Przyjemność decyduje o tym, w które miejsca powracamy, a których unikamy. Przyjemność różnicuje nas i upodabnia do siebie. Przyjemność sprawia, że nie jest nam wszystko jedno. Historia każdego człowieka jest historią przyjemności. Idziemy jej tropami, wydeptujemy ścieżki, powracamy na nie, żłobimy koleiny, z których nie sposób się potem wygrzebać o własnych siłach, jak to z nawyków.

A jednak, zgodnie z tym, co sugerował Filozof, podążając za przyjemnością wciąż zachowujemy zdolność doskonalenia się. Związek między przyjemnością i sztuką (w znaczeniu: robienia czegoś w doskonały sposób) nie był wprawdzie dla niego i jego współczesnych oczywisty, wydawało mu się jednak jasne, że nie tylko przyjemność kształtuje nas, ale też my kształtujemy swoje przyjemności. Wciąż poszukując czegoś więcej odkrywamy nowe ścieżki – nowe smaki, dźwięki, nowe opowieści i nowe rozkosze.

To jak dobór naturalny. Reprodukują i doskonalą się zachowania, które przynoszą rozkosz. Przyjemność jest więc źródłem powtórzenia. Najwyższym, pierwotnym prawem ludzkiego świata. Prawem arcyludzkim, bo obowiązującym tylko tam, gdzie w ogóle mamy cokolwiek do powiedzenia. Siła przyjemności skierowana jest przeciw ślepemu losowi, oporowi materii, przeciw temu wszystkiemu, co od nas nie zależy. O tyle zaś, o ile mamy wpływ na nasz los, zrobimy wszystko, by powtórzyło się raczej to, co przyjemne, niż to, co przykre.

Tak rozumiana przyjemność okazuje się siłą wręcz metafizyczną, skierowaną przeciw entropii i przypadkowości. Siłą, ze względu na którą w świecie społecznym wydarza się raczej coś niż nic.

A jednak ta wspaniała, twórcza siła ma swój mroczny rewers. Przyjemność pozostaje bowiem twórcza wyłącznie tak długo, dopóki działa przeciw jakiemuś oporowi, naginając nasze ścieżki i zmieniając ich bieg. Gdy nie występuje żaden opór, gdy brak siły równoważącej przyciąganie ku temu, co przyjemne, na płaszczyźnie naszego życia pojawia się nadzbyt głęboka koleina, potem dół, lej, wreszcie – śmiertelna pułapka. Źródło wszelkiego poruszenia staje się przyczyną bezruchu.

KLATKA SKINNERA TO DOSKONAŁY MODEL DZIAŁANIA „ZASADY PRZYJEMNOŚCI” (została tak nazwana na cześć behawiorysty Burrhusa F. Skinnera). Szczur zamknięty w pudełku ma do dyspozycji dwie dźwignie. Jedna z nich uruchamia bodziec przyjemny, druga przykry. Zielony – dostajesz przekąskę. Czerwony – kopie cię prąd. Jak to w życiu. Dzięki zastosowaniu coraz bardziej pomysłowych wersji tego prostego mechanizmu przez lata możliwe było uczenie zwierząt laboratoryjnych coraz bardziej skomplikowanych sztuczek.

W latach 50. James Olds i Peter Milner wywindowali pomysł Skinnera na nowy poziom. Nie było już żadnych przekąsek, nie było kopania prądem ani denerwujących dźwięków. Była czysta przyjemność. Dźwignia w klatce uruchamiała elektrodę stymulującą bezpośrednio odpowiednie ośrodki w mózgu gryzonia.

Oddaje głos Davidowi J. Lindenowi, badaczowi mózgu z Johns Hopkins University i autorowi książki pod barokowym tytułem „The Compass of Pleasure: How Our Brains Make Fatty Foods, Orgasm, Exercise, Marijuana, Generosity, Vodka, Learning, and Gambling Feel So Good” („Kompas przyjemności. Jak nasze mózgi sprawiają, że uwielbiamy jedzenie, orgazmy, ćwiczenia fizyczne, marihuanę, hojność, wódkę, naukę i hazard”). „Wyniknął z tego najbardziej może dramatyczny eksperyment w historii behawioralnych badań nad mózgiem. Żeby stymulować mózgi, szczury naciskały dźwignię nawet 7 000 razy na godzinę”. Przerwę na chwilę. 7 tys. razy na godzinę, dwa razy na sekundę. Spróbuj przez chwilę stukać palcem w blat w tym tempie. Szybko, prawda?

„Seria kolejnych eksperymentów ujawniła, że szczury wolały stymulację ośrodka przyjemności od ośrodka pokarmu (nawet gdy były głodne) i wody (nawet gdy były spragnione). Stymulujące się samce ignorowały samice w rui i były skłonne wciąż i wciąż przekraczać kapiącą prądem podłogę tylko po to, by dosięgnąć dźwigni. Samice opuszczały nowo narodzone szczurzątko, by bez pamięci oddać się wciskaniu dźwigni. (...) Wreszcie, by uniknąć zagłodzenia zwierząt, trzeba je było odłączyć od urządzenia. Wciskanie dźwigni stało się dla nich całym światem”.

Jeżeli zastanawiasz się, czy taki stan można wywołać u ludzi, odpowiadam, że można. I od razu mówię, że pacjenci, których przerażające historie Linden opisuje w swojej książce, zachowywali się z grubszą tak, jak nieszczęsne szczury. Bezpośrednia stymulacja ośrodka przyjemności działa silniej niż jakikolwiek narkotyki, który jesteśmy sobie w stanie wyobrazić.

→ Bum, bum, bum, bum. Dwa razy na sekundę, sto dwadzieścia na minutę, siedem tysięcy razy na godzinę. Szczur w szale łomoczący w dźwignię przyjemności. Ten obraz nie daje mi spokoju. Jeżeli przyjemność to niewidoczna siła rzeźbiąca historię naszego życia, to szczur znalazł się w dole. Spadł na dno wielkiego leja o stromych ścianach. I ze wszystkich sił zakopywał się jeszcze głębiej.

Gdy nie istnieje opór, który choćby minimalnie skrzywia nasze ścieżki, gdy nic nie staje między nami a dźwignią, przyjemność staje się przekleństwem. To wątek nieobcy Arystotelesowi, wielkiemu piewcy umiaru, i motyw kluczowy dla kultury starożytnej Grecji. Ale żyjemy w czasach, w których ostrzeganie przed lejem przyjemności stało się ważniejsze niż kiedykolwiek dotychczas.

HISTORIA LUDZKOŚCI JEST HISTORIĄ PRZYJEMNOŚCI. Opowieścią o rozkoszach odkrywanych, doskonalonych i porzucanych. Często przedstawia się ją jako wspinaczkę po stromych zboczach owej popularnej wśród psychologów piramidy Masłowa – ucieczce z królestwa tego, co fizjologicznie niezbędne, ku przyjemnościom coraz „wyższym”. Jest to nadmierne uproszczenie, jednak kryje się za nim istotna prawda i ważne pytanie.

Zostaliśmy ukształtowani tak, by poszukiwać soli, tłuszczu i cukru. Ewolucja, posługując się zasadą przyjemności, uczyniła nas – z różnych powodów – łasymi na określone substancje. Cóż jednak począć, kiedy tłuszcz, cukier i sól otaczają nas w nadmiarze? Kiedy nie ma nic łatwiejszego, niż sięgnąć po to, co sprawia nam przyjemność?

Oto problem przesytu. Specyficznie ludzka wersja owej szczerzej klątki – tym groźniejszej, że niewidzialnej, pozbawionej dźwigni, kabli, elektrod, a nawet ścian. Zagadnienie nadmiaru rozkoszy dostępnej na każde skinienie fascynowało i niepokoiło ludzkość, powracając jako mityczna opowieść o tych, którzy mogąc mieć wszystko, przestają pragnąć cokolwiek. Nadmiar pomyślności czyni nieszczęśliwym. Po 2,4 tys. lat wciąż niewiele można dodać do tego, co pisał na ten temat Arystoteles: „zbytnią pomyślność losu jest nawet przeszkodą w szczęśliwości i może nie należy jej już nazywać pomyślnością; granicę bowiem pomyślności określa jej stosunek do szczęśliwości”.

Wygląda więc na to, że sens przyjemności wynika nie z jej doświadczania, lecz z mierzenia się z życiem. Zgodnie z tym, co powiedział Arystoteles: nie doznajemy przeszkód i ostatecznie udaje nam się zdobyć to, czego pragnęliśmy, ale tylko za cenę pokonania oporu. Przyjemność przynosi nam szczęście tam, gdzie wciąż jeszcze jest jakiś opór do pokonania, coś nowego do odkrycia.

JUDEOCHRZEŚCIJAŃSKA TRADYCJA CHĘTNIE SPYCHA PRZYJEMNOŚĆ w obszary tego, co grzeszne, i wiąże z ciałem, które – wzorem Platona – uutożsamione zostaje z więzieniem duszy. W kulturowym DNA każdego z nas odłożone są potężne warstwy nieufności wobec niej.

Jeżeli jednak przyjmujemy proponowany tu model przyjemności jako niewidzialnej siły naginającej nasze ścieżki, otwarta niechęć, jaką nasi prawodawcy często okazywali przyjemności, okaże się szczególnie niepokojąca i perwersyjna.

W kulturze Zachodu przyjemności przypisuje się często związek z chaosem. Przyjemność (zwłaszcza ta seksualna, choć nie tylko) ma być niebezpieczna, bo rzekomo rozsadza porządek społeczny. Nic bardziej mylnego! Przyjemność odgrywa fundamentalną rolę w porządkowaniu świata. Gmach ludzkiego kosmosu wspiera się na zasadzie przyjemności. Chaos tymczasem rozciąga się poza ludzkim światem, poza światem w ogóle. Jest przestrzenią, w której rzeczy nie mają znaczenia. Istnieje więc nie tylko poza dobrem i złem, lecz przede wszystkim właśnie poza zasadą przyjemności. Jak w „Raju utraconym” Johna Milтона, gdzie pierwotny chaos, poprzedzający stworzenie świata, jest przestrzenią równie obcą i niebezpieczną dla Boga, jak i dla jego głównego adwersarza – Szatana. Czymś bardziej pierwotnym i groźnym od nich obydwu. Przyjemność porządkuje ludzki świat. To ona przewycięża chaos sprawiając, że nie jest nam wszystko jedno.

Przyjemność leży także, w nieoczywisty sposób, u źródła prawa. Po pierwsze dlatego, że popełniamy występki dążąc do przyjemności. Po drugie zaś dlatego, że roztopienie się w przyjemności prowadzi do ostatecznego bezruchu. Prawo pełni więc ważną funkcję oporu przeciw zasadzie przyjemności. Dąży do jej uregulowania przez wskazanie dozwolonego i zabronionego, posługując się konceptami umiaru, zasługi, arbitralnych świętych zasad, a wreszcie – całkowitego odrzucenia przyjemności. Prawo ogranicza przyjemność. A jednak bez przyjemności nie byłoby prawa. Nie miałoby ono racji bytu w świecie, w którym nikt niczego nie pragnie, bo każdemu jest wszystko jedno. To przyjemność prowadzi do ustanowienia reguł.

Bez przyjemności zasady nie miałyby sensu. Nie pożałobyśmy ograniczonych dóbr, nie rywalizowalibyśmy o nie. Nasze ścieżki przecinałyby się jedynie przypadkowo. Gdyby Adam i Ewa nie mieli ochoty zjeść jabłka, nie miałby sensu pierwotny Boski zakaz. Zasada przyjemności nie jest więc zagrożeniem dla prawa, religii czy organizacji społecznej, lecz ich najgłębszym źródłem. Całe bogactwo zjawisk zgłębianych przez antropologów i socjologów daje się sprowadzić do kolektywnie uzgodnionych sposobów zarządzania przyjemnością.

CZY PRZYJEMNOŚĆ MOŻE BYĆ OBOWIĄZKIEM? Jakże ktoś miałby przymuszać mnie do przyjemności? Wywierać presję, bym czynił to, co właśnie z samej definicji chciałbym uczynić? Jednak idea przyjemności jako obowiązku nie polega na tym, że ktoś zmusza mnie do przyjemności, lecz na tym, że odczuwam wciąż nienasyconą potrzebę, by „cieszyć się życiem” jeszcze bardziej, jeszcze mocniej, by w pełni wykorzystać oferowane mi możliwości. Nawet gdy doświadczam przyjemności, nie doświadczam jej w pełni, wciąż bowiem słyszę ów głos pytający mnie, czy to dość, czy nie potrzebuję czasem więcej, czy aby na pewno na więcej nie zasługuję...

Przyjrzyjcie się reklamom napojów energetycznych, środków przeciwkacowych, kart kredytowych i chwilówek. „Nie pozwól, by ominęła cię przyjemność”. „Masz obowiązek wobec siebie”. Jak trudno być w takim świecie szczęśliwym! Ile pracy trzeba w to włożyć!

NIE JESTEM SMAKOZSEM. Omija mnie z tego powodu sporo przyjemności, co zgodnie z przedstawioną wyżej logiką bywa źródłem wyrzutów sumienia.

Niestety, zdaje się, że mam po prostu dość słaby smak i mierne powonienie. A przyjemność jest ściśle związana ze specyficznym typem rozdzielnosci – zdolnością do rozróżniania smaków, faktur, dźwięków, materiałów... Trudno delektować się tym, co nierozróżnialne. Dlatego przyjemność czyni nasz świat bogatszym. Oznacza to zarazem, że bogactwo – w różnych tego słowa znaczeniach – wyznacza próg wejścia do królestw różnej przyjemności.

Rozmawiając ze smakoszami z pozycji tego, który próbuje rozumieć, szybko zauważyłem dwa na pozór sprzeczne wektory, którymi kierowali się w swym poszukiwaniu przyjemności. Z jednej strony poszukiwanie doskonałej kombinacji, perfekcyjnej formy, kuchnia przetworzona, molekularna, wysublimowana, a przeciw temu: nieustanne upraszczanie, delektowanie się tym, co najbardziej elementarne, szukanie prawdy kilku najprostszych składników. Przyjemność doskonałości kontra przyjemność prostoty.

Co ciekawe, większość smakoszy, z którymi rozmawiałem, nie miała problemu z docenieniem rozkoszy czekającej na nas na obydwu końcach tego spektrum. To czyni ich jednak wyjątkowymi, bo w dominującym nurcie naszej kultury rzecz wydaje się mieć inaczej. Pochwała prostoty wyraźnie zwycięża dziś nad zachwytem komplikacją. Zapewne wiąże się to w jakiś sposób z kultem natury przeciw technologii i nostalgią za „dawnymi, dobrymi czasami”, kiedy to – jak często słyszymy – „życie było prostsze”.

ROZMOWA Z PRZEDWCZORAJ. O nieoczekiwanym przejściu na edukację domową. „Twój syn cały dzień rozwiązywał zadania w układzie współrzędnych? Co z ciebie za ojciec?! Dałbyś mu porobić coś przyjemnego, a nie znowu katujesz dziecko matematyką!”.

Takie podejście jest kulą u nogi dla szkoły i kulą w łeb dla uniwersytetu. Nauka i przyjemność nie stoją w sprzeczności. Przeciwnie. Prawdziwa nauka – tworzona z wyobraźnią i polotem, poszukująca problemów i znajdująca najbardziej eleganckie rozwiązania – zaczyna się dopiero tam, gdzie poznanie podporządkowane zostaje zasadzie przyjemności.

Nikt nie pisał o tym piękniej niż fizyk Richard Feynman, którego zbiór esejów nie przypadkiem nosi tytuł „Przyjemność poznawania”. W tytułowym tekście czytamy m.in. o tym, dlaczego Nobel nie był dla Feynmana szczególnie ważny. „Ja już odebrałem nagrodę. Nagrodą jest przyjemność poznawania, porażenie odkryciem, świadomość, że ludzie wykorzystują [moją pracę]”.

Feynman tak bardzo kochał myśleć, że z łatwością mógł sobie wyobrazić, iż uprawiając fizykę był niemal jak szczeniek nieustannie wciskający ową nieszczęsną dźwignię rozkoszy. Na szczęście w nauce wpisany jest doskonały mecha-



Przyjemność przynosi nam szczęście

tam, gdzie wciąż jeszcze jest
jakiś opór do pokonania,
coś nowego do odkrycia.

nizm samoregulujący. Nagroda wciąż nam ucieka. Zawsze jest do odkrycia coś nowego. Ciągłe kusi cię, by podjąć wysiłek sięgnięcia po więcej.

Nie. Nauka nie jest nudnym przeciwnikiem przyjemności. Jest jedną z najczystszych form przyjemności dostępnych naszemu gatunkowi. Moim dzieciom (wszystkim dzieciom w ogóle!) życzyłbym szkoły, dla której to oczywiste. I świata, gdzie nikt nie uznaje wspólnego rozwiązywania zadań za torturę.

Oto same paradoksy! Przyjemne jest to, co proste, i to, co skomplikowane. Przyjemność bierze się z powtórzenia, ale powtarzanie może zabić przyjemność. Przyjemność jest czymś bardzo osobistym, ale zarazem nie ma nic bardziej społecznego niż nasze nawyki i upodobania. Jak świetnie pokazał francuski socjolog Pierre Bourdieu, w swych najbardziej intymnych zachwytach jesteśmy właśnie najbardziej

przewidywalni i powtarzalni – ukształtowani przez swoją klasę społeczną, naród, pokolenie czy grupę etniczną.

Przyjemność jest zasadą poruszającą świat. To z jej powodu dzieje się raczej coś niż nic. Ale całkowite roztopienie się w rozkoszy sprowadziłoby na nas ostateczny bezruch; umieściłoby nas w punkcie, z którego nigdzie już nie pragniemy podążać. To za sprawą przyjemności życie rozsiadło się na owej wąskiej grzędzie między chaosem a bezruchem, między nonsensem ciągłej zmienności a bezsenssem wiecznego trwania.

ZASADA SZEROKIEGO OPTIMUM. Oto jedna z zasad, do których jestem w życiu bardzo przywiązany. Nie jest to pogląd naukowy. Nie mam na to dobrych danych, nie mam wyniku badań na poparcie mojej tezy (chętnie wejdę w kolaborację badawczą, żeby ją zweryfikować). A jednak.

Jeżeli masz wąskie optimum, trudno ci będzie być szczęśliwym. Łatwiej ma w życiu ten, kto lubi i chłód, i gorąco; potrafi się cieszyć i z tego, że pospał długo, i z tego, że wstał o świcie; delektować się kawą i herbatą, Bachem i Zenkiem, Sørenem Kierkegaardem i Stiegiem Larssonem...

Staraj się poszerzać swoje optimum. Kształtujemy nasze nawyki, a one kształtują nas, jak uczył Arystoteles, ten najstarszy z wielkich coachów. Spaceruj wieloma ścieżkami i miej odwagę iść dalej od innych. Nie daj sobie narzucić przyjemności jako obowiązku, ale zawsze traktuj kwestię przyjemności poważnie. Oszukuj, kiedy tylko możesz – w grach, w których stawką jest wytrwałość, zwyciężaj pasją i zabawą.

Historia życia jest historią przyjemności. Nie ma to nic wspólnego z brakiem cierpienia – chodzi tylko o zidentyfikowanie siły, która kształtuje nasze losy. Przyjemność wydaje się ulotna, ale tylko tyle po nas pozostanie. Widziana z lotu ptaka mapa naszych utartych ścieżek, wytyczonych jej potężną siłą.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

O odporność stada



MODNE SĄ DZIŚ ROZWAŻANIA NA TEMAT odporności. One to w znacznym stopniu i znakomicie obrazują poziom nauczania przyrody w szkołach polskich i niepolskich. Ilustrują, co z tych lekcji zapamiętała Kowalska i Kowalski oraz Nowak z Nowakową, jak tak sobie siedzą przed pustą klawiaturą, razem bądź też osobno, w maseczce bądź to na golasa. Zagłębianie się w te opinie i zapamiętania daje mnóstwo frajdy. Czytamy je z solidnym zainteresowaniem, choć niestety wiemy, że są to już ostatnie podrygi naszej – znanej przecież szeroko – skłonności do żarcików i pustej ciekawości świata, ciekawości, z którą doprawdy nie wiadomo, co teraz zrobić.

Niestety, wiele wskazuje, że niebawem na temat immunologii najmniej będą mieli do powiedzenia immunolodzy. Już teraz w sprawie zdrowia lekarze mają do powiedzenia stosunkowo niewiele. Szkoda, choć dzięki temu robi się coraz ciekawiej. Rzec tu koniecznie trzeba, że mimo braku sentymentu do czasów peerelowizny w stanie schyłku, który to schyłek przeżyliśmy świadomie i na zimno, nie przypominamy sobie, by lud nasz umiłowany oddawał naonczas – tak jak robi to dzisiaj – swe cenne zdrowie w ręce działaczy partyjnych. Oto nikt wtedy nie chodził się poradzić w kwestiach gorączki i duszącego kaszlu do sekretarza powiatowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nikt – pamiętamy to świetnie – nie ustawiał się w kolejce przed gabinetem lokalnego szefa Służby Bezpieczeństwa, by tenże skorzystał ze swych nadprzyrodzonych zdolności osłuchiwania pacjenta. Nikt też – jak Polska długa i szeroka – nie leciał do pobliskich koszar

ZOMO, by tamże dać się fachowo opukać białą pałą czy kazać sobie postawić bańki przez pana sierżanta. Zważywszy więc dzisiejsze opinie i mniemania, czy to o zarazkach, czy o tym, co je niszczy, można by przypuszczać, że owe dawne czasy były jednak okresem ogromnej świadomości, czasem niesłychanego oświecenia i niemal ateńskiego wykształcenia umiłowanych mas naszych.

Dziś za to – popatrzmy – dowolny, ledwie składający literki ulizany partyjniak wchodzi gładko w świat gruntownie obcej mu wiedzy bez niczyjego sprzeciwu. Oto człowiek, któremu nie zlecilibyśmy wbicia gwoźdźcia w żłobku, wygłasza wiążące nas opinie na dowolny temat, w tym bezpieczeństwa zdrowotnego ogółu. I ogół ów, ku naszemu zaniepokojeniu, płacąc dużo, owo kupuje.

Ktoś tu zarzuci nam czarnowidztwo, spadek formy bądź epatowanie przygnębieniem. Niestety coś w tym jest, są bowiem granice wytrzymałości na cudzy odlot, a granica odlotu całego państwa wraz z jego aparatem, w tym z pocztą, musi przestraszyć każdego, kto stara się myśleć choć minutkę dziennie.

Serdecznie namawiamy zresztą każdego żywego intelektualnie ochotnika, również takiego na rządowej posadzce, by właśnie myślenie sobie poćwiczył. Najpierw minutkę myślenia dziennie, po miesiącu dwie, po kwartale trzy minutki i tak dalej. Ostrożnie oczywiście, bardzo delikatnie, żeby nie dostać zakwasów i żeby serducho wytrzymało. Jest to ćwiczenie znaczne, docelowo pożyteczne. Wyjdzie z tego, że dzięki cierpliwości, pracowitości i odrobinie talentu można za parę lat myśleć nawet i z pół godziny dziennie. Owszem, to jakby – ktoś powie – rekordomania, ale ambitne plany to przecież nie jest grzech.

No więc, ćwicząc zapamiętanie, starając się, minutka tu, minutka tam, czytając to i owo, przysiadając do kolejnego tuzina przepowiedni na temat rychłego końca świata, braku światła, wody, jajek, a nawet, co nas niezmiernie zdziwiło – ziemniaków. A że bez ziemniaka nie masz Polaka, popadać zaczęliśmy w rodzaj heroicznego uodpornienia. Na razie niestety samotniczego, niepozabawionego jednak marzenia o legendarnej odporności stada. Na bzdet. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



#wygodniej

Czytaj cały rok!

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Zawsze jest czas na rozpoczęcie prenumeraty! Teraz czy w kolejnych miesiącach najwygodniej dostawać pismo do domu, a do tego czytać „Tygodnik” na tablecie, komputerze lub telefonie.

Promocja #wygodniej to:

- **52 numery** „Tygodnika Powszechnego” z dostawą w cenie i pod wskazany adres oraz
- **natychmiastowy roczny dostęp online** o wartości 150 złotych*, czyli dostęp do bieżących wydań oraz do stale powiększającego się Archiwum (ponad 60 tys. tekstów) na stronie TygodnikPowszechny.pl

~~520 pln~~ → **370 pln za rok!**

- **GRATIS** – wydanie „Tygodnik Powszechny Historia. Raport z przyszłości” **ORAZ** unikatowy notes „Książka do pisania. Jerzy Turowicz”**



PREZENT

Sprawdź szczegóły promocji i zamów pod adresem:

powszech.net/wygodniej

Kontakt w sprawie prenumeraty:

Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075
lub e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl
– wydania drukowane

Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl
– wydania cyfrowe

Regulamin prenumeraty i promocji na
powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES||manago
marketing automation

* dostęp zostanie uruchomiony do kilku godzin po zaksięgowaniu wpłaty

** notes i wydanie wysyłamy do trzech dni roboczych od zaksięgowania wpłaty

UWAGA! oferta dotyczy prenumeraty #wygodniej, nie łączy się z innymi zniżkami

Kiedy wiarę zastępujemy rzeczami – nawet najświętszymi,
ale rzeczami – jesteśmy na **drodze do ideologizacji**
i z wiary **robimy sztandar.**



42,90 zł **25,75 zł**

wydawnictwo 

DEON.PL

ŻYCIE
DUCHOWE

TYGODNIK
POWSZECHNY

-40% Kod: TP30
wydawnictwowam.pl


Poczta Polska


0 zł